

ZOFIA ROMANOWICZOWA

# NA WYSPIE

INSTYTUT  
PARYZ



LITERACKI  
1984



**NA WYSPIE**

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 402

ISBN 2-7168-0063-4

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

ZOFIA ROMANOWICZOWA

# NA WYSPIE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1984



*Dzwonią dzwony świętego Ludwika  
Zmarła fuksja flisaczki...*

Oskar W. Miłosz

I

— Skoczyć?

Skąd znowu. Nigdy w życiu na żaden skok się nie zdobyła, czemu by więc akurat dziś, z tego akurat brzegu? Zsunąć się, tak, ponieważ istnieje przyciąganie. Ziemia ciągnie i woda, bliźniacze elementy. Zsunąć się łatwo, po prostu przestaje się człowiek opierać. Od dawna przestała się opierać, choćby swoim napadom sennaści. Sen, woda, czas... Przywykła bez oporu zsuwać się w mijanie.

Rzeka zalała nabrzeże, podeszła pod same schodki, trąca o kamień, liże go, próbuje. Szybko to się dzieje. Zaledwie wczoraj, nie dawniej niż wczoraj o tej samej porze mogła była przysiąc sobie na tej oto ławce, o parę kroków stąd i tylko wilgoć, ziąb, mżąca mgła przepędziły ją szybciej niż zwykle. No i ten jakiś blondyn. Niby nie narzucający się, nie podrywający, ale czy musiał dosiadać się do niej, gdy druga ławka, obok, była wolna?

Dopaliła papierosa, cisnęła niedopałek do wody, która podeszła tak blisko, że trzeba było uważać na buty i wyszła po schodkach na górę, zła.

Już wczoraj było tu pusto. Ani żywego ducha nad rzeką, właśnie przez to podejście wody, resztkowy tylko przesmyk pod murem. Więc i teatru nie było. Uczniowie szkoły dramatycznej lubili tutaj, po sąsiedzku, ćwiczyć zadane im role, na pamięć, albo jeszcze z tekstem w rękę. Odgadywała z daleka kto Romeo, kto

Julieta, a kto Cauchon i krzyczy na Bogu ducha winną Darczanekę. Od paru popołudni usiłowała się w nią wcielić chuda i brzydka dziewczuszka i nawet dla lepszego efektu zgoliła sobie głowę „na glace”, do gołej skóry. Wyglądała jak... jak *Zugang* lagrowy, albo jak adeptka Kriszny. Bo nie bardzo jak Joanna d’Arc. Tekst nie wchodził do nieprzychylnie białej czaszki, jąkała się, gmerała w maszynopisie, aż kiedyś kolega, ów Cauchon właśnie, w złości wydarł jej kartki z rąk i cisnął do Sekwany. Rzuciła się na niego z piskiem, z piąstkami, wcale nie jak święta. Ale teatr!

Może była Antygoną, zaś chłopiec Kreonem? Trudno ustalić po samych gestach, gdy słowa porywał wiatr, głużył szum samochodów z mostu. Czy to nie wszystko jedno? Wielki teatr życia ma ograniczony repertuar, występują w nim wciąż te same postaci, ścierając się w paru zasadniczych konfliktach.

Cwiczyli też inne, mniej klasyczne sztuki, sportem było odgadywać kto jest kim. Lubiła ich, lubiła własną rolę nieproszonego, próbnego, ale przecież widza. Czuła, że jej obecność, z daleka, na pierwszej ławce od schodków, nie krępuje ich, przeciwnie, pomaga. Skoro pragnęli być aktorami, znaczyło to, że potrzebują publiczności. Nigdy żadne z nich nie zbliżyło się do niej, próbną scenę od próbnej widowni dzieliła niewidzialna rampa. Ale gdy czasem coś jej stanęło na przeszkodzie, wiedziała że im jej brak.

Gdzież podziewają się, biedacy, dokąd przenieśli się z powtórkami? Na jakieś podwórze? Wyspa obfituje w kamienne dekoracje. Na jakiś placyk? Do kafejki? To nie to samo. Wróć, była pewna, zawsze wracali, ci sami, inni, następni. Lepszego miejsca nie znajdują, tuż pod szkołą. I ona wróci na swoją ławkę, dziś nieosiągalną, która teraz ledwo wystaje drewnianym oparciem nad powierzchnię wody. Na ile mogło przybrać od wczoraj? Na metr? Ależ rwie!

Wtem schodki rozsunęły się wszecz, zapadając równocześnie w dół, jak przy zmianie dekoracji. Zakreśliło jej się w głowie. Czyżby rzeka podmyła Wyspę do reszty, skruszyła kotwice jej mostów, porwała ją i topi?

Wyciągnęła ręce do przodu ruchem kogoś, kto skacze z trampoliny, a przecież intencją jej było chwycić za poręcz, z boku, albo za obręcz, jedną z tych, którymi były wybite podmurowania nabrzeża dla kryp czy łodzi, gdyby która chciała tu przycumować. Już tylko rytmiczna ozdoba, czarne okowy na szarym kamieniu, bo nikt teraz do tego brzegu nie przybija.

Atak? Może nie. Zwyczajne zachwianie równowagi, bez sennych konsekwencji. To przez ów ruch robaczkowy wodnego



węza, *perpetuum mobile*, wślizgującego się pod arkady mostów w tempie powodziowym. Ale to wczoraj, przedwczoraj porównanie z wężem pasowało rzece, dopóki trzymała się łożyska. Dziś pękła na wężu skóra, trzewia mu się rozlały, pulsują, tętnią, żywiołowa nieforemność.

Złudzenia optyczne przyprawiają o zawrót głowy. Ta niby głębia, tutaj, o krok, o stopień niżej, nie jest żadną głębią, jest zalewem. Boczna kałuża. Sądząc choćby po ławce. Gdyby chcieć do niej dojść, zanurzyłby się człowiek najwyżej po kolana, no, po pas. I cóż to za woda? Pomyje, popłuczyny po wszystkim, co się trafiło Sekwanie w drodze od zjednoczonych źródeł. Śmieci w tym, szczury, a jeśli ryby to zdechłe. Skakać do czegoś takiego?

Tym niemniej, skoro zmierzch zapada i ponieważ zapada zmierzch, rzeka przestawia się na nocne życie. Zmienia skórę. Przebiera się na wieczorowo, na wyjściowo, co błyszczący to jej pasuje, latarnie wszystkie naraz zapalone, ostry klips księżycy i długi, nieprzerwany sznur sztucznych rubinów, sztucznych bursztynów, sunące mostem światła samochodowe. No i niebo, halka, spód, materia śliska, nylonowa, jasna, bo dziś ani mgły, ani chmur. Whaftowane w to drzewa nabrzeżne, wierzchołkami w dół, na łeb, na szyję, zawrotnie. Wszystko marszczone w fałdy, plisy, przeglądające się w sobie i odbijane. Stąd pozór głębi, nawet tutaj, na samym rąbku, gdzie płytko. I stąd zawrót głowy.

Oddech. Parę wdechów i wydechów. Zaraz minie.

— Na miłość Boską! Co pani robi? — krzyknął jej ktoś nad uchem i przychwycił za kołnierz płaszcza.

Idiotyczne. Może trochę kiwnęła się do przodu, ale sen musiałby dłużej trwać niż ta nędzna sekunda, żeby odebrać jej równowagę. Nigdy zresztą całkiem nie odbierał. No a jeśli nie sen, to trzeba by bardzo chcieć, żeby stąd wpaść do wody bez popchnięcia, bez skoku, a i to o żadnym utopieniu się mowy nie ma. Nabiłaby sobie guza i przemoczyła ubranie.

Wczorajszy blondyn... Stał o dwa schodki wyżej i nie popuszczał jej kołnierza.

A więc znów ją to chwyciło. Po dłuższym, jednak, antrakcie. Lekarz zacierał ręce, zestaw proszków, który dla niej wymyślił, wydawał się nareszcie skuteczny. Pewno po godzinach przyjęć rozpracowywał tę nową terapię, czemu działała w odróżnieniu od poprzednich, na zasadzie jakich chemobiologicznych powiązań, bodźców albo inhibicji i jaki wobec tego zarysowywuje się poprzez nią portret choroby, poszukiwanego złoczyńcy. Od lat tak

na niej eksperymentował, podejrzewała, że na chybił trafił. No i masz...

Pomiędzy chwilą gdy sięgała ręką poręczy lub pierścienia, a chwilą gdy poczuła się złapana za kołnierz, znowu zdążył wcisnąć się osobny płat czasu, jeden z owych wtężyć do jawy, na których polegała jej rzadka choroba. Jak dotąd, więcej o niej wiedzieli poeci niż lekarze. Ze też akurat do niej musiało się przyplątać coś takiego...

Ale co za szkoda! Ów sen bardziej niż sen, wkładka do zyciorysu, był bardziej ciekawy i rzeczywisty od stania na schodkach, gapienia się w wodę, no i od blondyna. Nie wiedziała czy epileptycy lubią swoje ataki, co się z nimi wtedy, w ich środku, w ich głowach naprawdę dzieje. Co do niej, wcale nie była pewna, czy pragnie zostać całkiem wyleczona, choć to jej komplikowało życie. Zawsze musiała brać pod uwagę, że na środku jezdni, że przy pracy, gdziekolwiek, bez żadnego uprzedzenia a nawet przecucia opuści swoje ciało, przestanie nim kierować i znajdzie się gdzie indziej, kiedy indziej, całą sobą, wszystkimi zmysłami, a więc nadal we własnym, ale jakby zdublowanym, zapasowym ciele. Na moment, czy na dłużej, tego także nie sposób było przewidzieć. No, usnie. Jak zając, w pół między, w pół skoku.

To tak, jakby miało się do dyspozycji kilka samochodów na biegu i ni stąd ni z owąd puszczało się jedną, chwyciło za drugą kierownicę i jechało całkiem inną drogą. Zawsze więc jeden wóz, kto tam wie czy główny, pozbawiony byłby kierowcy i toczył się samą siłą rozpędu. Właśnie, rozpęd ratował wszystko w jej wypadku, czysty automatyzm ruchów, jakieś dyżurne zaprogramowanie. Wcale tak nagle nie padała na ziemię, była zdolna wracać do siebie daleko od miejsca, w którym sama siebie zostawiła, znaczy więc, że gdy akurat szła, to szła dalej, trochę może zwolnionym, lunatycznym krokiem, a jeśli stała, na przykład w pracy, to stała dalej, tyle że bezpieczniej było wyjąć jej z ręki żyłkę czy nożyczki. Może nie skaleczyłaby klientki, ale mogłaby popsuć fryzurę. No i należało posadzić ją na krześle, za parawanem. Szef nabrał w tym wielkiej wprawy. Z pewnością mniej to się rzucało w oczy od banalnych omdleń czy zasłabnięć i zazwyczaj klientka z namydloną czy najeżoną rulonikami głową nawet nie spostrzegą, że coś dziwnego dzieje się z jej fryzjerką. Ktoś ją może odwołał do telefonu?

Szkoda. Tym razem bardzo to było ciekawe. Nic z groźnych apokalips. Pamiętała każdy szczegół. Normalne przeżycia łatwo się zacierają, normalne sny także prawie nie pozostawiały śla-

dów, podejrzewała nawet, że gdy śpi normalnie, nie śni wcale. Za to chorobowe, narkoleptyczne sny na jawie pozostawiały po sobie wszystko, widoki, dźwięki, zapachy, smaki. Dotyki. Gdy coś jadła, znaczy gdy wydawało jej się, że je, prawie potem musiała to trawić, była tym syta. Gdy coś dźwigała, bolała ją potem krzyż. Tyle że z logiką tych paralelnych wydarzeń trudno się było pogodzić na rozum.

Sny, takie czy inne, karmią się tym, co było. Gdy więc ktoś ma dwie różne przeszłości, tak jak ona, nic dziwnego że z nich wyrastają podwójne dziwolągi.

W aktualne swoje życie była na pozór całkiem wcielona. Udało jej się ponad wszelkie spodziewanie. Przybrała nie tylko cudze personalia, język, narodowość, ale i zawód. Wampir doskonały. Wykrwawiona w lesie sudeckim jej francuska rówieśnica, gdyby jakimś cudem zmartwychwstała, nie musiałaby retuszować charakterystyki swojej zastępczyni. Byłoby to spotkanie jak w lustrze, nie wiadomo która której byłaby odbiciem.

Ani mowy, żeby w te metrykalne komplikacje wtajemniczać lekarza. Trudne i niebezpieczne. Cóż on z tego mógłby zrozumieć, jakie wyciągnąć wnioski? Musiałaby mu wszystko nie tylko opowiedzieć, ale i zinterpretować. W znaczeniu przełożyć. Może zawsze się przekłada, mówiąc drugiemu o sobie, nawet nie musząc zmieniać języka, kraju, historii? Trochę nalegał, zwłaszcza na początku, gdy jeszcze zabawiał się we Freuda, ale obstawała ramowo przy swoim przybranym pochodzeniu, watając je własnymi wspomnieniami. Poszło łatwo. Parę razy sypnęła się, nie był sędzią śledczym, więc nie zauważył no i na szczęście dość szybko poszedł tropem materii, wulgarnych zaburzeń funkcjonalnych, dał spokój kompleksom z dzieciństwa i szokom wojennym i odtąd podejrzewał raz ten, raz inny z jej gruczołów o wariactwo, o zboczenie, wystawiając je na próby rozmaicie komponowanymi chemikaliami. Skoro życie to chemia... Chciał ją wyleczyć, tak, ale głównie miał ambicję przyczynić się od strony praktyki raczej niż teorii do ściślejszego skatalogowania tej kapryśnej siostry epilepsji.

Rażonych padaczką, pieniających się, odgryzających sobie języki już się prawie nie spotyka, na to są terapie. Narkoleptyków zawsze było mniej, a może po prostu mniej rzucali się w oczy. Bardziej zróżnicowane, bardziej indywidualne u nich objawy. Od pewnego czasu weszli w modę. Dla lekarza z Wyspy było gratką, że taka niecodzienna pacjentka wpadła mu w ręce.

To był dobry lekarz, z powołania. Nie dodyplomowany, bo żona za wcześniej zmusiła go, by zarabiał na jej futra, więc toczył

lukratywne boje głównie z grypami i wątrokami, ale gdy trafiło się coś poważnego, nie opuszczał pacjenta aż do śmierci, nie pozbywał go się, wydając w ręce specjalistów, przekładał na ludzki język rezultaty analiz, asystował przy operacjach i gdy już nic się nie dało zrobić dla ciała, podtrzymywał na duchu.

W jej wypadku w rachubę wchodziła na dodatek ciekawość, stłamszona przez życie pasja badawcza. Specjalistów od narkolepsji nie było zresztą pod ręką tak wielu. Więc, gdyby mu się udało samemu, chałupniczą metodą, wypracować skuteczną kurację, wyśledzić jakiego zaburzenia ta choroba jest objawem, cóż za perspektywa! Lepiej niż dyplomy i konkursy: odkrycie. Trudzą się nad tym uniwersyteckie zespoły, mają do dyspozycji laboratoria, dotacje, zjeżdżają się na kolokwia, kongresy międzynarodowe i nic. A tu nagle on, skromny lekarz z Wyspy, grypowy omnibus, sam! I z najniższego szczebla przeskok na szczyty kariery, nazwisko w Laroussie, a czemu by nie Nobel?

Zależało mu na niej tak, że właściwie to on powinien by jej płacić za konsultacje. Gdy, zniechęcona, wymykała mu się na dłużej, wytelefonowywał ją albo wpadał z walizką w rękę, między jedną a drugą wizytą, niby że po drodze. Upewniwszy się pewno przedtem, że żona nie idzie ulicą. Maria miała u niego pękata teczkę z obserwacjami. Marzeniem jego było asystować przy jej zapaściach w sen, podglądać co się wtedy dzieje z jej opuszczonym ciałem, liczyć puls, podnosić powieki, mierzyć rozwarcie źrenic, ich ewentualny płas, podśłuchiwać serce. Parę razy to mu się udało. Była jego szansą życiową, prywatnym królkiem doświadczalnym.

Kilka dni temu podnieciła go przyznając, że jakby uspokoiła się. Odkąd bierze nowy zestaw proszków nie miała ataku. A tu nagle nawrót. Między wyciągnięciem ręki a okrzykiem: co pani robi! — zmieścił się jeszcze jeden równoległy świat.

Na Wyspie. Stała, tak samo stała, ale nie na schodkach wiodących nad rzekę, tylko w otwartym oknie obszernego salonu. Było jej zimno. Przybyła tu z daleka, utrzęsiona podróżą po wyboistych drogach, bolały ją nogi wtłoczone w ciasnawe, pożyczone pantofle. Na korkach. Pod oknem płynęła tak samo Sekwana, też wezbrana powodzią, ale widziała ją pod innym kątem, z bardziej wysoka. Myślała: głupio, że okno otwarte, należałoby je przyknać, ucieka przez nie muzyka i przepada. Nikogo na zewnątrz nie obchodziły jej dźwięki. Uliczni przekupnie pokrzykiwali, podśpiewywali, każdy coś zachwalając, stukwały kopyta koni, turkotały wozy i powozy. Czy nikomu ze słuchających koncertu w salonie, za jej plecami, ten hałas nie prze-

szkadza? Nawet temu, który gra? Więc zamknąć okno? Ale była tu obca, nieprzewidziany gość, głupio tak się rządzić. A i okno ogromne, pałacowe, gdyby zaczęła się z nim szarpać, byłby jeden hałas, jeden zgrzyt więcej.

Zawołać kogoś ze służby? Z jakiego tytułu?

Ciepło również uciekało, parując. Też szkoda. Trzęsły nią dreszcze. Za jej obnażonymi plecami zaduch był salonowy, domieszka potu spod niezbyt domytych a wyperfumowanych pach, niedopranych żakietów i sukien. Fajkowy dym. Lulki pałą. Pełno gości. Nie wszyscy przerwali rozmowy, więc pod muzyką przemycane szepty, nawet śmiechy, ptasi trzepot wachlarzy. Ktoś barbarzyńsko stuknął bukiem do taktu. Spostrzegł się, może trącony czymś łokciem, przestał. Nie patrzyła, ale wiedziała że panie mają jak ona dekolty, nisko zsunięte rękawy, spódnice do ziemi, szumiące. Anglezy przypiekane rurkami. Więc jeszcze i ten leciutki swąd palonej sierści, zwierzęcy, jak w kuźni. Albo jak u niej w pracy. Na szyjach mineralny poślizg kolii, różańcowy pereł. Koronkowe chusteczki mięte w ręku.

Przybyła tutaj spóźniona, w samym środku koncertu. Służba wpuściła ją po ceregielach i pertraktacjach. Na palcach podeszła do okna. Nikt na nią nie zwrócił uwagi. Ale zaraz będzie musiała przekazać im złą nowinę. Od czego zacząć i kiedy... Gdy wreszcie zamilknie muzyka. Wtedy odwróci się od okna. Nie, najpierw zamknie to okno tak jak potrafi, tym lepiej jeśli ze zgrzytem. I tak pokryją to grzeczne oklaski. Podejdzie do fortepianu, stanie przy kłaniającym się soliście. W ten sposób z punktu ściąganie na siebie uwagę, obejdzie się bez krzyku.

Powie: wszystko stracone!

Nie ma się co denerwować, oni przecież to wiedzą. Spodziewają się tego. Żadne koncerty dobroczynne nie mogą temu zapobiec.

Tymczasem słuchała toczących się paciorków melodii, trochę smutnej, a trochę tanecznej, ludowo salonowej, jakby chorowitej, rozpalonej napadami febry, to znowu dygocącej z zimna. W palcach mięła rąbek wstążki, którą miała opasaną szyję. Na niej medalion z miniaturą w środku i puklem włosów tego, w którego imieniu zaraz zabierze głos. Jest jego pośmiertną łączniczką.

Wstążka mięsista, czarna. Pantofelki ałasowe, białe. Uwierają, tak samo jak i gorset, zbyt pośpiesznie, zbyt mocno sznurowany. Ledwo udało się dopiąć haftki pożyczonej sukni. Byle nie pękł jakiś szew. Byle nie wyrzucić się na środku salonu przez te nieszczęsne, powykręcane korki. No i co oni powiedzą

na widok jej ostrzyżonej głowy? Trzeba było wypożyczyć również perukę z anglezami do ramion...

Głupstwo. To są detale. Nieważne jak wygląda, jak jest ubrana. Na kogo wygląda. Ważne to, co im zaraz obwieści. Koniec.

Koniec świata.

Koncert dłużył się. Może im także? Wielu musiało go słuchać z grzeczności. Bliższe już wydawały jej się odgłosy uliczne zza granicy okna, wypychające się po plebejsku do arystokratycznego salonu, barwne melopeje, buczenie kryp mijających się na rzece, jakieś okrzyki z daleka, groźne, tłum ciągnący mostem, domagający się czegoś. I nagle na to wszystko dzwony. Nieszpory? Raczej pogrzeb. Na nieszpory czy śluby dzwonią inaczej. Fortepian ignorował te wtręty dźwiękowe, kaprysił, nawracał do porzuconych po drodze motywów, splatał z nich nowe akordy, zwalniał i przyspieszał, milkł dla zaczerpnięcia oddechu.

W czasie jednej z takich pauz ktoś niewtajemniczony zaklaskał, sądząc, że to już koniec i zaraz przestał, skonfudowany. Ktoś wytarł sobie siarczyście zatabaczony nos. Ktoś kichnął z ulgą. Ktoś zaniósł się zbyt długo hamowanym kaszlem. Pozaziębają się przez te otwarte okna.

Ale kto tak kaszle? Ojciec? Tak, to jego kaszel, najwyraźniej. Znajomy kaszel palacza.

Ojciec tutaj?

Opanowała się. Nie będzie się oglądać. Ojca tu nie ma. Nie może go tu być. Ani tutaj, ani nigdzie być go już nie może.

A jednak... Znowu kaszle. On!

Muzyk przestał nareszcie wahać się, przebierać, może zdopinowany tymi dzwonami, połączył zewnętrzne z wewnętrznym, uliczne z salonowym, zebrał wszystkie tony i cisnąc pedały spadł na klawisze oburącz, z całych sił. Finał? Chyba finał. Zaraz na nią kolej. Odwróci się od okna. I zobaczy ojca. Jeśli to on.

Nagle wstążka stała się kołnierzem, okno schodkami nad rzeką, zaś za nią żaden salon, żaden koncert, żaden ojciec, tylko wczorajszy blondyn z ławki. Jak nie żałować? Niekorzystna, prozaiczna zmiana treści. I w takim momencie...

Wyszarpnęła się blondynowi tak gwałtownie, że teraz dopiero mogłaby naprawdę wpaść do wody. Do czego się wtrąca? Znowu jej przeszkodził i znów ją zirytował.

— Myślałem że... Proszę mi wybaczyć, ale...

Plótł byle co, nad miarę speszony i może dlatego właśnie zdała sobie sprawę, że przerzucił się na inny język. Jak zawodowy tłumacz. Bo tamten pierwszy okrzyk, odruchowy, wyrwał mu

się w innej mowie. Zapewne ojczyste. A teraz przypomniał sobie, że tu Francja. Zaraz, jak to brzmiało? Ależ tak:

— Na miłość Boską, co pani robi?

Po polsku.

Czyli rodak. Tylko tego brakowało! Co za szczęście, że nie otwarła dotąd ust, bo i jej mogłoby wyrwać się coś dekonspirującego. Po tylu latach mistyfikacji! Więcej, transfiguracji. Na jawie od dawna przestało jej to grozić, ale we śnie czy na jego granicy nigdy nie wiadomo. We śnie, jak pod wpływem emocji lub jak pod narkozą, powracają automatyzmy pierwszej mowy. Albo jak przy wylewie krwi do mózgu. Wzbierający potop zakrywa później nabyte języki, ale ten jeden, macierzysta wysepka, sam czubek Araratu, najdłużej wystaje ponad powierzchnią rozpadowego bełkotu, jak gdyby magazynowany był na innym poziomie, zabezpieczony specjalną służą.

W sennym salonie, z którego blondyn wyciągnął ją za kołnierz, nie padło ani jedno słowo, ale wszystko działo się po polsku. Więc i ona mogłaby się przejęzyczyć, tak jak on. Ależ zażenowany... Niech sobie myśli, że nic jej nie podpadło. Nie będzie wdawała się w żadne wyjaśnienia, w żadne konszachty.

Więc, poprawiając na sobie płaszcz z godnością, na szczęście nie urwał jej żadnego guzika, odpowiedziała mu czystą francuszczyzną, przybierając salonowy ton, tak jakby to działo się wyżej, na samym cyplu Wyspy, w oknie pałacu, a nie tutaj, na schodkach, na poziomie rzeki:

— Dziękuję. Miałem lekki zawrót głowy. Niepotrzebnie pan się aż tak zaniepokoił.

I razem wyszli na górę. Jednak razem. Jak umówiona para. Dzwony naprawdę dzwoniły, naprawdę skądś załatywało Chopinem, zaś na most naprawdę wchodziły transparenty jakiejś manifestacji, skandując dyktowane przez tubę slogany.

## II

— Przeżyjemy... Powrócimy...

Musiał dostrzec ją z daleka i poznać, choć obrócili ją twarzą do ściany. Pewno po warkoczu na plecach, wtedy jeszcze nie ściętym. Te dwa słowa najwyraźniej były skierowane do niej, dla niej przeznaczone. Nie wolno było się odwrócić, nigdy więc nie dowie się, chyba że to wyśni, czy on był tym, którego wlekli. Czyjeś nogi szurały bezwładnie po linoleum korytarza. Zza okna,

obok, palił w oczy śnieg, słoma chochołów chroniących różę była nim opatulona. Sute czapy na sztachetach płotu. Taki niski... Łatwo można by go przeskoczyć, nie szukając żadnej furtki i znaleźć się po drugiej stronie, na zewnątrz, na drodze. Na wolności.

Patrzyła na zimowy ogródek szkolny, ścięte mrozem niebo, a tymczasem za jej plecami, od drugiego końca korytarza, zbliżał się mieszany tupot prowadzących i prowadzonych, szuranie nóg tego kogoś wleczonego pomiędzy nimi i znajomy kaszel, znak rozpoznawczy. I te dwa słowa, coraz bardziej czytelne, coraz bliżej, tuż. Teraz ją mijają, teraz mógłby jej dotknąć, gdyby mógł. Odczuła bezpośrednią, przeskakującą iskrę obecności. Zatrzymali się na moment. Omdlał? Nie, mówi dobitniej, wyraźniej, poprzez kaszel, poprzez jęk:

— Przeżyjemy... Powrócimy...

Skinęła głową oknu, ścianie. Może odebrał odpowiedź.

Ruszyli dalej, idą, przechodzą, wlokąc kogoś, kto nie jest w stanie iść, ojca z pewnością muszą tak wlec, gdy on uparcie powtarza, wyjękuje wciąż to samo. Do niej. Głos zmieniony, gdyby nie kaszel może by go tak od razu nie rozpoznała. Głos jakby przez sklezione wargi.

Mijają... Przeszli... Minęli...

Na wąsach chochoła przysiadł napuszony wróbel, nic się nie bojący.

Jeszcze przez jakiś czas dochodziły do niej odgłosy tego pochodu, tej kalwarii i: przeżyjemy... powrócimy... Pociecha w dwu słowach. A także instrukcja. Testament.

Nagle przytrzaśnięcie tego wiekiem jakichś drzwi. Wtedy kazano jej odwrócić się. Gdyby nie szarpnięcie za ramię, nie wrzask, zostałaby pod tą ścianą, przy tym oknie, z rękami do góry, pewno do końca świata. Na framudze wyrysowane było kredą serce przebite strzałą, w nim inicjały: A Z. Myślało jej się absurdalnie, równolegle: Andrzej i Zosia? Alina i Zbyszek? Ślad wczorajszych, przedwojennych amatorów sztubackich. Czy jeszcze żyją, a jeśli żyją czy nadal siebie w sercu noszą? Świat się skończył, a ten napis trwa.

Jednak ulga, móc opuścić zdrętwiałe ręce. Korytarz pusty. Środkiem burego linoleum biegła przerywana nitka krwi, ciepły jeszcze mors, kropka, kreska, jak na wykładach łączności Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Poprowadzili ją tym szlakiem, próbowała omijać go, nie deptać. Otworzyły się przed nią któreś drzwi korytarza. Ale w pokoju, do którego ją wepchnięto nie



było ojca. Zatoczyła się prosto pod szkolną katedrę. Na niej maszyna. Wkręcony w wałek arkusz papieru czekał na jej zeznania. Zza ściany wyło coś zwierzęco.

Nie zdążyli jej nawet dotknąć. Z punktu zaczęła dyktować maszynie.

— Przeżyjemy... Powrócimy...

Zabrzmiało to w jej uszach tak wyraźnie, jakby miała zapaść w narkoleptyczny sen. Często tak właśnie rozpoczynały się u niej ataki, akustycznie, jak na telewizji, gdy dźwięk szybciej materializuje się od obrazu. No i oczy ją piekły, obręcz zaciskała się na czole, też nieraz wstępne symptomy.

Ale nie. Jakoś nie. Ciągle była tutaj i nigdzie poza tym, w swoim pokoju, w swoim łóżku. Ciągle normalna noc.

Nocne bezsenności stanowiły krwawą ironię. Popadać w sen na stojąco, na idąco, o byle jakiej porze dnia, a za to nocą, w łóżku, liczyć uderzenia zegarów, umieć na pamięć, który z której odzywa się wieży, czy spieszy się czy późni, przed wszystkimi w dzielnicy dostrzegać, który stoi, popsuł się albo zapomniano go nakręcić. Biec tam rano i sprawdzać. Zawsze się zgadzało. Choroba zrobiła z niej eksperta od miejskich zegarów.

Po nocy, a zwłaszcza w drugiej jej połowie, odczuwała na własnej skórze każde uderzenie czasu, każdy dźwięk. Byle samochód zwracał jej uwagę, było ich bardzo mało. Rozpoznawała, czy to taksówka czy też ktoś z Wyspy krąży w poszukiwaniu wolnego miejsca, albo kogoś podrzucają znajomi do domu. Więc trzaśnięcia drzwiczek, pożegnania, podziękowania, dobrej nocy, do zobaczenia. Gdyby nawet rozstawali się szeptem, też by to roztrąbiło echo. Wreszcie inwazja śmieciarzy forsowała mosty. Dopiero wtedy udawało jej się zanurzyć w stężony sen bez snów i ulica paradoksalnie cichła, choć właśnie się budziła.

Widocznie noc rozbija mury, ściany, odbiera im ich właściwości paradocybelowe i przeciwnie, przeobraża w rezonatory, tak że dopiero nad ranem podejmują swoją zwykłą misję szaińców przed agresją hałasu.

Bo tak naprawdę jej mały pokój, szumnie zwany „studio”, wciśnięty w sam kąt podwórza, stanowił oazę ciszy, co było jego największą zaletą. Jeżeli nikt za bardzo nie tupał zbiegając po schodach, można było spokojnie pospać do budzika nastawionego na pierwszą klientkę.

Ale ojciec... Czemu wraca? Czemu był wczoraj na koncercie? Skąd pewność, że nikt inny, tylko właśnie on tak kaszle za jej plecami? To by się było w sposób naturalny wyjaśniło w dalszym ciągu snu. Głupi blondyn! Z jego winy nigdy się nie

dowie, na czym polegała jej misja, ani jak by ją powitał ojciec, gdyby się okazało, że naprawdę jest, gdyby naprawdę spotkali się, oboje żywi, oboje na tym samym świecie. Co by jej powiedział? Może w sennym przecięciu ich przeszłości korytarz szkolny, maszyna do pisania, czcionki skwapliwie wystukujące słowa nie do zmazania, nie do odwołania, może to wszystko wcale nie miało miejsca? Byliby rozłączeni w inny sposób, skoro inaczej się spotkali? Skoro żył. I z niczego nie musiałaby mu się tłumaczyć, ponieważ żył. Ponieważ przeżyli oboje.

Z winy blondyna spóźniła się na czesanie doktorowej. Ta, już w kwiecistym, zakładowym pudermantlu, już obrażona, spoglądała ostentacyjnie na swój wysadzany brylancikami zegarek, choć cała Wyspa wiedziała, że żadnej godziny wyczytać na nim nie jest w stanie bez okularów, skoro i w sklepach musi je nakładać, by widzieć, co i za ile kupuje. I nigdzie tak strasznie spieszyć jej się nie mogło. Do męża? Nikt jej nie kazał umawiać się z fryzjerką pod wieczór, gdy tam u niego pełna poczekalnia i telefon się urywa. Co tydzień tak robiła i nic jej nie szkodziło, że gdy mademoiselle Marie złoci i układa jej włosy, on na każdy dzwonek odrywa ucho od gołych pleców pacjenta, otwiera drzwi, a z telefonami ta sama historia. Absurd, w ich sytuacji mieć dochodzącą Hiszpankę wyłącznie rankami, do ścierania kurzów i obierania jarzyn, gdy on rankami właśnie biega po obłożnie chorych.

Na kolanach doktorowej spał piesek, zwinięty w kędzierzawą mufkę. Zawsze spał.

Niczyje czesanie nie zjadało tyle czasu. Doktorowa przebiegała w pędzelkach farbowanych próbek, studiowała pisma z fotografiami fryzjerskich modelek, może by trochę tak, a trochę inaczej, stąd wziąć grzywkę, a stąd kark? Jak pani myśli, panno Mario? By w rezultacie, po pełnych napięcia rozważaniach, zdecydować ze tym razem niech będzie jak było. Czyli fryzura z czasów jej młodości.

Doktorowa miała rację. Fryzury z czasów młodości na ogół najlepiej pasują. Nie każdą głowę można kłaść bez ryzyka pod zmienną gilotynę mody. A już doktorowa... Czy by ją wystrzyć „na glacę”, czy nastroszyć „na afro”, czy nałożyć jej perukę z anglezami, rezultat byłby jednakowo żałosny. Musiała być tego trochę świadoma, co jej nie przeszkadzało kręcić nosem, że tym razem nie wypadło tak dobrze jak poprzednio i wsuwać do kieszeni roboczego kitla Marii odpowiednio skąpy, bo niezastulony napiwek.

Próbowała zvekslować tę nazbyt wierną klientkę na szefa,

albo na którąś z młodych praktykantek, ale się nie dało. Seanse zamawiane solennie precyzowały: z panną Marią. Nie z kim innym i nie o innej godzinie. Zaś kaprysy i napiwki przeznaczone były nie dla kogo innego, tylko dla podejrzanej pacjentki męża. By ją usadzić na właściwym miejscu.

Właściwe miejsce... Co to jest? Maria chętnie by je zajęła.

Blondyn zaproponował kawiarnię. Zgodziła się bez namysłu, było jej zimno, zresztą i tak miała zwyczaj wstępować przed pracą na kawę. Był akurat wolny stolik przy samych drzwiach, niewygodna, ale niech już będzie, skoro tak skwapliwie odsunął dla niej krzesło. Intrygował ją. Ona jego także, to było widoczne. Miała jednak nad nim przewagę, zdradził się swoim polskim wyskokiem, gdy sam, póki co, niczego o niej nawet nie mógł zacząć się domyślać. Przesiaduje nad rzeką i miewa zawroty głowy. Tyle co nic.

Rozpięta płaszcz, rozchyliła kołnierz, uśmiechnęła się, czując że wsuwa się w jakąś rolę, jeszcze nie wiedziała w jaką, on zapewne też. Byli zupełnie jak para komediantów znad Sekwany, gdy im w szkole zadadzą temat dowolny, improwizację.

— Pan mieszka na Wyspie?

— Niestety, nie. Ale bardzo ją lubię. Specjalny Paryż. A pani?

Rozmowa sztukowała się z byle czego, nie umieli jeszcze ról na pamięć, obserwowali się nawzajem, wyciągając pochopne wnioski nie ze słów, tylko z wyglądu, ze sposobu bycia, z ubrania. Czyli z pozorów. Byli chyba w tym samym mniej więcej wieku. Kogoś jej przypominał, nie miała pojęcia kogo. On także przyglądał jej się tak, jakby w jej rysach doszukiwał się innej osoby.

Wcale nie chciała mu się przyznawać, że mieszka na Wyspie. Z odpowiedzi zwolnił ją pogrzeb. Mała salka kawiarniana zatłoczyła się nagle, wpakowało się do niej pół kościoła świętego Ludwika. Nieboszczyk, dla którego właśnie przestały bić dzwony, czekał w karawanie aż ruszy zator, który chcąc nie chcąc spowodował. Żałobnicy mieli czas, dogonią go u bram cmentarza czy choćby nad otwartym grobem.

To mógł być Anglik, sądząc po wdowie. Są Anglicy katolicy. Na Wyspie żyło tylu cudzoziemców, że musieli czasem umierać. Ona, w tak dyskretnej jak się dało żałobie, wcale nie w krepach czy welonach, zażądała grubym głosem: *cognac, please*. I, nie dopuszczając do żadnych wzdychań ani kondolencji, zrównoważona i bardzo dobrze wychowana, zagaiła rozmowę o pogodzie,

jak na *party* w swoim salonie. Ładna? Wszyscy się skwapliwie zgodzili, wbrew oczywistości.

Zrobiło się ciasno jak w metrze i trudno było usiedzieć, a co dopiero prowadzić rozmowę. Blondyn coś tam gdała na temat Wyspy. Dosłyszała: Baudelaire.

— Pan poeta? — odrzyknęła mu z kpiną, bo to były turytyczne sztance, figurujące w każdym przewodniku. Jeśli rodak, powinien by raczej zagaić o Chopinie i pałacu Lambert.

Późno... Zerknięcie na zegarek wtrąciło ją we fryzjerską fazę życia, fazę mademoiselle Marie. Kawa była wrząca, ale wypita ją duszkiem. Kelner, zwyczajony, stawiał jej zawsze obok filiżanki szklankę zimnej wody. Tak lubiła. Dziś zaniedbał tego, może dlatego bo przyszła w towarzystwie, rzecz bez precedensu, no i bo siadła przy innym stoliku. Zaraz też spadły na niego te wszystkie koniaki. Wdowa i żałobnicy naglili, zator się przecierał i karawan z najważniejszą osobą przystanął za oknem kawiarni jak wyrzut sumienia obarczony wieńcami. Gdyby upomniała się o swoją wodę, blondyn uzyskałby nowy element jej biografii: że jest tutaj bywalcem. Po co? Łyknie sobie z kranu w pracy. Zaś doktorowa, jeśli swoim zwyczajem nie spóźniła się, czeka już i nudzi.

— Pani się spieszy?

— Tak. Do fryzjera. Więc do widzenia! I dziękuję.

Niech płaci! Co tam, zaprosił, przyjąć kawę do niczego nie zobowiązuje. A w ten sposób, zanim kelner tu się dopcha, blondyn musi zostać, nie wybiegnie za nią na ulicę bez uregulowania rachunku. Nic mu nie pomoże władcze wywijanie papierkiem. I nie zobaczy, dokąd ona idzie.

Pani z Wyspy, jeśli dostrzegła Marię i blondyna poprzez tłok, musi być zdziwiona i Bóg wie co sobie pomyśli. Od ich spotkania na moście, przed laty, tak ważnego, pierwszy raz przyszła tu z kimś na kawę. Zawsze było tak: stolik tamtej obłożony, a Maria, opodal, sama. I tylko spojrzenie, skiniecie głową, uśmiech, wymiana życzliwych sygnałów nawigatorskich dwu statków mijających się w porcie.

Przedarła się przez pogrzeb łokciami, bez pardonu. Na ulicy była już noc. Z drzwi kościoła zdejmowano spieszenie czarną draperię z monogramem A. Jak mogło być mu na imię, nieboszczykowi? André? Andrew? Czyli Andrzej. Czemu akurat Andrzej, mało to męskich patronów na literę A? Na przykład Adolf. Alfred.

— Dziś na grobie Alfreda rośnie młody szczypiorek... — roześmiała się sama do siebie na tę gdzieś skądś reminiscencję

nagle skojarzoną z widokiem anglosaskiej wdowy i w doskonałym humorze pchnęła drzwi salonu. Zabawnie, mówiąc prawdę wprowadzać kogoś w błąd! Blondyn myśli, że ona idzie się czesać, a nie że będzie czesała. No, długo myślał nie będzie, całe to spotkanie dla żadnego z nich nie ma większego znaczenia i mieć nie może.

Teraz, leżąc na swoim nie wiadomo po co podwójnej szerokości łóżku, które tylko potęgowało ciasnotę pokoju, zapragnęła żarliwie móc jakoś tak zrobić, by znowu znaleźć się w oknie obszernego salonu. Rozpoznawała ów salon, projekcję lektur sprzed potopu, do których prawie nie wracała. Ale widocznie w niej trwały. Nieważne dekoracje, akcesoria, ważna całość, sytuacja. Jej tam fizyczna obecność, równoważna z tą teraz, tutaj, w łóżku, z poduszką pod głową, ze ściągniętym, bo wczoraj byle jak zasłanym prześcieradłem i z kapaniem kropla po kropli wody z zepsutego kranu umywalki. Trzeba wreszcie kogoś sprowadzić by wymienił uszczelkę, a jak nie to cały kran.

Żeby to tak można według życzenia, jak za naciśnięciem odpowiedniego guzika w windzie, przenosić się z jednego świata na drugi. Móc te światy wybierać, a nie żeby one sobie ją wybierały. Bo nie zawsze żyło jej się obok tak romantycznie, idyllicznie, choćby nawet z niejasną, to jest niewyjaśnioną tragedią w podtekście, jak wczoraj na przerwany przez blondyna koncercie.

Niektóre paralelne światy były niższego rzędu, groźne i wstydlive. Tych lękała się, z tych pragnęłaby się wyleczyć, selektywnie. Przytrafiały jej się tam rzeczy, które potem na siłę wymazywała z pamięci, oblekały ją identyczności, na które nie pomagała żadna zmiana papierów. Nie tak, jak w świecie realnym. Nawet na Prefekturze nie wiedzą, kim ona naprawdę jest. Gdyby wiedzieli, dawno by się jej uczepili. Choć teraz, po latach... Czy na uzurpację cudzych personaliów jest przedawnienie? Okoliczności łagodzące?

Doktor mógłby wiedzieć, gdyby zdał sobie sprawę, że wie, gdyby podsumował różne przejęzyczenia się i poszlaki. Ale wojna, której na własnej skórze nie zaznał, pokrywała wszystko mętным alibi. Gdyby nawet go olśniło, związany był jednak tajemnicą zawodową. Doktor, choćby leczył poszukiwanego przez policję mordercę, nie ma chyba prawa go zadenuncjować? Coś jak ksiądz. Zaś doktorowa, jeśli czasem wsadza nos do jego notatek, wiele z nich i tak nie zrozumie.

Spokój od tej strony. Nic nie przeciekło do tej pory, przez tyle lat, nic więc nie przecieknie. Co i skąd? Jednak przedawnienie.

Przedawnienie? Na samą myśl o ewentualnych następstwach, komplikacjach choćby tylko administracyjnych, oblewały ją cząsem poty, jeszcze i dziś. Bała się urzędów i policji. Nawet na poczcie czuła się niepewnie. Ale to tylko nerwy. Trzeba by jakiegoś niesłychanego zbiegu okoliczności, żeby to teraz nagle się wydało. Nie musiała zacierać śladów, bo żadnych śladów nie było.

Aha, ksiądz... Jednak ksiądz, jednak ślad. Jemu się wygadała, częściowo. Idiotycznie, niepotrzebnie. O to była na siebie zła, to jej mąciło od czasu do czasu poczucie bezpieczeństwa. Ale i ten incydent zarósł latami, przedawnił się.

Musiała z tym księdzem wejść w kontakt, bo jakże inaczej mogłaby na odległość załatwić taką rzecz? Ufundowanie tablicy stało się jej obsesją. Symboliczny gest, który zamykał sprawę. Rodzaj pogrzebu. Oboje, ojciec i ona, musieli zostać pochowani po to, żeby mademoiselle Marie mogła spokojnie czesać na Wyspie. Napis łączący ich nazwisko, to samo, dwoje imion, dwie różne daty urodzin, wspólna data śmierci, co prawda w przybliżeniu, tylko rok i bez miejsca, bez dnia. Nic w tym dziwnego, normalne, wojenne losy.

Pocieszała się, że ksiądz też niegroźny. Tajemnica spowiedzi obowiązuje bardziej od tajemnicy lekarskiej. Tyle że sama spowiedź była niepotrzebna. Ale tak długo wyprowadzała pocziwca w pole, tak łatwo jej to przychodziło, że z samych wyrzutów sumienia, no i też z wdzięczności że jej pomógł, zechciał się tego podjąć i że po długich staraniach wreszcie do tego doprowadził, nagle postanowiła wypowiedzieć mu się, na sam koniec. W dniu, kiedy z uciechą, z chichotem dobrego plebana wręczył jej dowód rzeczowy w postaci fotografii. Ściana kościołka od strony cmentarza, tego na którym kiedyś lubiła przesiadywać z książką podjadając bez żadnych kompleksów dojrzewające na opuszczonych grobach poziomki i jeżyny. Odrapany tynk, a na jego tle świecąca nowością tablica i tekst wykuty, złote litery, srebrne numery, który sumiennie i pracowicie zaczął jej przekładać z polskiego na francuski. To ją rozbroiło.

Wzruszył się, gdy nagle ukłękła przy konfesjonale, pomyślał pewno: ot, duszpasterska nagroda za dobry uczynek. Nawraca mu się ta dziwna Francuzka, fundująca tablicę dla obcych sobie zmarłych, ponieważ komuś to przyobiegała w czasie wojny. Złowił duszę! Jego mina, w półmroku, gdy mu nagle zaszeptała przez kratki prosto do ucha: Bóg zapłać! Po polsku! Mało nie połknął stuły, dosłownie wsadził sobie jej koniec do ust, sam siebie stułą zakneblował, by nie wydawać okrzyków zdumienia.

Spowiedź jest spowiedzią, wszystko jedno w jakim języku. Wyraziła skruchę i żal, choć mniej zawiniła wobec Boga niż wobec Jego sługi. Bóg, skoro wszystko wie, i tak wiedział wszystko od początku, Jego nabrać się nie da ani słowem, ani papierami. Ale ksiądz miał prawo się obrazić. Tylko jak obrażać się w konfesjonale?

— Idź w pokoju i nie grzesz więcej... — wyszeptał w końcu, nie wiadomo co mając na myśli. Jakaś typowo polska babina już klęczała z drugiej strony konfesjonatu ze swoim brzemieniem. Musiał się spodziewać, że potem sobie jeszcze porozmawiają i że szczegółów dowie się na neutralnym gruncie. Nie wiedział, że to była ich ostatnia rozmowa, a świadkiem był Bóg, komu jak komu ale księdzu zamykający usta. Nigdy odtąd noga jej nie powstała w tym kościele, ksiądz nie znał jej adresu, nazwisko było banalne, w książce telefonicznej zajmowało z dziesięć stron, zaś tablicę zapłaciła gotówką, nie czekiem.

O co tu się dzisiaj martwić? Tablica ufundowana, wmurowana, koniec. Ksiądz ma stulą zatkane usta. Może i rozpowiada na jakichś duchownych obiadkach to zdarzenie, jednak nie tak pospolite, jako anegdotę, ale anonimowo, bez bliższych danych. Z tego to chyba i sam papież nie mógłby go rozgrzeszyć. A nawet i bezpieczniej dla niego, żeby tego tak do końca nie dopowiadać. Czy władze by mu uwierzyły, gdyby to do nich dotarło, że wdał się w taką sprawę niewinnie, bezinteresownie i dopiero *post factum* został uświadomiony?

Tablicy zrywać nie będzie, ani zmieniać napisu, we własnym interesie. To grunt.

Nie, nikt nie wie, a ci co trochę wiedzą nie są groźni. Obie Marie zabezpieczone, prawdziwa i samozwańcza, umarła i jeszcze żywa. Zamiana ról, nic nikomu nie szkodząca, przeszła bez bólu, bez wpadki. Gdyby nie choroba, gdyby nie sny, niektóre sny, Maria, fryzjerka z Wyspy, sama by już nie pamiętała, że ma sztukowaną biografię i że, mówiąc prawdę, kłamie. Żyjąc kłamie, na każdym kroku.

Ale sny! Ale ojciec! Dla niego pragnęła powrócić na koncert. Dla sprawdzenia.

Taki właśnie kaszel targał nim w nocy, gdy ich aresztowano. I tak samo kapała woda z zepsutego kranu. Lat temu... Po co liczyć? Była teraz dorosłą kobietą, nawet można powiedzieć starszą panią, a przecież na koncert przyszła w swoim ówczesnym, dziewczęcym ciele. To się wie, to się czuje bez sprawdzania w lustrze, bez zaglądania do metryki, ile ma się lat. Nogi bolały

ją wcale nie od zawiązujących się ostatnio żyłaków — ta stojąca praca! — tylko z powodu pożyczonych pantofli. A ojciec, ile miał lat? Jak był ubrany, jaką grał rolę? Czy poznałby swą córkę w tej sukni, tak uczesaną? Może z konspiracyjnego nawyku wolałby udawać, że jej nie zna, że nic go nie łączy z panienką stojącą przy oknie...

A jeśli w tym sennym układzie wcale nie była jego córką?

Nie. Tak nie. Przecież, rozpoznając kaszel, zaraz pomyślała: ojciec!

Jedna minuta więcej na schodkach nad rzeką, koncert miałyby czas dobiec do końca i wszystko by się wyjaśniło. Dożyłoby się to wtrącone życie do jakiegoś sensownego końca. Ogarnęła ją nowa fala irytacji na niewczesnego ratownika.

Lekarz miał rację, zdrowiej było nie wywlekać nikogo gwałtem z paralelnych światów. I tak same się kończyły. Taki szef, prosty człowiek, a doskonale to rozumiał. Dzięki niemu mogła prawie normalnie pracować i zarabiać na życie. Krzesło za parawanem, w pogotowiu, takie z solidnym oparciem, prawie fotel. Siedziała tam sobie, nikomu nie wadząc, nikogo nie kusząc do pierwszej pomocy. Klientki, przekonane że jej się po prostu czasem robi słabo, doradzały bardziej racjonalne odżywianie, każda inne, witaminy, bo to może anemia, ruch, bo to może złe krążenie krwi. Albo tak zwane kobiece historie. No i korzystały z tego antraktu, by z babską swobodą omawiać własne i cudze przypadłości związane z okresem, ciążą czy wiekiem przejściowym. Ich ulubione tematy, gdy w męskiej części zakładu rozprawiano o piłce nożnej i o polityce. Przyjęło się, że z panną Marią loteria, raz nic, tygodniami, a raz trzeba ją sadzać na krzesła w pół mycia, w pół cięcia. Defekt z punktu widzenia zawodowego i sympatia szefa dawno by się skończyła, gdyby nie to, że większość klientek wolała czekać na powrót Marii z za parawanu niż oddawać głowę w inne ręce. Podobno nikt nie czesał tak jak ona.

Gorzej, gdy ją to chwytano na ulicy albo w metrze. Bała się nie tyle, że się wywróci, że ją rozjadą, lecz że ktoś w stylu blondyna zbyt szybko sprowadzi karetkę pogotowia i zabiorą ją do szpitala, gdzie zawsze mógł się trafić jakiś wścibski lekarz. Nie rozstawała się więc z kartonikiem, na którym figurował adres i telefon doktora z Wyspy oraz prośba, by w razie czego natychmiast go zawiadomić. On to wymyślił i nawet nie wiedział, do jakiego stopnia interesy ich się pokrywają.

Kiedyś, kiedy to było, zeszej czy pozazeszej zimy, srozszej niż normalnie, pośliznęła się na tafelce lodu i rąbnęła głową w bruk.



Ciemność zapadła kompletna. Zwyczajna utrata przytomności pod wpływem szoku, czyste omdlenie bez snów czy przywidzeń, po prostu nagle, długie nic, jak po anestezyjnym zastrzyku. Gdy się ocknęła, już ją wywozili z sali rentgenologicznej na korytarz szpitalny. Uratowało ją to, co ją zgubiło, to jest gołoledź. Korytarz oddziału nagłych wypadków był pełen analogicznych ofiar, połamane ręce, nogi, miejska hekatomba. Nim więc w tym korku cokolwiek zdążono o niej postanowić, spisać jej personalia w biurze przyjęć, przydzielić łóżko, już przez kładkę łączącą dwie wyspy przygalopował zaalarmowany doktor, odnalazł ją, zakręcił się po szpitalu jak po własnym domu, upewnił się, że nic takiego jej się nie stało, ani żadnego złamania, ani pęknięcia, ani wylewu, ledwie zaczynający rosnąć guz. I z miejsca porwał ją stamtąd, sam płacąc, sam wypełniając formularze, choć Maria, już ocucona, doskonale mogłaby się tym zająć.

Przepisał jej wtedy na wszelki wypadek zwolnienie z pracy, z którego nie skorzystała. Nic jej nie było. Guz, istny róg, zakrywały włosy.

Ale ta ciemność, to nagle, długie nic... Co widziało oko Rentgena wnikając przez skorupę czaszki? Czemu kontakt, przerwany tak zupełnie, sam z siebie się nawiązał, co go zreperowało? Pierwszy raz w życiu zdarzyło się jej stracić przytomność w normalnym trybie. Poprzednie omdlenia, przed laty, też będące rezultatem fizycznego szoku, nie były tak automatyczne. Poprzedzało je coś w rodzaju zmowy duszy i ciała. Dusza wyslizgiwała się z ciała na jego żądanie, żeby mu wyświadczyć przysługę, żeby miało przerwę w cierpieniu. Robiła to na raty, dawała się prosić, ociągała się przed skokiem w nicość, jak ktoś bojący się wody, ktoś, kto, zanim da nurka, próbuje stopą, czy woda nie za zimna. A potem powracała równie ślamazarnie do swojej gwałtem cuconej powłoki. Przesłuchiwanie rozpoczynało się od zera.

Ciekawe, sam mechanizm takiego wyskakiwania bezpieczników. Nic wspólnego z zapadaniem w narkoleptyczne sny. Tych nie można by nazwać traceniem przytomności, były raczej przechodzeniem czy przeskakiwaniem z jednej, pełnej przytomności w drugą, inną, równie pełną przytomność.

Doktor nakrzyczał na nią odkrywwszy, że nazajutrz po wypadku poszła do pracy. A gdyby tak jeszcze wiedział, że zrobiła to głównie dlatego, ponieważ była umówiona z jego własną żoną. Tej klientki nie chciała odwoływać z bardzo niejasnych i złożonych powodów. Za to wczoraj, bardziej niż po upadku na lodzie, powinna być mieć zwolnienie z pracy. Wystarczyłby telefon do szefa. Prosto znad rzeki czy z kawiarni powinna była

wrócić do domu i położyć się. Nie zdawała sobie sprawy, że to aż taki szok, nie dośnić koncertu do końca. I że jej ręce, wdronżone do czesania, nagle ją zawiodą. Pierwszy raz w życiu. Mały, zbyteczny kosmyk na tłustawym karku doktorowej psuł linię. Sięgnęła po żyletkę. Rutyna. Wcale nie spała, nic jej nie bolało, była na pełnej jawie. I nagle ten krzyk, ta krew...

Prawdę mówiąc, skaleczenie było niewielkie, wystarczył mały plasterek. Przy zwyczajnym goleniu mężczyźni ranią się gorzej. Zaś krew jest ekshibicjonistką, zawsze na oko więcej jej się leje niż gdyby zmierzyć, no i przesadnie płami. Piesek obudził się, wystraszył i zeskokczywszy z kolan swej pani, zaczął cienko ujadać, potęgując dramat.

Gorszy od szczekania, od krzyku, był wzrok doktorowej. Spojrzała tak, jak gdyby Maria zrobiła to z premedytacją i miała zamiar uciąć jej głowę, a przynajmniej przeciąć tętnicę na szyi. Szef, czujny patron, zaraz zaaplikował alkohol na ranę, potem takie coś, czym zwykł tamować krew męskim swoim klientom, bo i jemu żyletka czasem płała figle, na to plaster, raz jeszcze przeprosiny, ależ nie, żadnej plamy na sukni pani doktorowej, mała kropelka na kitlu Marii też głupstwo, to się spierze. Za godzinkę będzie pani mogła zdjąć plasterek...

Maria niezbyt przepraszała, stojąc z opuszczonymi rękami jak gdyby na drugim brzegu tego wydarzenia. Zbladła podobno tak, że szef chciał ją gwałtem sadzać na krześle. Ale ani w głowie jej się nie kręciło, ani nic, żadnego usprawiedliwienia. Jej ręce, same, na własną rękę, popełniły tę gafę, tę niezręczność.

Gafę? Niezręczność? A jeśli to nie było tak całkiem niewinne?

— Straciliśmy klientkę — powiedziała potem szefowi grobowym głosem.

— Ale gdzie tam — wrzucił ramionami. — Czy ona gdziekolwiek indziej takie wcielenie cierpliwości jak pani? Gdy na was patrzę, sam bym czasem miał ochotę pokrajać ją na kawałki. Babsko przesadza. No i blokuje nam fotel. Przez ten czas mogłaby pani śmiało załatwić ze trzy ondulacje!

Co było prawdą, ale jak wszystkie prawdy myliło. I nie pocieszało.

### III

— Zabili mnie...

— Co ty opowiadasz, przecież żyjesz!

No nie, jeszcze i to? Jeszcze i to dźwiękowe tło, fragment starej taśmy. Już z „przeżyjemy, powrócimy” trudno było się uporać. Ładnie się zapowiada dzisiejsza niedziela!

Tak, dziś niedziela, wolna, a jutro także wolny poniedziałek. Dwa długie, wypoczynkowe dni. W pierwszej połowie tygodnia trudno powiedzieć, żeby czekał ją nawał pracy. Dopiero potem zaczynała się harówka, zwłaszcza odkąd szef, za przykładem konkurencji, wprowadził czwartkowe „nokturny”, czyli czesanie *non stop* do dziewiątej wieczorem. W piątki i soboty w każdym razie szła, wszystkie jej klientki, „pacjentki” mademoiselle Marie, jak podkpiwał szef, zapisywały się na gęsto do kolejki i każdej strasznie się spieszyno.

Po ostatnim czwartkowym nokturnie, włokąc się na obolałych nogach na swój cypel Wyspy, zobaczyła blondyna. Stał na przeciwnym trocie i studiował menu u wejścia do którejś restauracji. A więc nadal tu grasuje! Miał okulary na nosie, pewno takie do czytania, które zamazują dalsze widzenie, bo choć odwrócił się tknięty jakimś prądem, chyba jej nie zobaczył. Czy nie poznał. Było już zresztą ciemno. Na wszelki wypadek skręciła w prawo, zaraz za kościołem, nad rzekę, żeby go nie doprowadzić pod swój dom.

Obejrzała się parę razy. Nikt nie szedł za nią.

Wyspa zwęzła się czołenkowato u swych obu końców. Żebra poprzecznych ulic wychodziły od głównej osi ulicy świętego Ludwika albo na któryś z mostów, albo, ślepo, na murek nadbrzeżny. Od tej strony nie można było zejść w dół, na poziom rzeki, woda i bez powodzi podmywała kamienną burtę nie zostawiając miejsca na schodki, ławki ani próby teatralne. Drzewa, rodzaj połowicznej alei, rosły tu wyżej, wprost z chodnika, ujęte w kołnierze z ażurowej kraty, przez którą deszcz mógł przenikać do ich korzeni rozsadzających asfalt od spodu na parę metrów w koło, tak że ulica wiecznie była tutaj spuchnięta i popękana. Te drzewa były bardziej parkowe od tamtych z prawego nabrzeża, listowiem przypominały akacje i cykl miały spóźniony o pół pory roku. Wiosna dla nich zaczynała się u progu lata, za to jesienią długo stały zielone, długo trwały żółte, gdy tam, po drugiej stronie Wyspy ostatnie liście, upchane do plastikowych worków, czekały na zmiłowanie śmieciarzy i już tylko papierki i niedopałki przeganiał wiatr.

Tędy częściej przepływały krypy, a także turystyczne statki, no bo stąd widok był obowiązkowy, pocztówkowy na Notre Dame, iluminowaną na ich intencję.

Przystanęła, popatrzyła. Właśnie sunęła w dole wielka mucha statku, zamiatając reflektorami nabrzeże. Pod jej przezroczystym kloszem zaledwie paru amatorów nocnego Paryża. Już i jeszcze nie sezon. Katedra pozowała.

Klucząc jak zając, przeszła mostem na lewy brzeg, pod słupem świętej Genowefy, minęła pozamykane na kłódki kufrы bukinistów i, nakładając drogi, wróciła do siebie od przeciwnego końca Wyspy, od pałacu Lambert. W oknach obszernego salonu świeciło się. Koncert? Przyjęcie? Zresztą cisza, ani śladu gwaru czy muzyki. Z ulgą znalazła się we własnych czterech ścianach.

Radio? Trzeba by mieć zacięcie talmudysty albo zawodowego polityka, żeby porywać się na wyciąganie wniosków ze sprzecznych komunikatów. Z komentarzami jeszcze gorzej, mąciły w głowie do reszty. Z prasą podobnie. Kupowała pisma według sensacyjnych, reklamowych nagłówków. Biedna Polska, dzielni Polacy! Każdy ze specjalnych wysłanników własnym stylem przekładał to, co się tam działo. Właśnie, to były przekłady, bo tamtejsze wydarzenia, nawet gdy byli ich naoczniymi świadkami, działy się w obcym dla nich zestawie pojęć, z inną hierarchią wartości. Sama nie rozumiała, choć wydawało jej się, że czuje co się tam dzieje. Przez sam środek jej życia zaciągnęła się żelazna kurtyna i strumyk, z tych, co źródło mają po jednej, a płyną po drugiej stronie granicy, pod szlabanami, pod zasiekami, odżył w niej nagle, sztukując przerwaną nitkę. Nikt by o to nie posądził mademoiselle Marie i sama siebie, nie tak dawno temu, też by nie posądziła.

Nie posądziłaby siebie także o to, że wtedy, zamiast dalej uciekać, zatrzyma się przy trafionej kulą dziewczynie. I że to będą rozstajne drogi, skrzyżowanie dwu losów.

— Zabili mnie...

— Przecież żyjesz!

Te słowa nadal definiowały sytuację. Nieznajoma ze stoku sudeckiej góry, zabita, nadal żyje. Więc po co ją wskrzeszać, znowu w sobie jej słuchać? Tyle lat miała z tym spokój. Ufundowanie tablicy, kawał ze spowiedzią stanowiły zaklasowanie sprawy, uszczelnienie kurtyny. Mała fryzjerka z Wyspy nie czytywała gazet, nie słuchała wiadomości radiowych. Była jak powinna by być, gdyby jej nie zabili. Była stąd, tutejsza, jak szef, jak klientki. Niech na całym świecie wojna, nie wiadomo jakie tytuły pierwszych stron gazet, miało to niewielki wpływ na rozmówki w zakładzie fryzjerskim. Po damskiej stronie moda, dzieci, pieski, po męskiej owszem, polityka, ale wybory, nafta, inflacja, podatki. Zaś w niedzielne, takie jak dziś, poranki na wszystkich

francuskich falach głównym problemem, żeby nie wiem co, była pogoda, zatory i mecze.

Emigrowała z jednej stacji na drugą. Skondensowana w ebonitowym pudełku wieża Babel eksplodowała coraz to inną mową. Wyławiała z magmy dźwiękowej tu przekręcone nazwisko, tu równie przekręconą nazwę miejscowości. Wreszcie minęła pora porannych informacji. Czekać następnej godziny? W którym kraju?

Pozostała przy kioskowej skądś muzycze, na błękitnych falach Dunaju. Niedzielne lenistwo i ból głowy.

Okno, raczej okienko jej pokoiku, zakratowane dla bezpieczeństwa, bo parter, trochę więc więzienne, już było pełne zimowej jasności. Jak wyraźnie wydłużają się dni, co dnia o kurzą stopkę, o barani skok. W komunikacie meteorologicznym zapowiedzieli słońce i prawie mróz. Wiatr odciął biegunowi północnemu sam czubek góry lodowatego powietrza i napędza je tutaj. Tym lepiej, wołała to od paryskiej pluchy. Tym różniła się jednak od autentycznej Marii, dla której zero na termometrze to już byłaby Syberia, gwałt na klimatycznych przywilejach stolicy.

Zły znak, że dzisiaj, od brzegu do brzegu nocy, nie zdołała zmrużyć oka. Nasilenia narkoleptycznych ataków połączone bywają właśnie z taką niemożnością przychwycenia normalnego snu. Niby od środy, od przerwane go koncertu nic jej się nie przydarzyło, ale czuła się niewyraźnie. Zostać w łóżku? Może teraz zaśnie...

Z kranu kapąło miarowo. Gdy przymykała oczy, wydawało jej się, że kropla za kroplą drąży kość jej czoła na modłę średnio-wiecznej tortury. Basta, nie będzie tak leżeć do końca świata i czekać, aż woda wywierci jej dziurę w głowie. Najwyżej wpadnie w trans na ulicy. Albo to pierwszy raz? Ciało, porzucone, poruszające się jak automat, doskonale sobie dawało radę bez centralnego sterowania, nogi szły, ręce ścisnęły torebkę, torbę z zakupami. Wymijała ludzi, nawet przechodziła na drugą stronę ulicy i jakoś do tej pory nikt jej nie rozjechał.

Msza. Już msza? Dzwony z kościoła świętego Ludwika rozkołysały się z niedzielną solennością. Pani z Wyspy już tam pewno zmierza krokiem starej, bibliotecznej myszy. Gdy spotykały się na ulicy właśnie w takie niedzielne ranki, zamieniały parę słów, o niczym, ale z wzajemną sympatią.

— Proszę westchnąć za moją duszę — żartowała Maria.

— Zawsze to robię. Może pani spokojnie grzeszyć dalej — odpowiadała jej najstarsza tutaj znajoma.

Dzwony ją zmobilizowały. Spotkała sama siebie w lusterku. Niezbyt zachęcające spotkanie, przez białą noc przybył jej z rok. Może to się zmyje.

Wczoraj, w sobotę, jedna z „pacjentek” rozgadała się, wzbierały w niej wspomnienia. Już wyłuskana z kitla, już w futrze, stała patrząc na siebie odbitą w kilku lustrach naraz i paplała, choć wszystkim w rękach się paliło i, oprócz Marii, nikt jej tak bardzo nie słuchał.

Czy to możliwe, że są w tym samym wieku? Nie ma co się łudzić, mniej więcej tak. Ta dojrzała dama o siwiznie świeżo spłukanej na srebrno, o rumianych policzkach, co stwarzało pozory zdrowia, a tymczasem to były miniaturowe skrzepy w źle irygujących krew, zwapniałych naczynkach, była w czasie wojny pensjonarką. Przed maturą. Więc...

Z wynurzeń tej pani wynikało, że był to prawdziwy pensjonat, internat, prowadzony przez siostry w krochmalonych kornetach. Rygor tam był taki, że gdy z sypialnego piętra zeszło się do jadalni z jednym kosmyczkiem na sztorc, siostra dyżurna odsyłała do pokoju. — Mademoiselle, zapomniała się pani uczesać... Po tym najlepiej widać, jak czasy się zmieniły. Któżby teraz, w najbardziej ekskluzywnym pensjonacie, śmiał zwrócić podobną uwagę rozkudłanej pannie?

Właśnie, różnice w „trzymaniu” pokoleń, pożałowania godne rozluźnienie obyczajów zagajone przez kogoś z sąsiedniego fotela, ożywiły w mózgu tej „pacjentki”, też pewno nabiegłym siateczką skrzepów, zasuszone wspomnienia. Nawet na majówce nie wolno było mieć potarganych włosów! Majówki... Jeździło się wtedy najdalej do Fontainebleau. To jednak była okupacja. I pociągami, nie żadnymi autami. Co za wyprawa, wtedy, Fontainebleau, co za święto! Z najbliższą przyjaciółką, zaraz, jak jej było na imię, mniejsza o to, należały do grupy Jeanne d’Arc. „Zanetki”. Grupa rywalek z klasy obrała sobie Jacques Cœur za patrona. Było się wtedy bardzo patriotycznym, bardzo w stylu „stara Francja”. Jacques Cœur, cóż za pomysł! Tradycyjny konkurs majówkowy polegał na tym, które ze stronnictw ładniej przyozdobi stół piknikowy. Te od Jacques Cœur, nie wysilając się, uplotły z liści serce, istny wieniec cementarny. Za to one, Zanetki, dokonały cudów. Czego tam nie było, lilie i korony, a jak artystycznie, jak pomysłowo, dosłownie z niczego zrobione! Ta przyjaciółka (zaraz sobie przypomni jej imię) miała i gust i brylantowe rączki. Artystka!

Ale czy sprawiedliwość istnieje? Tamte od Jacques Cœur,

z ich wulgarnym klopsem na środku stołu i tak wygrały. A dlaczego? Bo ich przywódczyni była oczkiem w głowie Siostry.

— Oczko? Pierwsze słyszę, że to się wabi oczkiem w głowie — szef wtrącił zwykłą sobie szczyptę attyckiego pieprzu.

Parę antyklerykalnych chichotów, tak, tak, różne rzeczy działy się w klasztorach.... To by było nic, ta majówkowa afera, gdyby i na co dzień owa faworytka nie była istną plagą. Podejrzany zresztą typ, niezbyt katolicki. Czasem aż ręka swędziła, żeby donieść gdzie trzeba.

— No nie — wycofała się dama skwapliwie— nigdy na żaden donos nikt by się nie zdobył. Milicja musiała jakoś na to wpaść sama. W każdym razie, już nie pamięta jak do tego doszło, nieznośne dziewczuszyisko zniknęło z pensjonatu przed rozdaniem świadectw. A zgarnęłaby z pewnością wszystkie pierwsze nagrody!

Nie, nie ma pojęcia, co się z nią stało. Zresztą z żadną z koleżanek nie utrzymała kontaktu. Nawet z tą przyjaciółką od serca. Taka była jakaś zła atmosfera w klasztorze, że maturę przyjęły jak zwolnienie z więzienia. No i wojna akurat się skończyła. Ale proszę, co znaczy przypadek, kiedyś — i to gdzie, na stacji Châtelet, w godzinach szczytu! — natknęła się na tę serdeczną przyjaciółkę! Nos w nos! Tam, gdyby nawet specjalnie się umawiać, nie tak łatwo się odnaleźć. Przeszło dwadzieścia lat później — i poznały się! Natychmiast. Tłum dosłownie popchnął je ku sobie.

Jak tu wyjść, już zapłaciwszy, już rozdawszy napiwki, bez opowiedzenia końca tak niezwykłej historii. W Paryżu spotkać kogoś znajomego na ulicy graniczy z cudem. A tu nagle ktoś tak bliski, choć już zapomniany. Do tego inne ubranie, uczesanie, ćwierć wieku więcej na twarzy. Mijając się, z pewnością nie zwróciłyby uwagi jedna na drugą. Ale stanęły twarzą w twarz.

— I co? Odżyła stara przyjaźń?

— No niby tak, na pięć minut. Zdążyłyśmy upewnić się nawzajem, żeśmy się wcale nie zmieniły. Co nie było prawdą. No, uśmiech jej pozostał ten sam, musi mieć dobrego dentystę. Ja musiałam zaraz się przesiadać, ona jechała dalej. Niebawem! Cały ten czas żyła w Paryżu i pewno wciąż żyje. Nie, już nigdy więcej się nie spotkałyśmy, choć zawsze na Châtelet, a często jeżdżę tą linią, rozglądam się dokoła. Tyle, że po dalszej porcji lat szkoda gadać, trudniej z rozpoznaniem.

Dama przeglądała się we wszystkich lustrach, *en face* i z profilu, wielogłowa. Poznałaby siebie, gdyby tak sama na siebie trafiła po latach? Żaden uśmiech nie zdoła odgarnąć rysów byłej

„Zanetki” spod namuleń, zacieków, zmarszczek, fałd. Westchnienie. Za utraconą przyjaciółką? Za sobą?

No to do przyszłej soboty. Tak, ta sama godzina, czy na pewno zapisała pani, panno Mario?

Ważna dla Marii relacja. Wzbierające, zamulające pamięć i rysy lata mają dobrą stronę. Z całkowitym spokojem może chodzić po mieście i jeździć kolejką. Takie niefortunne konfrontacje to jak los na loterii. Nic jej już nie grozi.

Z początku, tak. Gdyby wiedziała jak to zrobić bez ryzyka, zafundowałaby sobie operację plastyczną, inny nos, inny rysopis, jak to robią w kryminalnych powieściach ukrywający się zbrodniarze. Dzięki woreczkowi z fortuną zabitej w sudeckim lesie dziewczyny byłoby ją na to stać. No ale trzeba by mieć znajomego chirurga. Jeszcze by ją wtedy wzięto za starającą się uniknąć odpowiedzialności kolaborantkę. Zresztą, chcąc to dobrze zrobić, musiałaby mieć fotografię zabitej, dorobić sobie jej wolnościową twarz. Niepodobieństwo.

A odciski palców? To ją gnębiło z początku. I też przedawniło się, chwala Bogu, bez wpadki.

W pierwszym okresie obawiała się nie tylko demaskatorskich spotkań, własnych czy tamtej dziewczyny znajomych, lecz także przejęzyczeń. Akcentu. Niemożności przychwytywania skrótowych, obiegowych aluzji. Przedwojenna francuszczyzna, wpojona w nią przez mademoiselle Fabienne, jej wychowawczynię, była zbyt poprawna, zbyt Comédie Française. Nikt tak na co dzień tu nie mówi, a cóż dopiero zwykła fryzjerka. No i przykurzył jej się ten język w obozie. Teraz wszystko w porządku. Dowcipy szefa chwyta w lot, wtóruje pacjentkom jak rodzona rodaczka, odpowiada im dokładnie tak, jak się tego od mademoiselle Marie spodziewają. Na oko i na ucho spokój od francuskiej strony.

Zaś stamtąd, z przedtem, kto ją w ogóle pamięta tak, by teraz mógł rozpoznać po uśmiechu czy po czym, nawet gdyby w tłoku podziemnej kolejki los zetknął ją nos w nos z kimś z poprzedniego życia? Nie było ono długie, nie zdążyła zostawić wiele śladów po sobie. Jej rówieśników przetrzebiła wojna. A jeśli nawet ktoś z bliższych koleżanek czy kolegów przeżył i przyjechał akurat do Paryża, to przecież wie, że ani ojciec, ani ona nie powrócili z obozu. Tablica wmurowana w ścianę kościółka, data śmierci niedwuznacznie wyryta. Gdyby ją ktoś taki napotkał i coś go tknęło, pomyślałby: cóż za podobieństwo! Chadzają po świecie sobowtóry. Z ksiąg stanu cywilnego z pewnością oboje z ojcem najformalniej są już odpisani, to się tam



milionom przydarzyło, nikt żadnego świadectwa zgonu nie wymaga. To się nazywa: zaginać bez wieści. O ile te księgi nie popaliły się w jakimś bombardowaniu. W takim razie kto udowodni, że przeszli przez ten świat, że w ogóle nań przyszlizli? Nie ma ich, a czy byli, jest bez znaczenia.

Po ojcu pozostały pewno jakieś administracyjne czy społeczne ślady, był dorosły, pracował, płacił podatki, do czegoś należał. Ale ona? Nawet paszportu nie zdążyła mieć, o żadnych wyjazdach za granicę mowy dla niej jeszcze nie było, więc i o odciskach palców. Mademoiselle Fabienne projektowała dla niej wyjazd do Francji po maturze. Do matury nie doszło. No tak, miała wojenną Kennkartę, ale tę jej odebrano. Z czym więc — i kto — jej odciski palców by porównywał?

Z tutejszą Marią, w której skórę wcisnęła się na modłę turkucia podjadka i którą samozwańczo kontynuuje, analogiczna zapewne historia. Gdyby jakimś cudem dotarł na Wyspę ktoś, kto był jej przedtem bliski, byłoby to groźne parę dziesiątków lat temu, ale teraz... Co by w razie czego ten ktoś stwierdził? Że zmieniła się nie do poznania. I że ma złą pamięć. Mógł jeszcze na nią spaść jakiś, nie daj Boże, spadek. Uparty, prowincjonalny notariusz, przedpotopowo uczciwy, wykrywszy że tamtej Marii coś się po kimś, dziesiąta woda po kisielu, należy, mógłby po nitce do kłębka trafić za nią na Wyspę. Francuzi mają tyle ciotek i pociotków, wciąż ktoś im umiera, o kim nigdy, póki żył, nie pamiętali i pozostaje scheda do podziału. Wówczas, przy bliższym zbadaniu, mogłoby się wydać, że ona nie ona. Też niekoniecznie, bo jak? Tamta Maria też pewno nie miała czasu ani okazji, by odciskiwać palce w innych urzędach poza Royan. A Royan zbombardowano. W przeciwnym wypadku już by na to trafiła policja.

Przy staraniach o pierwszą kartę tożsamości kazano jej umoczyć kciuk w tuszu i odcisnąć na formularzu. Dusza przysiadła jej na ramieniu w tym momencie. No i nic.

Od tamtej pory jej własne linie papilarne, podobno niepowtarzalne, każdemu indywidualnie przydzielone, związane są najformalniej w świecie z cudzym nazwiskiem, tak, ale z jej własną fotografią. Autentyczna Maria, gdyby zmartwychwstała, miałaby większe kłopoty z udowodnieniem swej tożsamości. Nie, musiałyby stać się coś nadzwyczajnego, ktoś by musiał ją zamordować, albo ona kogoś, żeby policji zachciało się otwierać akta, porównywać, sprawdzać.

Same sprzyjające zbiegi okoliczności. Ubóstwo tej rodziny, więc jakie tam spadki. Fakt, że matka zabitej dziewczyny była

lokatorką, a nie właścicielką zbombardowanej willi w Royan. Żadnych więc praw do gruntu pod gruzami, żadnych za te gruzy odszkodowań, starań o subwencję na odbudowę, na czym całe Royan się dorobiło. Bałaby się tego podjąć, rezygnacja też mogłaby się wydać podejrzana. Skoro niby przeżyła i skoro się należy...

Uzurpacja identyczności, nikomu w końcu nie wadząca, przysłała sama z siebie, bez premedytacji. Wcale nie po to jechała do Royan. Listy z woreczka zdjętego z szyi zabitej dziewczyny przydały jej się najpierw doraźnie, po drodze. Łatwiej było Francuzce repatriować się, niż ogołoconej ze wszystkich papierów cudzoziemce starać się o wjazd do Francji. Więc podała się za tamtą, dla uproszczenia. Poszło gładko. Pozwoliła sobie również upłynąć jeden ze złotych łańcuszków z woreczka. Bez żadnych skrpułów. To był wojenny łup, wojennym bezprawiem zdobyty, w dziesiątych z kolei rękach, nikt by i tak nie doszedł prawowitej właścicielki, z której szyi ten łańcuszek został ściągnięty. Musiała przecież na początku z czegoś żyć, za coś kupić choćby bilet do Royan. Całą resztę wiozła, wraz z listami, by najuczciwiej w świecie oddać to matce. Taki był cel jej podróży.

Nie swojej matce. Swoją ledwo pamiętała z fotografii, z opowiadań ojca. Cudza, żyjąca w obcym kraju, w nieznanym mieście, nasunęła jej się nie wiadomo jak i kiedy na obraz własnej, której braku szczególnie do tej pory nie odczuwała. Spiesząc do cudzej, jakby do własnej nagle się spieszyła, licząc na nie wiadomo jakie odnaleziny. Na adopcję?

Nawet nie przenocowała wtedy w Paryżu, w drodze z Niemiec. Zmieniła dworzec.

Pociąg włókł się, brudny, zapchany, nadal jakby okupacyjny. Pasażerowie nie wyglądali na upojonych wolnością. Śmierdzieli swojsko potem, cudzoziemsko czosnkiem, kwaśnym winem, czarną machorką. Deptali sobie po nogach, tarasowali przejście do ubikacji tobołami, źli i nawzajem nieżyczliwi. Jak w transporcie. Całą noc przestała, co dla niej nie było żadną nowością i poprzez łoskot kolejowego żelastwa łowiła strzępki mowy, po wierzchu znajomej, w głębi obcej, w której przyjdzie jej odtąd pływać, a nie wiedziała do jakiego stopnia potrafi. Co innego domowa konwersacja z mademoiselle Fabienne; piątki z klasówek, a co innego życie na co dzień. Już wtedy, w pociągu, wiedziała, że nie wróci, ale nie wiedziała do jakiego stopnia tu zostanie. I to ich tempo! Kłócąc się czy żartując, jakże oni szybko parlowali!

Przykra misja, wieźć matce wiadomość, że córka nie żyje. I że na dodatek zginęła tak głupio, dosłownie w ostatnim podrygu wojny. Jakby wpływ morze przepłynąć i utonąć przy samym

brzegu. Takich misji lepiej nie odkładać, skoro się obiecało. Piliło ją i dane konającej słowo i zawartość woreczka, wszystkie te złota i brylanty, o które cały czas drżała, żeby i jej z kolei ktoś tego nie ściągnął z szyi.

A także — i to może było najważniejsze — cudza matka stanowiła wtedy dla niej jedyną konkretną obecność na świecie, zaś adres, przepisany z któregoś listu na osobną kartkę, żeby — gdyby pamięć ją zawiodła — nie musieć przy ludziach wyciągać woreczka spod bluzki i szperać w nim, był jedynym adresem, pod który mogła i chciała się udać.

Dziewczyna z lasu, gdyby nie trafiła jej kula, jechałaby może tej samej nocy, tym samym pociągiem, pod ten sam adres, do domu i serce wcale by jej mocniej nie biło.

Przesuwało jej się to w głowie w czasie całonocnej drogi, aż się poprzesuwało i trwa do dziś. Chociaż wtedy, jadąc, nie wiedziała co z tego wyniknie, co ją czeka, kto ją czeka, jak zostanie przyjęta. Nie wiedziała czego się właściwie spodziewa śpiąc do Royan.

Rano się okazało.

Nikt nie czekał. Ani na jedną, ani na drugą Marię, na żywą ani na zabita. Gdy po długim błędzeniu, wypytywaniu niechętnych przechodniów, trafiła wreszcie na tę ulicę i stanęła przed kupą gruzów, wydało jej się najpierw, że wsiadła do złego pociągu, że powiózł ją w odwrotnym kierunku i znowu jest na przykład w obróconej w proch i pył Norymberdze. Nie miała pojęcia że Royan spotkało coś podobnego.

Jednak to było tu. To miasto, ten adres. Numer przy ocalałej jak na ironię furtce zgadzał się. Żadnych wątpliwości. Tutaj było miejsce na dom i na matkę. Za ten oto łańcuszek powinna by pociągnąć, żeby odezwał się dzwonek i żeby otwarły się drzwi.

Ale drzwi nie było.

Przytrafiła jej się wtedy mała zapasć, druga czy trzecia, jeszcze ich wtedy nie liczyła i nie brała pod uwagę. Nagle, jak w podłym kinie, zerwała się taśma. A raczej do bieżącej taśmy włączył się fragment innego filmu. Trwało to sekundę, prawie nie zdała sobie sprawy z substytucji. Stała oto przed domem, własnym domem sprzed wojny, sprzed aresztowania, w którym czekali na nią matka i ojciec, oboje żywi. Dom nie był zburzony, był zamknięty. Wyciągała rękę do klamki, nie do żadnego łańcuszka z dzwonkiem na końcu. Klamka była zimna, śliska, wyczyszczona do połysku sidolem. Starła się tak ostrożnie nią poruszyć,

by nie zgrzytnęła. Sprawić tamtym dwojgu niespodziankę swoim powrotem.

Wszystkim w obozie śniły się takie powroty, otwieranie drzwi. Klasyczny sen. Cała różnica, że jej się to wydarzyło naprawdę, w narkoleptycznej jawie.

Gdyby ktoś tutejszy, z ocalałego na tej samej ulicy, odłamkami tylko pokiereszowanego domu, podszedł do niej wtedy i zapytał kogo szuka, czemu tak pod tą furtką wystaje, powiedziała mu z pewnością prawdę: szuka matki zabitej dziewczyny. I żadnego dalszego ciągu by nie było. Nie mogłaby się wsunąć w biografię tamtej, gdyby choć jedną osobę powiadomiła o jej śmierci. Ale nikt się nie zjawił. Para zdziczałych kotów łąziła między dachówkami zarastającymi trawą. A jeśli ktoś zza sąsiedniego węgła, zza uchylonej firanki, cichcem ją podpatrywał, gdy stała tam kto wie ile czasu, przysięgałby na jej korzyść. Tak by się zachowała prawdziwa mademoiselle Marie, wróciwszy, zastał swój dom w ruinie.

Czy dopiero wtedy, u tej furtki, zaczęła się ich wzajemna metamorfoza? A może już w lesie, tamtej nocy? Krew dziewczyny, ciurkając tak pospiesznie, w tak zdumiewającej obfitości, że aż dziw ile tego płynu mieścił w sobie rezerwuar chudziutkiego ciała, może wcale nie wsiąkała w szmaty, w ziemię, tylko przepływała w jej żyły? Rodzaj rytualnej transfuzji, pół na jawie, pół we śnie. Noc trwała tak długo, a zresztą jawa, czyli rzeczywistość stanowiła tamtej nocy większy absurd niż jakikolwiek sen.

Nie spostrzegła kiedy krwotok ustał. Gdy w pewnym momencie ocknęła się, dziewczyna była jeszcze ciepła, ale już martwa. Ustał oddech, ustał puls. Przestało bić źródło.

Wynosząc i z domu i ze szkoły całkiem przyzwoiła francuszczyznę, nie myślała, że jej się to aż tak przyda. Wszystko rozumiała. Przepowiedziała sobie dla pamięci wyszeptywane, wyjąkiwane przez dziewczynę polecenia. Zdjęła z jej szyi woreczek. Supetek ustąpił, nie musiała dźwigać martwej głowy, obojętne było bez strachu i bez wstępu. Zawiesiła go sobie na szyję, wsunęła go pod suknię, jak tamta. Jeszcze ciepły. Z zamknięciem powiek poszło gorzej. Nie chciały się zamknąć, albo było na to za wcześnie, albo za późno. No i nie miała w tym wprawy, choć mus był, atawistyczny. Umarłym zamyka się powieki.

Trudno. Koniec. Należało czym prędzej odejść od tego trupa. A zwłaszcza odejść od drogi.

A grób? Nie przyszło jej wtedy do głowy, że powinna była choć trochę zabezpieczyć ciało, przysypać je ziemią, przywalić ka-

mieniem. To było wykonalne. Mówi się: ostatnia posługa. Obmywa się z krwi, z ekskrementów. O tym nawet nie pomyślała. Była żywa i nie miała czasu. Kto zresztą oddawał wtedy zmarłym jakiegokolwiek posługi?

Ważne było zaszyć się w las. Ważne, dotrzymać przyrzeczenia, oddać matce ów dziwnie ciężki, pękaty woreczek. Według adresu. Czyli tu.

Któraś ze zrujnowanych uliczek wyprowadziła ją nad morze. Nie, nad ocean. I tam dopiero zakiełkował w jej głowie ów pomysł. Rozwiązanie. Jak gdyby któraś z fal przyniosła go wraz z pianą na swoim grzbiecie i złożyła na piachu u jej stóp. Przydeptała go, taki jej się wydał nonsensowny i niemożliwy do zrealizowania i zapomnieliby o nim, gdyby nie nocleg, przygotowany dla niej przez przypadek. Czyli przez los.

Do Royan jechała jako nikt. Jako Maria. Do Paryża wróciła jako mademoiselle Marie.

#### IV

Dobrze się rozpędziwszy, można by Wyspę przeskoczyć, jeżeli nie w pasie, to po ostrych końcach jej czółenka. A jednak opuścić ją, zejść na prawy lub na lewy brzeg jej pokładu, cała wyprawa. Szef, patrzący na wszystkich z góry, bo nie tylko jego ojciec ale już dziadek tutaj, w tym samym nawet domu się urodzili, a więc potomek zanikającej rasy autentycznych ilotów, fryzjer z ojca na syna, zwykł uroczyście zapowiadać, że „idzie do Paryża”. Czyli przechodzi przez któryś z mostów.

Atawistyczne, niewidzialne przegrody dzieliły także samą Wyspę na osobne człony. Jedyne całkiem nowi jej mieszkańcy, albo turyści wszystko widzący po wierzchu, nie wyczuwali, że ulica Dwu Mostów stanowi trudną do przebycia fosę. Żyjąc na jednym cyplu, nikt bez specjalnego musu na drugi się nie przeprawia dlatego, że kiedyś, a raczej ongiś potrzebna była na to łódź albo prom. Może i dziś Sekwana płynie potajemnie pod asfaltem, od mostu do mostu i może nadal Wyspa składa się z małych, tylko na oko scalonych wysepek?

Objęta ramionami rzeki wyłącznie i zazdrośnie wcale nie jest odcięta od miasta. Parę kroków którymkolwiek z mostów, a jest ich w nadmiarze, i już Paryż, prawy czy lewy. Bez kopytkowego, bez myta i bez przewoźnika.

Lekki mrozik nie zasługiwał na to, by jak Chopin okrywać

się wszystkimi możliwymi płaszcami. Owszem, zjadliwy wiatr, surfujący po sprasowanej na płasko, na drobno rzecznej fali... Mało jej nie zwiało z mostu. To on tak wypolerował niebo, że ani chmurki.

Wcale nie wczesne rano, nawet jak na niedzielę. Słońce dźwignęło się już dostatecznie wysoko, by mieć ukośny wgląd do okien trzeciego piętra, nad parterowym zakładem fryzjerskim. Tam mieszkał szef. Miał zawieszony nad ulicą mini-ogródek, skrzynkę wiecznie zielonego bluszczu, a z wiosną doniczkę fuksji lub pelargonii. W niedzielne ranki lubił wysiadywać w otwartym oknie i, wychylony, z łociami na drewnianej barierce balkonu, zabawiał się w wyspowego konsjerża, mając z góry doskonały wgląd na ulicę. Wiedział, kto był na mszy u świętego Ludwika, kto wolał przepawić się betonową kładką do Notre Dame, kto jakie zrobił zakupy, kto będzie miał na deser lody od Berthillona, a kto tort od cukiernika z ulicy Dwu Mostów. No i kto w jakim towarzystwie spędził noc.

Do znajomych, a znał połowę Wyspy, pokrzykiwał z góry, wypytywał jak im się spało, jak zdrowie dzieci i wnuków, jak idą interesy. Wszyscy wiedzieli, że w zasięgu jego wzroku żaden pies nie ma prawa załatwić się na trotuarze. Nawet pinczerek doktorowej.

Tak samo musieli wyglądać niedzielami z tego okna jego ojciec i jego dziadek. W osobie szefa przechowywały się szybko topniejące resztki prowincjonalności Wyspy.

A więc, jeżeli ten wicher nie zawiewa mu prosto w okno, wnosząc Syberię, on tam już na pewno zasiadł jak w łoży. Kogo jak kogo, ale Marię natychmiast by zatrzymał i, zadzierając głowę do góry, musiałaby mu na całe gardło spowiadać się, dokąd zmierza i po co. Była w tym czysta życzliwość, poza ciekawością, ale nie lubiła krzyczeć, no i była możliwość natknięcia się na doktorową, jeśli z jakichkolwiek powodów nie mogła wczoraj z mężem wyjechać na *week-end* do ich normandzkiej posiadłości.

Czy wciąż ma plasterek na szyi? A jeśli wdało się jakieś zakażenie?

Na Panią z Wyspy, zawsze miłe bo niezobowiązujące i przychylne spotkanie, było za późno. Msza się skończyła. Wolała więc ze swej bramy skrócić od razu w lewo. Parę kroków i już się schodziło z Wyspy, już było się za granicą.

Krok w prawo, albo krok w lewo — od tego czasem zależy życie. Albo śmierć. Gdyby się człowiek nad tym zastanawiał, tkwiłby w miejscu, lękając się wyboru. Na przykład dziewczyna

z sudeckiego lasu. Gdyby zdobyła się na pójście w lewo, drogą, żyłaby do dziś, osobiście, a nie *per procura*.

To prawda, pójście w lewo wydawało się większym ryzykiem. Przez kilka kroków, kilka metrów drogi pozostawało się na widoku, na muszce karabinu i las, zbawczy las, w który ta droga później zbyt łagodnym skosem się zagłębiała, zdawał się odległy o sto mil, nieosiągalny. A jednak Maria chwilę przedtem właśnie tak zrobiła, skręciła w lewo i to wcale nie ucieczkowym truchtem, co by na pewno przyciągnęło uwagę wartownika, lecz spacerowo, naturalnie, tłumiąc w sobie instynktowny, zajęczy skok. Tych kroków w lewo było dwadzieścia i siedem, nawet je dla odwrócenia własnej uwagi liczyła i do dziś tę liczbę pamięta, uważając ją za sprzyjającą. Dwadzieścia siedem kroków, cóż to jest! Ale cóż to było! W tamtym momencie, w wymuszonym na sobie zwolnieniu. Wreszcie uff, zakręt, skraj lasu, osłona zarośli. Ocalenie.

Przypadła za pierwszą skałkę, za pierwszy krzak, bardziej zadyszana po tym statecznym na siłę spacerku niż gdyby dobiegła tu sprintem. Musiała odetchnąć, zebrać siły na dalszy ciąg. Z tego podwyższenia widziała jak na dłoni manewry tamtej dziewczyny. Co ona wyrabia, zachęcona zapewne jej przykładem, jak się zabiera do ucieczki? — Ty idiotko! — wymyślała jej w myśli i jeszcze gorzej, po lagrowemu — przecież wpadniesz i ja wpadnę przez ciebie! Kto słyszał, tak się wiercić, wahać, wysuwać krok naprzód i cofać, tak się rozglądać na wszystkie strony! Nie widziałaś, jak ja to zrobiłam? Nie wiesz, jak to się robi? Wstaje się jak gdyby nigdy nic w wypatrzonej kątem oka, sprzyjającej chwili i idzie się, wolno, wolniutko. Nie kłapiąc, broń Boże, drewniakami. O tak, teraz, wartownik odwrócił się tyłem do drogi, patrzy na tory kolejowe, nie widzi cię, więc teraz, już! *Los!* Ale cóż ty robisz, nie tędy, na miłość Boską, nie tam, gdzie ty leziesz, durna, pod górę, po drugiej stronie drogi, wprost, gdy trzeba albo w lewo, jak ja, albo jeszcze lepiej w prawo, dwóch naraz gonić nie będą. Przecież tam z miejsca taka stromość, nigdy się nie wygramolisz, i choć niby krzaki, cały czas jesteś na widoku. A on zaraz się odwróci! Złaż z powrotem na drogę, prędzej, widzisz że za stromo, za goło, za kamieniście. Jeśli zdecydujesz się w lewo, masz tylko dwadzieścia siedem kroków do zakrętu, do lasu. Na płasko...

Dolina była wąska, prawie rozpadlina. Dnem biegł potrójny nurt: tory kolejowe, droga i rwący potok. Na całe szczęście droga była na skraju, przylegała ściśle do gołego stoku i dopiero te ileś metrów dalej wsuwała się w las.

Wartownik ledwo trzymał się na nogach, ledwo widział na oczy. Też człowiek. Reszta popadała i śpi. Gnający i gnani te same kilometry mieli w kościach, paraliżowało ich jednakowe zmęczenie. Kolejowy barak nie mógł pomieścić ewakuowanych więźniarek, choć próbowali upychać je kopniakami i ciosami kolb. Część porozkładała się więc na zewnątrz, pokotem, jak kto mógł. Esesmanki i esesmani drzemali na siedząco, oparci plecami o ściany baraku od strony torów, tam było mniej mokro. Wilczury pozwijały się w kłębki i też śpią, skonane. Jednego, jedyne go wartownika wystawili do pilnowania transportu, nawet się kłócili, szwargocąc, który ma się pierwszy poświęcić.

Na tym chwilowym etapie, w tej nie wiadomo jak długi mającej trwać przerwie, była więc szansa by się urwać. Pierwsza i może jedyna. Ostatnia. Nie było co się zastanawiać. Teraz! Już!

Jej samej tak jakby się udało, aż za łatwo. Już jest w lesie, ukryta za skałą. Ponieważ zdobyła się na dwadzieścia siedem kroków odkrytą częścią drogi w lewo. Ale tamta? Myśli, że się wydrapie pod stromą górę nim wartownik się odwróci? Alpinista w najlepszej kondycji tutaj by tego tak szybko nie dokonał. Samobójstwo! Głupota.

Jak zahipnotyzowana, asystowała uciekinierce nie z tak bardzo daleka, dopingując ją, przestrzegając, przeklinając, bezsilny reżyser. Zastanów się, nieszczęsna! Jeżeli już potrafiłaś jakimś cudem wspiąć się o ten marny metr, a masz ich jeszcze ze sto nad głową, daj już spokój, przestań dyszeć, gramolić się jak zimowa, niedołączna mucha, przyłgnij raczej do skały, o, właśnie do tej, którą masz pod nogą, pod ręką, zamień się w kamień, w szmatę, udawaj trupa! Wartownik drzemie na stojąco, może ujdiesz jego uwadze, trupów teraz po lasach mnogo.

Ale nie! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że pnąc się wyżej, wcale się od transportu nie oddalasz, tylko wznosisz się ponad niego, wciąż pozostając w zasięgu oczu, w zasięgu strzału? Łatwy, nęcący cel. No i ten żwir, kamyki osypujące ci się spod rąk, spod nóg, grzechoczące po drodze, przeskakujące z rozpędu przez drogę pod samą ścianę baraku. Przecież on nie głuchy...

No, tak. Stało się. Musiało się stać. Usłyszał. Odwrócił się. Zobaczył. Ślepy by zobaczył. I nic, patrzy. Bawi go ta niedołączna wspinaczka. Chyba się śmieje? Tak, śmieje się. Białe zęby w opalonej twarzy. Młody, przystojny blondyn. W jej wieku. Kolega...

A może nie taki zły? Wygląda sympatycznie z tym uśmiechem. Może nie zechce mu się zdejmować karabinu z ramienia?



Reszta eskorty śpi. Więc nie musi wykazywać służbowej gorliwości. Zaraz koniec wojny, on o tym dobrze wie. I tak połowa transportu stopniała po drodze, dawno przestali ustawiać je w piątki, bawić się w apele, w odliczanie. Więc jedna więcej, jedna mniej... Część eskorty też się pourywała, poporzucali po lasach broń, poniszczyli legitymacje, poprzebierali się w cywilne ubrania. Co przytomniejsi wypalają sobie pewno zapalniczkami, papierosami, kwasami kompromitujące od jutra stygmaty pod pachą. To byłaby przesadna, anachroniczna nadgorliwość. Nie rób tego, po co ci to, ta dziewczyna może być twoją dziewczyną, od jutra. Postój, popatrz, widok istotnie śmiechu wart, zerknij na kolegów, pootwierali usta, chrapią jak zabici. Machnij ręką, odwróć się, szkoda kuli.

Zaden z wilczurów nie drgnął, nie otworzył oka, nie popędził za głupią owcą usiłującą odbić się od stada. Skoro nawet psom wszystko jedno...

Zadecydował kamień. Kawał skruszonej, podmytej wiosenną odwilżą skały oderwał się spod ręki czy spod nogi dziewczyny i, podskakując, przetoczył się przez drogę pod obłocone buty wartownika. To było jak rozkaz przeznaczenia.

Wciąż bez pośpiechu, bez złości, z uśmiechem, młody i miły blondyn zsuwa oto karabin z ramienia, odbezpiecza zamek. Szczęk metalu. Podnosi broń, celuje. Starannie, pedantycznie, jak na zawodach strzeleckich, gdy ma się ambicję trafić w asa. Na taki dystans żadna sztuka. Czemu to robi? Mógłby najpierw krzyknąć: *halt!* Oni tak lubią krzyżeć. Czemu nie wyśle po zbiega psów? Od tego są. Gdyby krzyknął, gdyby je poszczuł, natychmiast by się poderwały na cztery łapy, jednym susem by ją dopadły. Zaś ta dziewczyna zsunęłaby się z góry szybciej, niż się na nią wdrapała, z większą skwapliwością. Może nawet z ulgą? Nie taka prosta rzecz odbijać się od stada, bo co dalej? Niech by jej dał w twarz, niech by leżącą skopał, niech by dał psom z nią się pobawić...

Ona wróci! Krzyknij-że *halt!* Ona zaraz posłucha i wróci. Nigdy już więcej nie spróbuje uciekać. Ona chce żyć!

Jeszcze chwila, nie wiadomo jakim czasem mierzona, by aż na tak długo zawisnąć w powietrzu. Za skałą, za krzakiem, w prowizorycznym swym obserwatorium, Maria zamknęła oczy, jakby sama była na widoku, na muszce. Nareszcie. Jeden strzał. Po co więcej? I nie krzyk, tylko pisk tamtej dziewczyny, jakiś taki nieproporcjonalny. Mała lawina osypujących się kamyków. I zaraz wściekle ujadanie przebudzonych, nie mających czystego sumienia wilczurów.

Musiła chyba zemdleć, albo całkiem oślepnąć, ze strachu do reszty skamienieć, co ją uratowało. Gdyby była przytomna, odgłos strzału poderwałby ją do dalszej ucieczki w las. Co za frajda dla psów, z miejsca mogłyby się podwójnie zrehabilitować. Nie chcący udała trupa.

Tymczasem na drodze znowu rozwinął się absurdalny pochód. Dokąd je pędzili i po co? Szli i szli, aż przeszli mimo, bliżej niż na zasięg strzału. Dolina opustoszała. Pod kolejowym barakiem zostało trochę porzuconych tobołków. Czyjś jeden trep, na samym środku drogi. Nie pozwolili komuś po niego się schylić.

I cisza. Spokój.

Teraz doszły do głosu kaskady. Bełkotliwie, wiosennie. Boki, piersi, plecy gór, popękane, tryskały wodą. Nitki strumieni łączyły się w żyłki, w żyły, splatały w sieci, społem rwały do potoku na dnie doliny. Na szynach kolejowych, lśniących w słońcu jak one, stało parę odczepionych wagonów.

W tym ogólnym szumie, pośpiechu, radości znieruchomiłe wagony, na pół rozwalony barak, pod nim tobołki, samotny trep i zabita dziewczyna były jak coś, co powinno się koniecznie uprzętać, bo zaśmieca krajobraz. To powinno spłynąć z wodą. Przeszkadzało.

Tegoroczna Sekwana, choć tak wezbrana, nie zdołała jeszcze zalać muzeum pod gołym niebem, wygospodarowanego na lewym brzegu, na małej jakby plaży, gdzie nie tak dawno temu był port dla kryp, wyładowujących hałdy żwiru. Co nie znaczy, że jutro nie zaleje. Póki co, poziom wody jakby trochę opadł, musiał ją mróz przyhamować w górach. Gdy z wiosną lody ruszą na dobre, drzewa i krzewy, pejzażowo, artystycznie tutaj posadzone przez ambitne merostwo, zaznają dorocznego, podwodnego żywota, tak jak i posągi. Im mniej zaszkodzi, nie są żywe.

Był tu inny klimat niż na teatralnym boku Wyspy i wobec tego jakby inna kartka z kalendarza, choć dzień ten sam. Bliżej wiosny. Słońce miało tutaj wgląd przez cały dzień, nigdy cienia. Chude i drobne bratki, pewno samosiejki, kwitły już w najlepsze. Na poprzycinanych pędach krzewów futerały pąków już rozpękły. Czy to nie za optymistycznie, nie za wcześniej?

Podniosła kołnierz płaszcz. Wicher szczypał w uszy.

Dawno już jej na tę stronę nie zniosło i nigdy jeszcze nie zwiędzała tego spacerowego, nadbrzeżnego muzeum. Zdumiał ją pierwszy zaraz eksponat, najwyraźniej czaszka, wszczepiona w

ziemski glob, rozsadzająca go od środka, jak pisklę skorupę jajka, jak liść futerał pąka. Symboliczne. Zapewne aluzja do Fakultetu Nauk Ścisłych, tu obok, powyżej. Ale żeby czaszka? Pusty czerrep kościotrupa? Byłaby to lepsza alegoria, gdyby ziemską kulę rozsadzał ludzki mózg. Tyle, że trudniejsza do artystycznego rozwiązania. Czaszka to forma, twardy kształt, a mózg — miękkość, obrzydliwość. Mózgi, mózdzki bywają tutaj na wystawach, ale u rzeźników. To się jada.

No, a te rury, obok? Wymyślnie poskręcane jelita? Podeszła do rzeźby, odczytała tytuł: Hydroragia.

Znaczy wodotok. Jak krwotok. W tej chwili nic z tych rur, prawie kanalizacyjnych, nie tryskało, choć prawdopodobnie pomyslane były jako fontanna. Wodotok na sucho... Ktoś zapomniał przy niedzieli odkręcić kurek, albo przeciwnie, zakręcił go, usłyszawszy w radio że mróz. Parę kropli zamrożonych w którymś z kolanek mogłoby rozsadzić dzieło sztuki.

Czy artysta uhonorowany oficjalnym, miejskim zakupem wie, co to znaczy krwotok? Albo wodotok? Pewno zainspirował go hydraulik, który przyszedł mu naprawić kran. Hydroragia, wodotok, to było wtedy, w Sudetach. I nie tylko tam. Z wiosną wszędzie w górach to się dzieje. Pękają wszystkie naraz naczynka skał, tryskają strumyki i strumienie. Ich szaleńczy skok na wolność z podziemi, z więzienia! Ich wyzwolenie. Hydroragia była tytułem na wyrost dla tych bezdusznie i bezcelowo poskręcanych rur. Nawet robota tandetna, porządny rzemieślnik lepiej by to wykonał. Może to się w ogóle zatkało? No, niech mu będzie, nie była znawcą sztuki.

Następna rzeźba, tuż przy brzegu, także wzbudziła w niej mieszane uczucia, nawet sprzeciw. Karykaturalnie ośmieszona, upokorzona w swym człowieczeństwie, zniekształcona ciężą kobieta z główką jak makówka. Już by lepiej w ogóle bez głowy. Do takiej z samego obrzydzenia można by strzelać bez skrupów. Stała, odwrócona czymś, co byłoby twarzą, gdyby artysta użył jej twarzy, w stronę posągu świętej Genowefy na sąsiednim moście, też niezbyt szczęśliwego dłuta, zbyt kanciasto wydłużonej. Tam idealizacja, tutaj pogarda. Święta Genowefa, hieratyczna patronka starego Paryża i ta tutaj, prostytutka w ciąży, wulgarna i głupia patronka nowego, stały w niechęco komicznej konfrontacji rozdzielone rzeką i paru wiekami.

No cóż, szacunek dla ludzkiego ciała nie od dziś jest anachronizmem. Gdyby Hunowie dopadli świętą Genowefę, ładnie by wyglądała. Rozebrać by ją, przegłodzić, wystrzyc „na glację”, po-

torturować co nieco i też by się do wszystkiego przyznała i wszystkich wyparła...

Tutejszy brzeg Sekwany, wbrew świeżej muzealności, zachował tradycję rzecznej przystani. U stóp prostytutki przycumował mały stateczek. Ślicznie utrzymany, świeżo odmalowany, wyglądał na szczęśliwy, pływający dom. Firanki w oknie były zasunięte, pewno jeszcze spali. Nawet ogródek wozili ze sobą, parę tui w zielonych donicach, okrągły stół, dwa drewniane fotele. Więc jest ich dwoje. Duże psisko drzemało na pokładzie wtuliwszy łeb w łapy. Wilczur. Wiatr klaskał kolorowym proporczykiem u masztu. Idylla.

Wyobraziła sobie, że ma taki stateczek i do końca życia sobie na nim pływa, przybijając raz do tego, raz do innego brzegu. Przywiązując linę do żelaznej obręczy na noc, na dzień, na tymczasem. Nigdy na stałe. Nie taka zła myśl. Zawartość woreczka mogła być kiedyś jej na to pozwolić. Teraz przepadło. W pewnym sensie Wyspa i tak jest jej łodzią. Płynie w miejscu. Nigdzie nie dobiega.

Hydroragia... Hemoragia... Przypadkowo zauważone słowo i już tryska tokiem skojarzeń. Co by się stało, gdyby na serio zraniła doktorową? Przecięła jej tętnicę? Jest tętnica na szyi. Dobrze wiedziała jak krew potrafi buchać, jak trudno ją zatamować. Parująca wewnętrznym ciepłem kałuża koło dziewczyny w lesie... Żadne uciskanie, zatykanie szmatami nie pomagało. Nawet gdyby wówczas lepiej na tym się znała, była lekarzem czy sanitariuszką, nie zdołałaby jej uratować. Może gdyby zaraz karetka pogotowia, szpital, kroplówka. Ale w lesie, ostatniego dnia wojny?

Umierając z upływu krwi, właściwie umiera się z zimna. Życie to wilgoć i ciepło. Samobójcy, decydując się na podcięcie sobie żył, chętnie wchodzi do wanny z ciepłą wodą. Unikają w ten sposób gęsiej skórki, nie mówiąc o innych, upokarzających objawach.

Zimno... Wiatr przelatywał przez nabrzeżne muzeum ze stragim świstem. Podniesiony kołnierz płaszcza nie pomagał. Po drugiej stronie wody musi być zaciszniej, tam mur nabrzeża łamie wiatr. Może by wrócić na Wyspę? Żadna tu przyjemność, na takim wygwizdowie.

Ruszyła górnym nabrzeżem, już ulicą, to popychana, to stopowana przez wichurę. Skąd tutaj, w dole, szyny? Nigdy ich dotąd nie zauważyła. Szyny metra. Błyszczą, ujawniają się małym fragmentem i znów kryją się pod wodę. W tym miejscu

brzuch miasta był nadpruty, jakby rozpiął mu się zamek błyskawiczny. Wgląd do paryskich trzewi. Siedząc w kolejce podziemnej wiadomo, że jedzie się wydrążonym tunelem pod domami, pod ulicami, a czasem i pod rzeką, piętro niżej.

Wielopiętrowość świata... Piętro wyżej, nad wodą, ptaki. Mewy, nie gołębie. Przywiąło je znad Kanału torem Sekwany. A jeszcze wyżej helikopter żandarmerii. Znowu jakaś manifestacja? Raczej niedzielne zatory, kontrola ruchu kołowego. I wyżej jeszcze, na następnym piętrze, samolot. Ludzie siedzą sobie w jego brzuchu, rządki Jonaszów, patrzą przez okrągłe okienka na miasto, zminiaturyzowaną makietę, przy dzisiejszej czystej pogodzie widoczną w każdym detalu.

Może by tak gdzieś pojechać... Polecieć... Popłynąć... A choćby pójść. Tylko dokąd? Nie miała żadnego celu, żadnego adresu, żadnego woreczka nikomu do oddania. Spacerowała. Lekarz zalecał jej ruch. Spaceruje się tam i z powrotem, w kółko.

Na lewo? W stronę Dzielnicy Łacińskiej? Albo jeszcze bardziej na lewo, pod całkiem ostrym kątem, wzdłuż ponurych koszar uniwersyteckich, okrągłych baszt wiecznie zasmarowanych sprzecznymi sloganami, aż do Ogrodu Botanicznego. Po francusku: *Jardin des Plantes* — Ogród Roślin. Pleonazm. Jakby ogrody mogły być bez roślin. Ale są tam także i zwierzęta, zaparkowane, przykry widok. Na przykład kiedyś ów wilk, chudy i skudlony, pewno zwariowany z zamknięcia. Jego miotanie się, łapy przebiegające tak szybko, tam i z powrotem, tam i z powrotem, od kraty do kraty, po mlaskającym błocie, jakby tych łap miał ze sto.

Może zdechł? Powinien był zdechnąć, nie było innego wyjścia na wolność dla niego. Albo oddano go na kurację do jakiejś kliniki dla chorych psychicznie zwierząt. Podobno są takie. Przecież nie uciekł do lasu. Ani go nie wychowano na wilczura.

Nie, żadne na lewo. Pójdzie mostem w prawo. Czyli wróci na Wyspę. Wciąż wraca. Dziś sam rozsądek to nakazuje. Tam, w dole, u stóp wyspowego skwerku musi być cieplej, słońce chronione od wiatru ma swobodę działania. Już tam nawet ktoś siedzi i opala się. W lutym!

Przystanęła chwilę na moście. Helikopter tkwił w miejscu, w niebie, burcząc jak popsuty odkurzacz. Źle wróżą helikoptery. Czyżby i w Paryżu coś się działo? Nie, tutaj w niedziele nic się nie zwykło dziać, poza korkami na autostradach.

Może jednak wrócić do domu i posłuchać radia? Czy to pora na komunikaty?

Jak to było? Naród będzie walczył z narodem... To powiedziała Nike. Do kogo?... Dałam im szczęścia błysk na chwilę, nieszczęść dopełnią sami gdy krokiem pójdą wstecz...

Nie na lewo, nie na prawo, wstecz... Znowu jakieś sprzężenie zwrotne sprawia, że szkolne strofy wytryskują spod pamięci. A przecież nigdy już do tego programu nie wróciła. Nigdy się też już więcej niczego nie uczy na pamięć. Absurd, pamiętała. Do tego poezję.

Z mostu, z góry, z lotu mewy, bo coraz to jakaś przelatowała dla sportu pod arkadami, widziała teraz na pewien dystans muzeum pod gołym niebem, kulę ziemską rozłupaną przez czaszkę, brzuchatą rywalkę świętej Genowefy i stateczek z ogródkiem na pokładzie. Nikt nie rozsuwał firanek, wilczur nadal spał pod stolikiem, kolorowy proporczyk nadziany był sztywno na wiatr. Samym środkiem rzeki podpływała ku niej — po nią? — pusta, węglowa krypa. Czarna. Sunęła cicho, niesiona jakby samym prądem. Helikopter głośny warkot jej silnika.

Ten widok wywołał w jej głowie nowe projekcje skojarzeń, słowa, strofy wykuwane do jakiejś klasówki czy na rocznicową akademię, cytaty z odrzuconego życia... Do łodzi wejść mamy i płynąć... W wieczystą noc. Cóż pozostanie ludowi? Próżna chwiała...

Święta racja poety. Chwały są próżne. Słowa są próżne. Zaś gest? Gest czy słowo, w ostatecznym obrachunku wychodzą na jedno. Na lewo czy na prawo, wspiąć się po stoku góry, czy zsunąć się w dół. Dać przepłynąć Charonowej łodzi, czy skoczyć na jej pokład, gdy zaprasza?

Nie zaprasza. Przepływa.. Wsunęła się cicho pod most.

Łzy... Łzy cudze na mą twarz upadły... Też cytata. Pewno stąd, że od wichru oczy naprawdę zaszyły jej łzami. Ależ szczypie, ależ wieje!

Wytarła nos i oczy rękawiczką, bo nie chciało się jej sięgać do torebki po chusteczkę i zesłała schodkami w dół, w zaciszne solarium u stóp skwerku.

I on tam siedział. Blondyn. Oczywiście. On był owym turystą wystawiającym twarz do słońca, któremu z muzeum, z daleka pozazdrościła.

Nie pomyślała, że może jeszcze się wycofać, póki on ma oczy zamknięte. Przysiadła obok i nie powiedziała ani dzień dobry, ani *bonjour*.

W tutejszych, cieplarnianych warunkach witki płaczącej wierzb-  
by zwisające ponad murkiem górnego skwerku, już pulsowały  
wiosenną, gorzką żółcią.

— Żyje się w zapomnieniu, umiera się we śnie...

— *Pardon?*

— Starożytna maksyma.

— Buddyjska?

— Dlaczego? Że tak siedzę? Moja gimnastyka poranna...

Siedział faktycznie w posturze joga, co wyglądało trochę ko-  
micznie. Ale po tak dziwnym zagajeniu rozmowy oparł się, jak  
ona, plecami o przypiecek murku i wyciągnął przed siebie nogi.  
Bardzo dobrze obute, jak na rodaka. Więc nie stypendysta. Nie  
świeży emigrant. Nie z tych, którzy w sandałach, beretach baskijs-  
kich, z wypchanymi teczkami pod pachą oblegali stolik Pani  
z Wyspy. A jeszcze kaszmirowy golf i ciemne okulary w luksu-  
sowej oprawie. Może wcale nie rodak? Może przestyszała się  
nad rzeką, kiedy wykrzyknął tych kilka słów nad jej uchem?  
Sen dział się po polsku, więc mógł zadziałać jak przekładnia.

Ponowne ich spotkanie nie mogło być w żaden sposób przez  
niego zaaranżowane. Precz z manią prześladowczą! Pięć minut  
temu sama nie wiedziała, że skręci w tę stronę, ani że zejdzie  
w dół. O żadnym czyhaniu na nią mowy nie ma.

Jak na luty, ciepło tu było nicejskie, nie paryskie. Żółty  
nawis wierzbowy mógłby ujść za mimozę. Nie czuło się wiatru,  
a jednak płomyk zapalniczki chybotął i gasł. Przypalili, osłaniając  
go dłońmi jak żołnierze w okopach. Słońce odbite od wody  
raziło. Zamknęła oczy i poczuła się na urlopie.

Do cytaty o życiu w zapomnieniu, umieraniu we śnie posta-  
nowiła nie przykładać wielkiej wagi. Coś z aktualnej lektury.  
No, nie głupi. Za to gadatliwy.

— Pani mi wtedy uciekła z kawiarni. Zadowolona pani  
z fryzjera?

— Czemu? Bo jestem rozczochna? Pan też. Przy takim  
wietrze...

W nagle żartobliwej komitywie obydwójce przyglądzieli włosy  
rękami. Nie miał wiele do przyglądzenia. Blondyni wcześniej  
tysięją.

— Mam szczęście. Myślałem, że odnajdę panią dopiero we  
środe.

— Odnajdę? We środe?

— No tak. Kobiety mają na ogół stały dzień u fryzjera. Niestety, na Wyspie jest kilku. Miałem zamiar tej środy obejść ich po kolei.

— Pan musi mieć mnóstwo czasu do stracenia. I wcale nie zna się pan na kobietach. Niektóre mają stałe dni, a inne jak popadnie.

— O czym my mówimy? — pomyślała sennie. Należałoby wstać i odejść. Ale teraz z całą pewnością poszedłby za nią. Upoważniła go do tego, przysiadając się.

— Pan Paryżanin? Znaczy tutaj urodzony? Mało takich. Znam tylko jednego.

— Jeśli fakt urodzenia się przesądza, jestem ten drugi. Ale wyjechałem stąd dzieckiem. Znaczy, moi rodzice wyjechali.

— Na prowincję?

— Nazwijmy to prowincją. Prowincjami. Rodzice podróżowali, stanowiłem część ich bagażu. Został mi... sentyment. Nie poczucie przynależności, tylko właśnie sentyment do Paryża. A pani?

— Ja? Ja tutaj należę. Tak jakbym się tu urodziła drugi raz. Nie tyle w Paryżu, co na Wyspie.

— Na wyspach nikt się nie rodzi. Na wyspy jest się wyrzucanym przez fale.

— Proszę, znowu jakaś cytata. Pan poeta?

— Gdzie tam, matematyk. Nudziarz. A pani?

Lekki, trochę flirtujący ton, a właściwie wybadywanie. Blondyn bardziej może był nią zaintrygowany niż ona nim, mówiąc o sobie prowokował do wzajemności. Co miała mu odpowiedzieć? Fryzjerka? Nie to, że wstydziła się swego zawodu. Matematyk czy fryzjerka, nie chodzi o to co się robi, tylko kim się jest. Mniej niż kiedykolwiek wiedziała kim jest, skąd jest, stąd, z Royan, czy jeszcze skąd indziej. Swoją drogą on dobrze dobiera cytaty. Co do tego wyrzucania na wyspy przez fale. Intuicja?

Czas znieruchomiał do reszty, słońce przypiekało, rzeka drobnymi pierścionkami przewlekała się pod wiatr. Na przeciwległym brzegu trochę się zaludniło. Firanki pływającego domku rozchyliły się, ktoś wyszedł na pokład. Kobieta, bo długie, rozwiane włosy. Poglądziła wilczura szalejącego z radości.

Na górnym piętrze Wyspy, ponad ich głowami, ludzie zaczęli pokrzykiwać, wychylać się przez burzę skwerku. Ktoś cisnął kamyk do wody. Nie widzieli jak przelatował, usłyszeli plusk.

— Co pan mówił o tym śnie, o umieraniu?



— Tak sobie. Czy nie myśli pani, że ze wszystkich przeczytanych książek, wszystkich zasłyszanych słów, tworzy się jedna książka w głowie, nie biblioteka, zbiorowy tom. Najczęściej nie wie się, co i skąd się pamięta, nawet nie wie się, że się pamięta i nagle jakaś kartka się odwraca i coś odczytujemy — samo nam się odczytuje — na nowo. Na dodatek strony pamięci dziwnie są poszczepiane, jedna pociąga drugą poza wszelką numeracją. Zależnie od... No, nawet od pogody. Od jakiegoś spotkania. Bo ze spotkanych ludzi też się tworzy taka... poczekalnia. Gdy pani nadeszła, a widziałem panią już na moście i byłem pewien, że pani tu zejdzie, akurat tę stronę wiatr mi w głowie odwrócił. Nie mam pojęcia, kto to powiedział czy napisał. Sam tego nie wymyśliłem.

Wcale nie taki nudny matematyk, jak kokietuje. Wszystko racja, z pamięcią, życiem w zapomnieniu i umieraniem we śnie, choć dla niego pewno raczej teoria. Gdyby wiedział, jaka specjalistka od snu obok niego przysiadła! Byle jej to teraz nie napadło... Łyknęła pigułki przed wyjściem z domu? Chyba tak.

— Proszę mi coś powiedzieć o matematyce. Dla mnie to czarna magia.

— Bo to jest magia. Wszystko jest matematyką. Więc magią. A raczej wszystko jest geometrią. Tu mogą pani przytoczyć autora: Einstein *dixit*. Nie chciałbym pani jednak imponować, byłem marnym matematykiem. I już nie jestem.

— Zawiodła pana?

— Powiedzmy. Raczej odpadłem po drodze. Zniechęciło mnie chodzenie cudzymi ścieżkami, raczej kluczenie, bo to wciąż się zmienia. A sam nie potrafiłem posunąć się ani na krok. Takie różne komplikacje, abdykacje, przymusowe i dobrowolne. A teraz...

Nowy kamyk, raczej garść żwiru, prosto na ich głowy. Pewno dzieci. Może umyślnie w nich celują?

— Teraz matematyka przydaje mi się do liczenia, jak przystało. Robię interesy.

— O, to pan bogaty?

— Czasami. W interesach są cztery działania: mnoży się, dodaje, ale też niestety dzieli i odejmuje. Jak w szkółce. Taka wieczna klasówka. Lepsze to jednak od... Od wielu rzeczy. Lubię ryzyko. Ale czy my tu aby komuś nie przeszkadzamy? Teraz patyki lecą nam na głowy. Co by pani powiedziała, gdybyśmy stąd się zabrali i zjedli gdzieś razem obiad. Na Wyspie?

— Byle nie na Wyspie!

Zgodziła się! Jeszcze nie skończył zdania, a już przyjęła za-

proszenie. Czy dlatego, że było zbyt wakacyjnie na to, by wyciągać z lodówki kotlet, wczoraj po drodze kupiony, zdrewniały i samej go żuć, na rozum?

— Nie na Wyspie? Może pani coś zasugeruje?

— Gdziekolwiek. Rzadko jadam na mieście, z pana pewno większy bywalec. Jeden warunek: pan tu na mnie chwilę poczeka. Skoczę do siebie i zaraz wracam.

— Zapewne chce pani przedziwić rodzinę...

Wzruszyła ramionami. Niech sobie myśli, że nie jest wolna. Czyli sama.

Przebiegając się szybko, bo z rana włożyła pod płaszcz stary, zgrzebny sweter, cieszyła się z tej przygody. Dawno jej się coś takiego nie przydarzyło. Nie włączyła radia, choć zbliżała się pora wiadomości. Niedziela, więc i tak komunikaty sportowe mają pierwszeństwo.

Jeżeli wszystko jest geometrią — Einstein podobno *dixit* — polskie wydarzenia nie pasowały do dzisiejszego układu. Nie chciała o nich myśleć, urywała się na niespodziewane wagary.

Zasłała pospiesznie łóżko, schowała do kuferka książeczkę do nabożeństwa w demaskującym języku. Nie wchodziło w rachubę, by tutaj blondyna zapraszać, ale strzeżonego pan Bóg strzeże.

Lekarz zaczynał obmartwiać jej samotniczy tryb życia, dawał do zrozumienia, że to też może wpływać na jej chorobę. Mało brakowało, a przepisywałby jej amantów, nawet by ich dozował, żeby potem móc odnotować, jaki jest wpływ seksu na częstotliwość i treść zapaści narkoleptycznych. Może by i sam się poświęcił dla dobra wiedzy... To byłoby dopiero pełne eksperymentowanie, idealna obserwacja! Doktorowa żyła zresztą w przekonaniu, że coś takiego między nimi od czasu do czasu się dzieje. A przecież nie działo się nic. Choć mogło. Nie brakowało okazji, ani nawet chęci z obydwu stron, zwłaszcza na początku, gdy byli młodszy i mniej do siebie przyzwyczajeni. Był miły. Dbał o nią, wszystko jedno z jakich powodów. Miał uważne, budzące zaufanie ręce. Kiedyś serce biło jej trochę w poczekalni, gdy siedziała wśród zagrypiionych nadkwasowiczów i czuła, że on, uchylając drzwi gabinetu by wpuścić następnego pacjenta, także oblicza ilu ich jeszcze będzie musiał osłuchać i opukać zanim przyjdzie na nią kolej. To się od dawna rozluźniło, zużyło. Dla lekarzy stałe pacjentki muszą być jak stare żony. W ogóle od dawna przestało jej serce bić mocniej, na spacerzy wolała chodzić sama i bezinteresownie.

Samochód doktora, łatwy do rozpoznania po węzu Eskulapa

przyklejonym do szyby, stał od wczoraj na jej cyplu Wyspy. Co się stało? Doktorowa obwieściła, że na ten *week-end* sprasza do ich normandzkiego domu mnóstwo osób na turniej brydżowy. Czyżby ktoś nie mógł umrzeć bez niego? Nie, w takim nagłym wypadku ona sama by pojechała, to się zdarzało. Więc raczej jakaś przeszkoda z jej strony. Ranka na szyi?

No nie, dość chorobliwego fantazjowania. To było naprawdę niewinne draśnięcie. Natychmiast przez szefa zdezynfekowane, opatrzone. Gdyby coś, pół Wyspy już by o tym wiedziało, a szef pierwszy. Najzwyczajniej, goście się pobuntowali, odłożono turniej. Albo nawalił samochód i czeka na zmiłowanie mechanika. A oni pojechali pociągiem.

Zawróciła od drzwi, by wyjąć z woreczka jagodową bransoletkę. To i sparciały woreczek, trochę obrzydliwy, jedyne co pozostało ze spadku po zabitej dziewczynie. Resztę sprzedała. Uważnie zapiąć. Gdyby zgubiła, byłoby jej żal. Rzadko ją wkładała. Dziś okazja. Złote, kunsztowne listki, na nich jagody z lapis lazuli, parę brylancików, całkiem reprezentacyjna biżuteria. Ciekawe, czy tamta Maria też by sobie akurat to zostawiła na pamiątkę?

Jakże musiała się cieszyć ze swego wojennego łupu! Jak spieszenie jej było dowieźć go do domu! Mina matki, gdy ona zdejmie z szyi woreczek, rozsypła sznurek i wysypie na kuchenny stół to złoto, te brylanty... Fortuna! Warto było dać się wywieźć do Niemiec, by powrócić z takim posagiem!

Może właśnie przez ów woreczek, z pośpiechu by jak najprędzej ucieszyć matkę jego zawartością, straciła rozum i zamiast pójść drogą na lewo lub na prawo, zaczęła pod nosem wartownika wdrapywać się na strome zbocze? Na przełaj, że to prędzej. Woreczek był dla niej czymś bardzo ważnym. Całą noc, przez suknię zaciskała na nim ręce. O niego zapewne złąkała się w pierwszej chwili, gdy spostrzegła, już ranna, że ktoś się nad nią pochyła.

— *Hilfe!* — wyjąkała. Po niemiecku. Ale na winklu miała F. Francuzka.

— Co ci jest? Gdzie cię boli? — odezwała się więc do niej językiem mademoiselle Fabienne.

— Zabili mnie...

— Przecież żyjesz...

Spod lagrowej kurtki dziewczyny wysunął się śliski, czarny wąż. Nie od razu zrozumiiała, że to krew.

Świat buchał wiosennym entuzjazmem. Niebo było wolne od wszelkich chmur, snuły się po nim jedynie cynfoliowe nitki,

wojenne babie lato. Nikt nie wiedział czemu alianckie bombowce rozwłóczyły je za sobą. Reszta Europy była już od dawna tak czy inaczej wyzwolona, ale tutaj, w górskim mateczniku, zwierz wojny, dogorywając, dalej zabijał. Po co wypędzono je z obozu „w transport”? Ich pochód mijał czołgi osiwiące od nocnych przymrozków. Żołnierze tkwili w nich ogłupiali, operetkowi pod kamuflażowymi gałęziami choin, które miały ich chronić przed nalotami. Oni także kręcili się w kółko szukając nie z kim się bić, tylko do czyjej trafić niewoli.

A może już było po wojnie? Znaczy na papierze. Czyjeś podpisy o tym przesądziły? Wczoraj wieczorem, albo dziś rano? Kula, która trafiła małą Francuzkę mogła być ostatnią wojenną albo pierwszą powojenną kulą.

Skąd się o tym dowiedzieć, jak przestać się bać? Polowanie trwało. Póki co, zaszyć się w las, jak najdalej od drogi, którą lada chwila mógł nadciągnąć inny transport ewakuacyjny, koncentracyjny, albo inne korso czołgowe. W karabinach pozostało mnóstwo kul. A tę podziurawioną, wykrwawiającą się kukłę pozostawić własnemu losowi.

Łatwo powiedzieć: *Hilfe!* Pomóż, ratuj... A ją kto poratuje?

Rozejrzała się. Droga była nadal pusta. W kolejowym baraku nikt się chyba nie zataił. Poodczepiane wagony blokują szlak, żaden pociąg nie nadjedzie. Niebo też puste, migocące srebrnymi nitkami. Potok grzmi, pędzi, wzbiera wszystkimi wężykami, wysuwającymi się spod resztek topniejącego śniegu.

Błędem było odwracać ranną na wznak. Leżała na brzuchu, podkurczona jak żaba. To ją zabolalo, zawyla, to jej musiało zaszkodzić. To ją może dobiło. Nie trzeba było pomagać jej wstać. Ale ona tego chciała. Chciała wstać i odejść stąd, także miała świadomość zagrożenia. Tak gorliwie, tak ufnie zarzuciła Marii ręce na szyję. Jak dziecko świętemu Krzysztofowi, który ma je przenieść na bezpieczny brzeg.

Jakby jeszcze jedna kula ją przebiła. Nie, o dźwignięciu jej, o wspólnych paru choćby krokach mowy nie było. Stromość na dodatek. Obie zrezygnowały.

Upewniwszy się, że ten ktoś, pochylony nad nią, chce ją ratować a nie dobić, dziewczyna uspokoiła się i oddała powolnemu słabnięciu, wyczerpywaniu. Serce jej biło jakby coraz szybciej. Dobry znak, czy zły? Twarz spływała woskowym, zimnym potem. Jedną rękę zaciskała na woreczku zawieszonym na szyi, drugą na mokrym brzuchu.

Trwało to bardzo długo. Słońce zapadające za góry nie do-

tyczyło tej sprawy. Na drodze wciąż nikogo, to musiała być jakaś bardzo boczna droga, a i tor musiał być ślepy murem.

Umieranie z upływu krwi nie ma nic z estetycznego gaśnięcia Eunice i Petroniusza, pary samobójczych bogów, powolutku przemieniających się w marmurowe posągi. Dziewczyna brzydko siniąła. Jej nos robił się spiczasty, fioletował, zęby szczękały, oczy rozbiegały się w noworodkowy zez, w padaczkowy płas, każde sobie. Krwi już w końcu nie było warto próbować tamować. Przestała w tym się babrać, rzuciła się do rozcierania nóg. I rąk, siłą oderwanych od woreczka, lodowaciejących.

W którymś momencie usłyszała szept:

— Zawieź to mamie. Adres w środku.

— Coś ty? Sama zawieziesz. Wojna już się kończy. Przyjemy... Powróćmy!

— Zawieź to matce. Przysięgnij!

Przysięgła.

— Zimno mi... — usłyszała jeszcze.

Jej także było zimno, też jakby umierała z wycieńczenia. Masowała ręce i nogi dziewczyny z uporem automatu. I nagle zapadła kurtyna i rozdzieliła je.

Ocuciło ją przenikliwe uczucie chłodu. Było szaro. Gęsta mgła. Chwilę zbierała myśli. Miała wrażenie, że znajduje się na pokładzie łodzi unoszonej przez niematerialne morze. Kołysało. Świat, jakikolwiek świat, przestał istnieć. Była sama, rozbitek z potopu. Taka kompletna samotność mogła się przydarzyć tylko we śnie.

Sama?

Zerwała się na równe nogi. Jej dokładna replika leżała obok. Przez moment pomyślała głupio, że jest duszą i widzi własne zwłoki. Mająca w szarżynie twarz, umazana ziemią i krwią, wydawała się być już w posuniętym stanie rozkładu, brzydko wytrzeszczona i wyszczerzona.

Nie dowiedziała się więc do końca, jak wygląda w praktyce, a nie w literaturze, śmierć z upływu krwi. Z hemorragii. Zasnąć w takim momencie! Może dziewczyna miała jeszcze coś ważnego do przekazania dla matki?

Koło nich, w tej mgłę, unosiły się zjawy kształtów. Poodczepiane, czarne wagony podpływały na chwilę, zamajaczyły dach baraku, błysnęła żyłka kogoś ze strumieni. Pójść po wodę, przynajmniej trochę obmyć tę twarz? I sobie... Przecież obmywa się zmarłych, splamionych porodowym trudem agonii...

Nie zrobiła tego, ze strachu, który razem z nią się obudził. Zdjęła z szyi dziewczyny woreczek, co i tak było dużym wyczy-

nem. Nawet nie zastanowiła się, co tam może być. Rzuciła na ciało dziewczyny sztywną, lepką kurtkę lagrową, własną. Z literą P na winklu i swoim numerem. Nawet jej nie zamknęła oczu. Nie chciały, więc dała spokój. Gdyby na ten gest jednak się zdobyła, ubyłby jeden z motywów jej późniejszych koszmarów.

I odeszła w las, we mgłę, z ostrożnościami zwierzęcia, na które trwa obława, panikując się przy każdym trzaśnięciu gałęzi, każdym chrzęście zeszlórocznego liścia. Była żywa. Tak się złożyło. Mała Francuzka też by dla niej nic więcej nie zrobiła, gdyby przydzielono im odwrotne role.

Sen, który wtedy na nią spadł z taką nagłością musiał mieć już charakter narkoleptyczny. Według lekarza, szoki wywołują i przyspieszają rozwój tej choroby. To, co się stało na zboczu sudeckiej góry było wystarczającym szokiem. Nie licząc poprzednich. Tak, to już musiało być to, bo zasnęła tak, jak teraz zwykła zasypiać, bez zasypiania, bez przejścia i natychmiast znalazła się w zupełnie innej rzeczywistości.

Spotkała matkę. Matka szczotkowała swoje długie włosy siedząc przed owalnym lustrem, o którym ma się ochotę powiedzieć: zwierciadło. Owal starych fotografii. Była młoda, właśnie jak na fotografiach i była żywa, ciepła, miło pachnąca czymś roślinnym, paprociowym. Mowy nie było o niczym umieraniu, o żadnych wojnach czy obozach, to nie wchodziło w ogóle w zakres tego świata. Było bezpiecznie. Włosy trzaskały elektrycznie, długie, gęste, lśniące. Czepiały się szczotki.

Maria siedziała obok na małym stołeczku i czyhała na pozwolenie, by je spleść w warkocze. Według długiej tradycji, we śnie rozumiejącej się sama przez się, co wieczór splotała matce warkocze, to było jej rolą i jej przywilejem. Gdy podrośnie, będzie nawet mogła je szczotkować.

— Czemu nie mam takich włosów jak ty?

Bo w tym śnie miała jednak głowę wystrzyżoną „na glacé”, co ją gnębiło.

— Poczekaj, odrosną...

Więc i głos, melodyjny, spokojny, czuły, taki jaki powinny mieć matki. Suche, lejdejskie trzaskanie włosów, ich zapach, trochę siarkowy. Sypka, a zarazem płynna ich obfitość. Jasność. No i wzajemna ich z matką poufałość, koleżeństwo. Jak gdyby były w jednym wieku, choć Maria siedziała na dzieciennym stołeczku. Dziecinna też była niecierpliwość, kiedy wreszcie skończy się rytuał szczotkowania, do którego trzeba jej dopiero dorosnąć i nareszcie będzie jej wolno ująć w dłonie tę upragnioną materię i zacząć ją splotać w włos.

Nikt nie miał tak pięknych włosów jak matka z tego snu. Miała porównanie, ileż kobiet przyszło jej czesać od tej pory. Chyba na ilustracjach reklamujących szampony. No i nigdy nie spełniła się matczyna obietnica, że jej podobne włosy odrosną. Żadne szczotkowanie nie pomagało, to co raczyło wyrastać na jej głowie było nędznym pierzem, rozszczepiało się na końcach, trzeba to było przypalać, podcinać. Dawno zrezygnowała z nadziei na splatanie sobie warkoczy. Zresztą moda na topielice minęła i wszystkie klientki kazały się strzyć krótko. Po każdej zmiatało się z podłogi kłęby kłaków i wyrzucało do śmieci.

Ona kosmyczki swoich włosów zbierała osobno i, ponieważ z paleniem ich byłyby komplikacje, wrzucała w obciążonym czymś zwitku do rzeki tak, żeby szły zaraz na dno. Żeby ich broń Boże jakiś ptak nie porwał i nie wwił sobie w gniazdo, albo żeby nie dostały się w czyjeś niezyczliwe ręce. Słowiańskie zabobony, wyśmiewane kiedyś przez mademoiselle Fabienne, która, nasłuchawszy się ich od Janki, dziewczyny przynoszącej im mleko, też zaczęła po kryjomu uważać na swoje włosy. A cóż za sutą, złotą koronę nosiła na głowie owa Janka!

Tym większy był szok Marii gdy zaraz pierwszego dnia w obozie wystrzygli je wszystkie do skóry i zobaczyła na śliskim betonie łaźni swój mysi warkoczyk przemieszany z kłębami różnokolorowych kłaków. To było jasne, z obcięciem włosów kończyło się indywidualne istnienie. Na równi z odebraniem nazwiska, przydaniem numeru. Włosy to część osoby. Ich płynność, ich dziwność, coś co rośnie, co nie boli gdy ciąć, ale boli gdy wyrwać. Nieorganiczne, karmione organicznymi sokami. Włosy rosną z nas. Z rozpędu rosną i po naszej śmierci.

Celebrowała każdą fryzurę, szanowała każdą głowę, choćby siwą, tłustą czy łysiejącą. Nie było to dowodem nadgorliwości, gdy po każdym postrzyżynach chwytiała za szczotkę i zmiatała kosmyki z podłogi, choć należało to do praktykantek. Nie chciała, by się mieszały z innymi, nie mogła znieść by je deptano.

Odległe wydarzenie ze snu, czesząca się matka, której nigdy na jawie nie splatała warkocza, przypomniało jej się teraz prawdziwym wspomnieniem, gdy przed lustrem próbowała coś zrobić ze swoimi włosami. Jaśniejają, rozświetlają je nitki siwizny, dzięki którym wraca im dawny kolor. Tym lepiej, nie potrzebuje tlenić się, jak doktorowa.

Sprawdziła jeszcze raz zameczek jagodowej bransoletki. Byłoby za głupio zgubić ją gdzieś na mieście, na obiedzie z blondynem.

## VI

Przesiadł się na szczyt kamiennych schodków. Znudziło mu się pewnie stanąć cel dla milusińskich z górnego skwerku.

— Bałem się, że pani znowu mi uciekła.

— Tak długo to trwało? Nigdy na żadną kobietę dłużej pan nie czekał?

Znów nie to. Nowe ześlizgnięcie się w niepoważny, nie pasujący ton. Czują, że prawdziwa — jaka? — rozmowa dopiero ich czeka i żartami pokrywają coś w rodzaju tremy.

Wicher gnający mostem popchnął ich jak brutal. Pod Tour d'Argent, na przystanku, czekała wolna taksówka. Cud, przy niedzieli. Wsiadając, dostrzegła doktorową. Bohaterka, prowadzić pieska na spacer w taki ziąb! Widziała ich? Była niby bez okularów, ale... Wszystko jedno. Daleko do środy, gdy przyjdzie składać zeznania dokąd, z kim i po co. Za bardziej niespokojnych lat prywatne swoje sprawy załatwiła „w Paryżu”, jak najdalej od wścibskiej i stuokiej Wyspy. Ta strategia zdążyła podrzewieć, nic już nie groziło jej opinii.

— To była mała... No, powiedzmy małe nic dobrego. A już jej matka! Ja plotek nie znoszę, zwłaszcza gdy kogoś spotkał taki nędzny koniec, ale... Kara Boska!

Ot i cała mowa żałobna po dziewczynie z lasu i jej matce. Osoba, która je tak odsądzała od czci i wiary, była wcieleniem cnoty. Wcielenia cnoty mają ostre nosy i pachną marsylskim mydłem. Cóż z tego, ich suknie przepocone są pod pachami. Mały domek w Saint Palais, gdzie dopytała się o nocleg, bo zrobiło się za późno by wracać do Royan, też pachniał wodą Javel, wyszorowany do kości. Prześcieradła okazały się tak nakrochmalone, że ich kanty przystawiały nóż do gardła.

Doszła tam, sporo przecież kilometrów, trochę wybrzeżem a trochę na przełaj. Na osłep. Ocean, widziany pierwszy raz w życiu, fascynował. Więc tam dalej, poza horyzontem, już nic, aż po odkrycie Ameryki? Żadnego brzegu? Żadnych wysp? Skały, powyżerane przez wieki, przez pokolenia słonych fal, diable groty bulgocące wpadły w ich pułapkę wodą, usiłującą w izolacji, w więzieniu kontynuować ruch przyptyków i odpływów. Czasami któraś z fal szarżowała prosto na nią, i rozpryskując się o kamień, sprawiała jej łaźnię. Ale słońce grzało, suszyło. Wycierała twarz rękawem, oblizywała wargi. Słono. I szła dalej, właściwie cały dzień.

Plaże były puste, nikt się nie kąpał ani nie opalał. Czasem



dzieci oddłubywały od skał jakieś muszle, jakieś ślimaki i wysysały je na żywca. Zbierały coś do wiaderek, nie dla zabawy, z okupacyjną gorliwością. W którymś miejscu zobaczyła latarnię zatkniętą daleko w ocean. Może nadawała sygnały, nie wiadomo komu, bo ani łodzi, ani żagla na horyzoncie. Słońce gasiło jej błyski. A może latarnie ostrzegają tylko nocą? Żwir był gruby. Tam gdzie zwilżyły go fale ugiął się jak dywan, gdzie suchy, zapadała się w nim po kostki. W końcu zdjęła pantofle i szła bosą. To była przyjemność.

Domek czy willa w małym ogródku, z tamaryszkiem przy furtce, parasolową sosną w głębi, zatrzymał ją, choć emaliowana tabliczka ostrzegała: zły pies. Pociągnęła za łańcuszek. Taki sam, jak przy furtce w Royan. Widocznie tutejszy system. Pies, może zły, ale przede wszystkim stary, dosłyszał, przywłókł się, sapiąc i poszczekując bez zapału. Gospodyni, choć też stara, była zwawsza od niego. Poparlamentowawszy z Marią, oceniwszy ją argusowym okiem, wpuściła ją w końcu do środka i z aprobatą stwierdziła staranne wycieranie nóg na słomiance u progu i nawet wytrząsanie piachu z butów. Ujęła ją sobie tą porządnością i może dlatego staruszka zgodziła się nie tylko ją przemocować, ale i nakarmić. Czym chata bogata... Jest zupa. Jeśli to pani wystarczy...

Nie zaczęła zaraz u furtki wypytywać o matkę dziewczyny z lasu, powoływać się na tę znajomość i dobrze, bo pewno i zupy by nie dostała i nie spałaby w sztywnej pościeli.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Już ja widzę, ledwo ta mała powróci, zaraz zacznie się puszczać z Amerykanami, skoro bosze siedzą po obozach. Mogłabym pani niejedno opowiedzieć, ale to aż wstyd.

Wstyd nie wstyd, bez specjalnego wypytywania opowiadała to niejedno chyba do północy, sama siebie podniecając. Maria słuchała uważnie, choć oczy jej się kleiły. Wtedy właśnie zdobyła zasadnicze elementy swojej od tej pory biografii. W tym czasie zły pies łykał z miski schludnie ustawionej na ścierce przeznaczonej do tego celu resztki tej samej zupy co one, regionalnej specjalności, jak oświadczyła gospodyni. O tym także dobrze było wiedzieć na przyszłość: kawały czerstwego chleba zalewa się rodzajem rosółu z różnych jarzyn gotowanych na kościach i mięsie. Smakowite i pożywne, więcej niż zupa, posiłek. No, *Eintopf*, tyle że wolnościowy.

Za oknem, za drewnianą okiennicą, szumiał ocean, miarowo, i wiatr, kapryśnymi porywami. Dawno już nie zostało suchej nitki na matce i na córce, notorycznych ładacznicach. Gospodyni

była spokrewniona z rodziną w Royan, u której tamte odnajmowały pokój. Zgroza, co one z tego pokoju zrobiły! Bieda z nędzą, zgoda, ale nic nie usprawiedliwia brudów. A co tam się działo! Komorne, owszem, płaciły regularnie, to prawda, gdyby nie to, minuty by ich nie trzymano. Matka pomagała u fryzjera. Bezczelnie wyciągała rękę po napiwki. I ta mała zaczęła właśnie u niego praktykę. Pani rozumie, co to była za praktyka? Aż wpadła. Poszła z kimś spać, akurat nie z Niemcem i milicją wygarnęła ich z łóżka.

— Fryzjer? Też zbombardowany. Ta dzielnica Royan najbardziej ucierpiała. Pani nie ma pojęcia, co się działo! Amerykanie sto razy gorsi od Niemców. Jak śmieli! A i teraz gorzej się zachowują. Tamci byli zdyscyplinowani, porządni. Lubili Francję. Można było z nimi wszystko załatwić. A ci teraz łążą, wrzeszczą po swojemu, piją, sypią tymi swoimi dolarami... Niby nie aresztują, nie wywożą, ale i tak nikt na nich patrzeć nie może. Po co tu siedzą? Nie mogliby zostawić nas w spokoju? Biedna Francja...

Nie, one żadnej rodziny nie miały. W każdym razie o żadnej rodzinie nigdy mowy nie było. Ojciec? Jaki ojciec? Tam ojcowie zmieniali się co noc. W parafii może będą wiedzieli, albo raczej na merostwie, bo w kościele tych pań nigdy nikt nie widział. Taka masa ludzi przez te amerykańskie bombardowania poginęła, że jak ktoś od razu swoimi się nie zajął, to porobili zbiorowe mogiły. No, prawie zbiorowe. Jak ta córka wróci, powinna zająć się grobem dla matki. Jakąś przynajmniej tablicą...

— Ale tak myślę: panie może spokrewnione?

Skwapliwie wyparła się wszelkiego pokrewieństwa, nawet przyjaźni, ba, bliższej znajomości z lokalną Messaliną i jej niewiele więcej wartą córką. Co było prawdą. Czy można nazwać bliższą znajomością asystowanie przy czyjejs agonii? Wrodzona małomówność, opory przed dzieleniem się z kimkolwiek swoimi sprawami, uchroniły ją od przedwczesnego wygadania się. Ta dziewczyna nie wróci i nikogo nie będzie grzebała. Jedno pochopne słówko tamtego wieczoru, nad talerzem wytartym do glansu kawałkiem chleba, co też było pożyteczne później, wiedzieć że tutejsi tak się zachowują, i całe jej dalsze życie potoczyłoby się z musu innym torem. Nawet o pomyśle tym by zapomniiała, unicestwiwszy go w zarodku.

— A czemu w takim razie panie tu razem nie przyjechały?

Coś tknęło na koniec staruszkę. Podkładała jej na poczekaniu o zgubieniu się w drodze. Te powojenne pociągi, te transporty repatriacyjne, ten bałagan... Owszem, wymieniły adresy,

razem gdzieś nocując, a że akurat i ona wybierała się w te strony, więc...

— Pani w tych stronach kogoś ma? Rodzinę? Gdzie?

Ziewnęła, wymówiła się zmęczeniem, co było prawdą, pozdziękowała za zupę i poszła spać.

Wtedy to, w białej, sztywnej kopercie po tutejszemu zasłanego łóżka substytucja dokonała się niejako sama z siebie, rozpędem logiki. Ani się śniło gospodyni, że ktoś inny wstał od stołu koło północy, ziewając i przepraszając, a ktoś inny zasiadł rano do kawy z palonych żołądzi. Nie w filiżance, w bolce. Jeszcze jedna dziwność do podpatrzenia, do przyswojenia. I to kto? Właśnie owa tak źle się prowadząca sierota po zbombardowanej fryzjerce z Royan.

Nie dała się zatrzymać na obiad, niby spieszyło jej się w dalszą drogę. Komiczne rozstanie. Opatrznościowa plotkarka, do samej furtki bulgocząca pytaniami, na które zrobiło się za późno, żałująca gorzko straconego wczoraj przez własne gadulstwo czasu. A za nią zrezygnowany, zły pies.

— Co mam powiedzieć mademoiselle Marie, gdy powróci? Może pani swój adres u mnie dla niej zostawi? Często bywam w Royan, chętnie jej przekażę...

— Ona zna mój adres. Zresztą my nie byliśmy sobie tak bliskie. Jeśli kiedy tutaj powrócę, na pewno wstąpię do pani. Tyle mi pani okazała uprzejmości. A jaka pyszna zupa! Lepsza niż u mamy!

Za nocleg, zupę i bolkę kawy zapłaciła słono, bez targowania się, z reszty upłynnionego łańcuszka. Dziewczyna z lasu ubrała ją pośmiertnie w okazyjne, ale całkiem przyzwoite rzeczy, no i zafundowała bilet trzeciej klasy tam i z powrotem. Wróciła do Paryża pierwszym pociągiem, nie zważając oczywiście o żadne parafie ani merostwa, nie dopytując w którym prowizorycznym grobie jej matka czeka choćby na własną tablicę.

Gdyby pozostały jej jeszcze jakieś skrupuły, rozwiałyby się na widok ogonków przed Prefekturą. Uchodźcy z wszystkich krajów wschodniej Europy, przepędzeni pokojem bardziej niż wojną, wystawali deszcz nie deszcz, żebrząc o azyl, o papierek tożsamości. Rodowita Francuzka, fryzjerka z Royan, miała z tym mniej kłopotu, ustawiała się przed mniej obłożonym okienkiem, czekały ją krótsze formalności.

Bo to się okazało czystą formalnością. W lesie było ich dwie. Równolatki. Jedna za bardzo chciała żyć i wrócić. Miała do kogo i miała z czym, spieszyła się, co ją zgubiło. Druga poszła

sobie spacerowym krokiem na lewo, w stronę lasu, odkrytym kawałkiem drogi, nie tyle by miała więcej zimnej krwi czy sprytu, tylko bo mniej jej zależało. Po prostu miała nagle dość, na tym akurat etapie zachciało jej się odejść, urwać się z ewakuacyjnego pochodu. Wybrała wolność, jakąkolwiek, niechby definitywną. Niechby do niej strzelał wartownik. Byle celnie. Wszystkiego i tak miała dość, od dawna. Zaś dokąd wiodła droga było sprawą drogi. I tak nie do domu.

Jaki dom, jaki powrót, skoro ojciec nie wróci? Ani nikt.

— Przeżyjemy... Powrócimy...

Mówił to w liczbie mnogiej, wyznaczał im spotkanie, do którego z jej winy nie doszło. Kula, którą powitałaby jako sprawiedliwe rozwiązanie całej sprawy, trafiła tamtą dziewczynę, krzyżując ich biografie. Tak jakby roztargniony, a może diaboliczny drukarz pomieszał dwa rękopisy i w połowie jednej zaczął składać tekst drugiej powieści. I tak wydał, w jednej okładce. Poszło. Jak do tej pory żaden z czytelników nie zauważył zamiany. Z trzech wysepek też się zrobiła jedna Wyspa i nawet jeżeli ktoś to czuje, niechętnie przeprawiając się przez ulicę Dwu Mostów, któż o tym naprawdę pamięta?

Wychodząc z Prefektury, gdzie przezornie najpierw niczego nie zaczynała załatwiać, tylko dowiedziała się co i jak, zamiast skrócić na lewo, skąd przyszła, w stronę złożonych krat Pałacu Sprawiedliwości, skręciła na prawo i płaska fasada Notre Dame stanęła jej w drodze. Nie chciała tam wchodzić. Na zwiedzanie nie miała ochoty, a tak? Do kościołów wchodzi się na ogół by o coś prosić, albo by za coś dziękować. Dziękować za przeżycie? Takie przeżycie? A o co prosić? Padało i gardziele demonicznych rynien rzygały wodą. Kładka drewniana, dziwnie prowincjonalna, pociągnęła ją i nawet nie zdała sobie sprawy, że z jednej wyspy przechodzi na drugą i że na tej drugiej zostanie. Że właśnie wyrzucają ją fale.

Na szybie małego zakładu fryzjerskiego przylepiony był anons. Poszukiwano kogoś do pomocy. Co by zrobiła dziewczyna z lasu? Pchnęłaby drzwi z przyczepionym u góry dzwonkiem. I z miejsca zostałaby zaangażowana.

Miała do tej pracy może większe zdolności niż zabita, której, według staruszki z Saint Palais, co innego chodziło po głowie. Lubiła mieć do czynienia z włosami, wiedziała co im potrzeba. Co do „innych rzeczy”, to także poszło samo z siebie z tym, że w dużym mieście łatwiej uchronić się od plotek.

Zacząło się od komisarza policji. Rozsądne, choć nie planowane posunięcie, które zaoszczędziło jej masę papierkowych za-

biegów. Mała godzinka z obcym, pocącym się, czarną sierścią obrosłym ciałem była niczym dla kogoś, kto miał za sobą inne fizyczne przymusy, lata obcowania z ciałami cuchnącymi gorszym potem, w bynajmniej nie erotycznych podrygach. Nawet zaw-szone, nawet owrzodzone, byle by jeszcze żywe ciała użyczały sobie nawzajem ciepła koniecznego by nie zamarznąć do syreny na poranny apel. O brzydzeniu się, odsuwaniu mowy nie było. Tak więc pierwszy seans z komisarzem, któremu nie umiała i nie śmiała odmówić, odbył się bez większych wstrząsów. Przypie-czętował jej nową identyczność.

Było z nim trochę kłopotu, nim się znużył. Nikt o niczym nie wiedział, sam o to zadbał, oczywiście był żonaty. Więc co? Matka z Royan tylko by temu przyklasnęła. Zaś ojciec? Który ojciec? Ojciec o niczym i tak się nie dowie. Miała nadzieję. Umarli tyle wiedzą o żywych, co żywi o umarłych. W ich wy-padku oboje nie żyją. Nazwiska ich wyrte na wspólnej tablicy. Wszystko w porządku.

Na jawie. Zaś w paralelnych snach i tak jest to za każdym razem inaczej pokręcone, podane w innej wersji.

Tym niemniej, skoro już się dorobiła fachu, stałej pracy, nie mogła sobie pozwolić na zbyt swobodny tryb życia. Szef nie ojciec, ale miał zasady. Co innego słone dowcipy, co innego prak-tyka. Niektóre klientki, choćby owa eks-pensjonarka, nie życzyły-by sobie zapewne mieć do czynienia ze zbyt bezczelną jawno-grzesznicą. Stąd jej dawne wypady „do Paryża”. Czyli za granicę. Nigdy nie zapraszała nikogo do swego mieszkanka, nawet nie umawiała się w pobliżu Wyspy. Nie chciała stać się tematem komentarzy.

Jednym różniła się od zabitej dziewczyny: buszowaniem po bukinistach. Nawykiem czytania. Jak coś się trafiło, to i po polsku. Przeżył więc w niej pierwszy język w swojej biernej formie. Pisać nie miała ani okazji, ani ochoty, mówienia wystrze-gała się. Czy potrafiłaby jeszcze po latach poprowadzić w tam-tym języku rozmowę? Już przy okazji spowiedzi stwierdziła z pewnym zdziwieniem, do jakiego stopnia zdążył jej zardzewieć w ustach, nie chciał słuchać, coś jak ręka przygnieciona w czasie snu, albo zbyt długo trzymana w gipsie.

Z myśleniem problem był bardziej skomplikowany. Tyle spraw, tyle rzeczy, z którymi przedtem nigdy się nie zetknęła, weszło w jej życie — większą już zresztą tego życia połowę — przez francuską bramę. Słowa dotyczące fachu, łóżka, życia co-dziennego, zakupów. Musiałaby w wielu wypadkach uciekać się do słownika, by wiedzieć jak co przełożyć na polski. Myśli jej

były raczej francuskie. Ale czy myśli się słowami? Czy myśl rozróżnia języki?

Ciekawe byłoby mieć zacięcie lingwisty i śledzić na samej sobie taki proces wyobcowania, robić notatki. Mogłaby z tego powstać teza doktorska, oparta na doświadczeniu w pełni miarodajnym, gdyż królik byłby eksperymentatorem, obserwator siedziałby w mózgu obserwowanego.

Nie umiała tego i nawet by nie lubiła. Woląta nie rozbierać tych mechanizmów na elementy. Jedno było pewne: nadal liczyła po polsku. W tym miejscu ani woli ani czasowi nie udało się przestawić zwrotnicy. Tłumaczyła sama siebie żmudnie, urzędowała się tak, by to robić po cichu. Szef pokpiwał sobie z jej tępoty, ślamazarności z jaką sumowała undulacje, szampony, utrwalacze i lakiery, mamrocąc pod nosem jak przedszkolanka. W wydawaniu reszty myliła się, najczęściej na swoją niekorzyść, tak że wolał wyręczać ją przy tej operacji, sam licząc i sam inkasując.

Za to w ortografii francuskiej zapędzała go w kozi róg. To ona poprawiała mu bardziej skomplikowane, prestiżowe listy. Ona? Która ona? Z pewnością ta pierwsza, cudzoziemka, gdyż mała fryzjerka z Royan, tak jak szef, była pewno na bakier ze znaczkami nad e, które otwarte, które zamknięte, na papierze, mimo że ich wargi od urodzenia rozwierały się i przymykały jak trzeba. Niewątpliwa w tym zasługa mademoiselle Fabienne, która poczęła w swym staropanieńskim i czysto francuskim łonie obecną mademoiselle Marie i pozwoliła jej przyjść, a raczej przejść na tutejszy świat bez zbytnich kompromitacji.

Tak, pod tym względem mademoiselle Fabienne była jej matką. Którąś z matek. Miała ich w końcu w nadmiarze, żadnej naprawdę nie mając, wielokrotna sierota.

Mademoiselle Fabienne, stara panna, nie taka zresztą stara w dzisiejszej optyce Marii, dzieliła zasługi ortograficzne z nauczycielką łaciny, również nie taką wówczas staruszką. Drzewa, kraje, wyspy, miasta, mają rodzaj jak niewiasta — takich rzeczy się nie zapomina. Reszty edukacji dopełnił, już w czasie wojny, na tajnych kompletach, jezuita czy dominikanin, w każdym razie zakonnik konspiracyjny się po cywilnemu. Jak się zwał? Nie ważne. I tak nie było to jego prawdziwe nazwisko.

Zbierali się od zaraz pierwszej okupacyjnej zimy piątkami, najwyżej szóstkami, w prywatnych mieszkaniach, raz tu, raz tam, jak spiskowcy, mając na sumieniu lekcje historii, polskiego i łaciny, wszystko zakazane. Zeszyty i książki nosiło się pod suknią, na piersiach, sposobem jak się okazało lagrowym. Zakon-

nik, młody i przystojny, nawet w habitcie nie wyglądałby na osobę duchowną, wszystkie się w nim podkochiwały, co sprzyjało deklinacjom i koniugacjom. Wykładał zresztą nie jak belfer gimnazjalny, tylko jak profesor uniwersytetu. Horacy... Horacy był w programie maturalnym, ale gdyby nie wojna, nie tajność nauki i posmak niebezpieczeństwa, czy by tak gorliwie słuchali, tak łakomie zapamiętywali? Robili postępy, jak by chodziło nie o stopnie lecz o życie.

Horacy leżał na nocnej szafce Marii, nie zdążyła, nie pomyślała nawet, że należy go schować, gdy nad świtem zaczęto walić korbami w drzwi. Ileż gorszych nielegalności ojcowskich leżało na wierzchu! Ale głównie przez Horacego została zabrana. I przez francuszczyznę, czyli przez mademoiselle Fabienne. Bez tego nie zwróciliby może na nią uwagi, przyszli po ojca. Dwu wtargnęło po sołdacku, trzeci był w rękawiczkach i zachowywał się jak hrabia. Albo jak poeta. Nie musiał wydawać im rozkazów, mieli wprawę. Wrzask, ręce do góry, pod ścianę, wybrzuszenie szuflad, wyrzucanie wszystkiego na podłogę, no, rewizja, rutyna. Stali oboje z ojcem z rękami do góry, patrzyli na buszowanie tych dwóch, lecz większą zgrozą przejmował ich ów trzeci, oficer, stojący z boku. Splotał i rozplatał ręce w rękawiczkach i jakby się nudził.

— *Was ist das?* — zwrócił się lodowato do ojca, gdy mu tamci z triumfem wręczyli wyciągniętą spod desek podłogi teczkę.

Ojciec nie znał niemieckiego. Ani ona. Zdążyli już w czasie pierwszych miesięcy okupacyjnych osłuchać się z tym językiem, ale nie na tyle, by móc odpowiedzieć na takie pytanie. Oficer skinął dłonią.

Więc ojców można bić? Policzkować? Leżących kopać?

Przełknęła ślinę obrzydliwą w smaku i zapytała hrabiego: *parlez-vous français?*

Ożywił się, wstrzymał tamtych. Ojciec leżał pokornie, póki mu nie wrzasnęli: *auf!* i nie oparli go plecami o ścianę. Jeszcze wtedy nie wiedziała że nogi mogą odmawiać posłuszeństwa.

Więcej go przy niej nie tknęli. Nie zdradził się, że także mówi po francusku. Tłumaczyła ich pytania, potem im jego odpowiedzi, co dawało mu czas do namysłu.

— Widzę, że pani świetnie zna ten język. Ze szkoły?

Przytaknęła, po co było wplątywać mademoiselle Fabienne w tę sprawę! Zresztą, gdy tamci dalej szperali, oko hrabiego padło na książki przy jej łóżku. Zdjął rękawiczkę, by kartkować Horacego.

— *Beatus ille qui procul negotiis...* — zaskandował bezbłęd-

nie, jakby też uczęszczał na tajne wykłady zakonnika. Akurat to mieli na jutro zadane.

Był taki moment, może i godzina, jak w narkoleptycznym śnie, gdy recytowali na wyścigi klasyczne strofy, on w mundurze, ona w kusej piżamie, gdy w koło wylatywały z szuflad na podłogę listy, fotografie, notatki. Przez ten czas ojciec stał pod ścianą, nie śmiejąc otrzeć zakrwawionej twarzy, choćby mógł, nikt na niego nie zwracał uwagi. Zdetronizowany, unieważniony. Nie zastanawiała się, czy aprobuje jej fraternizację z blondynem.

Nagle gestapowiec zamknął książkę z trzaskiem. Jego wykonawcy zaraportowali mu coś, służbiście szwargocząc.

— Pani jest świetną tłumaczką, ojca pani jeszcze będziemy musieli o różne drobiazgi przepytać, czy nie zechciałaby nam pani towarzyszyć? — zaproponował jej salonowo, choć jego niebieskie oko wróciło do przedelegijnej martwoty. Pozwolił im jednak ubrać się bez brutalizowania.

Za bramą domu ogarnął ich mroźny wicher. Na rogu ulicy stała wojskowa ciężarówka opięta brezentem. Z innych bram wyganiano inne cienie, pomagając im wsiadać kolbami. Myślała, że będą razem, ale rozdzielono ją z ojcem i gdy ciężarówka zarzucała nią na zakrętach, po ciemku chwyciła się nieznajomych ramion i czuła na twarzy obce oddechy cuchnące strachem i przerywanym snem. Właściwie wtedy skończyło się ich życie.

Umiera się etapami i na różne sposoby. I nikt nie wie czy, w jaki sposób, pod jaką postacią, gdzie zmartwychwstanie. W kogo czy w co się wcieli.

... Żyje się w zapomnieniu, umiera się we śnie...

Dobrze to ujął blondyn. Starożytna, jak powiedział, cytata. Pewno jakaś łacińska mądrość. Może i on zna na pamięć Horacego, jak ów hrabia w mundurze esesmana?

Powód więcej, aby z tym tutaj zjeść niedzielny obiad. Gdzieś w Paryżu. Mówiąc po francusku. Niczego nie tłumaczyć.

## VII

Odkąd zaczęło się tam to wszystko dziać, nocami, gdy nie udawało jej się zasnąć, nie zdawała się na przypadek i ciurkanie byle jakiej muzyczki, lecz póty kręciła gałkę swego tranzystora, póki nie przychwyciła cienkiej, drżącej, polskiej fali. Dziwił ją akcent spikera, wydawał jej się sztuczny. Czy ucho do tego stop-



nia się odzwyczaża? A może język odmienił swe brzmienie i taka jest tam teraz potoczna wymowa? Taka melodia zdań?

Dobre określenie: fale eteru. Fala stamtąd podpływała do jej brzegu resztkami sił, wyczerpana, zalewana innymi, lepiej odżywianymi falami. Przykładała aparat do ucha, nie wolno było drgnąć ani wypuścić go z ręki, bo zaraz kontakt się rwał, jak gdyby słowom stamtąd potrzebna była łączność fizyczna by się nie potopiły po drodze. Myślała sprawić sobie lepszy odbiornik, choć nie można powiedzieć, żeby te audycje były pasjonujące. Niby wszystko rozumiała. Ale jakby ten ktoś w warszawskim radio był bardziej niż ona cudzoziemcem i recytował obcą wersję faktów, nudząc się i odrabiając normę. Jednak dobrze było móc to porównać z artykułami w tutejszych pismach.

Często zdarzało jej się podłapać w metro polską rozmowę. Z początku bawiło ją to, potem całymi latami przestało dotyczyć. Nie nadstawiała uszu, to stanowiło część paryskiego, różnojęzycznego tła dźwiękowego. Teraz pękała na niej ochronna, zgrubiła skóra. Nie reagowała, oczywiście, i nikomu nie przychodziło do głowy, że ta starannie uczesana blondynka o nieruchomej twarzy rozumie i dowiaduje się rzeczy wcale nie dla niej przeznaczonych. Paryż roił się zresztą bardziej niż kiedykolwiek od eks-rodaków, a już Wyspa przelewała się od nich. Nieraz pytali ją na ulicy świętego Ludwika, którą do Notre Dame albo do Bazaru. Musiała wyglądać na tutejszą i wzbudzać zaufanie. Wysłuchiwała ich dukanej francuszczyzny, informowała starannie i szczegółowo, jak dzieci, wymawiając każde słowo powoli i wyraźnie, albo nawet kreśląc im marszruty na kawałku papieru, pomna swoich kiedyś trudności.

Czasami były to te same osoby, które oblegały stolik pani z Wyspy. Rozpoznawała je z daleka, po butach, po teczkach, po zębach. Nawet młode dziewczyny miały usta w fatalnym stanie i nie powinny by się śmiać. Za to ubierały się lepiej od mężczyzn, nieźle cesały, widać, było, że bardziej przejmują się modą od przeciętnych Francuzek.

Ciekawe, że nikt nigdy nie wziął jej za Polkę i nie musiała grać komedii, że nie rozumie.

— Przesadzają, ci Polacy! Gotowa przez nich wybuchnąć jakaś większa awantura... Mało mamy kłopotów i bez tego? Proszę, znowu podnieśli cenę benzyny! Wszystko przez papieża, przeprowadził im w głowach...

Taksówkarz nie tylko wyłączył swego radia, ale cały czas raczyl ich komentarzami. Oboje z blondynem w jakiś pokrewny sposób nadstawiali uszy na wiadomości. Mowa była o czołgach,

wkroczą czy nie wkroczą, wszyscy tutaj wciąż tych czołgów wyglądali. Blondyn nie podjął dyskusji z szoferem, co jej się spodobało. Wyjął papierosy, schował papierosy, wcześniej od niego spostrzegła tabliczkę, że w tej taksówce uprasza się o niepalenie.

Z winy doktorowej, nie zauważyła, wsiadając, jaki adres podał szoferowi i dopiero gdy okazało się, że duży Paryż się kończy, pomyślała, że może należałoby się zaniepokoić. Dawać się wieźć nie wiadomo dokąd nieznanemu osobnikowi? No, przecież jej nie porwie i nie sprzeda do haremu, jako żywy towar przestała być opłacalna. Na zakładniczkę też się nie nadaje, któż by zapłacił za nią jakikolwiek okup? No i nie każdy musi lubić gwałt i mordowanie.

— Jakie panie do siebie podobne! No, pani ładniejsza, bo mademoiselle Marie, jak na swój wiek, była tęgawa. Nie musiała ograniczać się do przydziałów na kartki, nie tak jak my, więc się z matką obżerały... A pani chudziutka, jak manekin z żurnalu. Naprawdę, nie są panie spokrewnione? — dopytywała się już ponad siatką ogródka staruszka z Saint Palais.

Podobna? Ładniejsza? Bo co do szczupłości, żadna wtedy sztuka. Mało warta dziewczyna z Royan, gdyby wróciła po tak radykalnej kuracji odchudzającej, też by miała sylwetkę modelki.

Była wdzięczna każdemu, kto pochwalił jej powierzchowność, nawet wtedy, tamtej starej plotkarce. Już w dzieciństwie była tego złaknięta. Ojciec tępił kokieterię, mademoiselle Fabienne tym bardziej, każde zerknięcie do lustra stanowiło pretekst do pedagogicznych, a i pełnych współczucia komentarzy. Jakaś ty brzydula! Ale uroda nic nie znaczy. W życiu liczą się umiejętności, znajomość języków na przykład, no i sposób bycia. Inteligencja. Gdybyś nawet była ładna, jakże prędko to mija, a czasem jak szkodzi!

Gdy nikt nie widział, pytała lustra. Kaprysiło, jak w bajce o śpiącej królewnie, raz pocieszało, raz wprawiało w żal, że akurat taka twarz musiała być jej twarzą. Miny i grymasy pogarszały sprawę. A jeszcze to liche pierze na głowie, nie chcące rosnąć ani gęstnieć pomimo wszelkich szcztokowań!

Któregoś wieczoru, w leśniczówce, gdzie nie było elektryczności, podeszła do samej siebie w lustrze z lampką naftową w rękę. Wyglądało to teatralnie, z daleka, długa nocna koszula zamieniała ją we wróżkę. Ale gdy z całkiem bliska oświetliła swoją twarz od dołu, oczy znikły w czarnych oczodołach, uśmiech zamienił się w grymas, czarne węże cieni zaczęły wic się na jej głowie aż po sufit i wystraszyła się sama siebie tak, że gdy

na jej krzyk mademoiselle Fabienne wybiegła w grubym negliżu ze swego pokoju, stłuczona lampa leżała na podłodze, nafta się rozlała i gdyby nie koc pod ręką, spaliłaby się drewniana chałupka, gdzie mieszkały na odludziu i same.

Ta twarz Gorgony długo ją prześladowała. A więc, nawet we własnych oczach zależyśmy od oświetlenia? Nie mamy twarzy, zawsze tej samej, na stałe?

Lubiła więc szefa także i za to, że nie oszczędził jej komplementów.

— Oto nasza miss! — wykrzykiwał, gdy stawała w progu. — Potraci pani pacjentki, gdy w lustrze będą zmuszone porównywać swoje fizysy do pani!

Nie brała tego poważnie, szef nigdy normalnie się nie odzywał, miał cały repertuar żartobliwych frazesów. Ale miło. Może mała fryzjerka z Royan także i dlatego „z każdym” sypiała, bo w łóżku, zwłaszcza na początku, łatwo o pochwały? A nie z powodu złego przykładu matki, czy masła poza kartkami?

Jeżeli rzeczywiście były jakoś do siebie podobne, czy to podobieństwo trwałoby równolegle w miarę przybywających im lat? Wtedy, w lesie, twarz zabitej była repliką jej własnej twarzy. Ładna? Młoda? Przy takim sponiewieraniu te słowa nie wchodziły w rachubę. Mademoiselle Fabienne miała rację: uroda rzecz względna. Wystarczy popłakać, pocierpieć, pochorować, nie dospać, spuchnąć od zęba czy złapać liszaję. A cóż dopiero posiedzieć w obozie i umierać z upływu krwi.

Uroda to po prostu dobrze napięty naskórek w dobrym gatunku i stanie, a pod nim ruchliwy podkład mięsa, fasonującego na manekinie szkieletu nos, policzki, czoło. Szyję. Takie a nie inne rozwarcie warg, ich wykrój. No i zęby, żeby białe, żeby całe, a przynajmniej dobrze poreperowane. Zęby, wystająca, naga część manekina z kości, do którego życie przylega jak lepiej czy gorzej skrojona suknia. Nietrwała, zęby i z najcenniejszej materii, zużywa się, gniece i odpada. Manekin pozostaje. Kto może powiedzieć, jakiego koloru były oczy obracające się w pustych orbitach, jakimi były ocienione rzęsami? Jaki był uśmiech nieistniejących warg? Albo nos, zadarty był czy z garbkiem, grecki, burboński czy kartoflowaty, słowiański? Czyli jaki profil? To samo piersi, ich mniej lub bardziej atrakcyjna forma, przejściowy rekwizyt *sex-appeal*'u i macierzyństwa. Po latach puste nic.

No, jeszcze włosy. Najdłużej opierają się rozpadowi. Ekshumacyjna atrakcja. Ale i za życia materia dwuznaczna, na pograniczu. Można je zgolić, ze względu na modę, przepisy religijne, czy dla obozowej profilaktyki przed wszami. Można je tlenić,

czernić, fryzować czy, przeciwnie, prostować na druty. Rodzaj samorodnej peruki.

Lusterko taksówkarza odbijało jej aktualną twarz, może jeszcze nie tak całkiem zbrzydłą, ale przemodelowaną latami. Jak to było? ... Czas jak gdacząca kura o zabłoconych pazurach przebiegł po białych płatkach kwitnącej jabłoni... A jaki początek tego wiersza? Aha: ... i już kurze łapki na skroni...

Żeby tylko kurze łapki i tylko na skroni...

Swoją drogą, myśli jej się po polsku! Sama siebie na tym nagle przyłapała. Jakże inaczej mogłaby w pamięci rekonstruować ten wiersz? O, nawet nazwisko poetki, ongiś ulubionej, wypływa spod spodu bez wzbraniania się i widać zeszyt, do którego wpisywała ongiś kaligraficznie, wiecznym piórem — „wieczne” pióra, co za program! — poezje i maksymy. Zeszyt w sztywnej okładce, prawie album. A na następnej stronie inny wiersz, o pani co wciąż jeszcze tańczy, wesoła jak młoda dziewczyna, lecz jest już w piękności swojej nietrwała jak lichy jedwab. Może barwy utracić na słońcu, może skurczyć się jak... Jak co? A wówczas powiesz ją w szafie, pośród rzeczy, o które nikt nie dba... Kto ją szarpnie, ten rozedrze na zawsze... Ostrożnie z nią, młodzi tancerze, bo wam pęknie w tysiące zmarszczek...

Najlepiej samą siebie w porę powiesić w szafie i przestać tańczyć. Z tym tańczeniem przesada, doskonale można się obyć, święty spokój. A że mostem pomiędzy młodością a sercem jej starym mądrość przejeżdża groźna, o której się ludziom nie mówi, bo słuchają patrząc na zegarek, to nie tylko sprawa lat. Bywają groźniejsze mądrości od sercowych. Ludziom w ogóle nie należy o sobie opowiadać. Zwłaszcza w jej przypadku...

Komiczne, blondyn właśnie zerknął na zegarek. Wyraźnie byłby jednym z tych, co by słuchał, ale przed kim należy milczeć, wcale nie jako tancerka nietrwała i trwożna, tylko z przezorności. Jak przed tylu innymi do tej pory. Dokąd on ją wiezie? Właśnie wjechali na autostradę. Ładna historia!

Szofer zamilkł, słuchał komentarzy i wyników sportowej niedzieli w skupieniu. Wielkie bitwy narodów toczyły się na torach, kortach i boiskach, zapierając dech połowie ludzkości. Korzystając z małego korka, wyciągnął karnecik i coś sobie szybko zanotował. Jakieś prognozy. Pewno gra na wyścigach czy coś w tym rodzaju.

Wymienili z blondynem rozbawione spojrzenia. Paryżanin czy nie, musi być prawie tutejszy, skoro tak reaguje. Są w jednym wieku, na pewno. Tak skrótowo porozumiewają się równolatki.

Nie lubiła rówieśników, a jeszcze mniej rówieśniczek. Przygnębiające lusterka. Na przykład doktorowa. Już ze dwa razy usuwała sobie worki spod oczu i podciągała szyję o indyjskich skłonnościach. Pooperacyjne sińce kamuflowała wielkimi jak spodki, bożyszczowymi okularami słonecznymi, szyję po uszy okrywała szalikiem od Hermesa. Ale i tak do mycia głowy musiała to wszystko zdejmować. Wiedziała więc, że kto jak kto, ale mademoiselle Marie widzi i wie. Za to samo mogła ją zniechęcić. I co z tego? Lata miała i tak wypisane na całej swej osobie. Taniej i skuteczniej odmłodziłaby ją zmiana stylu w ubiorze. Te jej futra! Te jedwabie, opinające się na brzuchu i na biuście, fason *da-dame*, według formuły szefa. Mogłaby się trochę odchudzić. I malować mniej, i przestać być tak złocistą blondynką. Operacje, maseczki, masaże nie poradzą, że tak czy tak wygląda na własną ciotkę, do tego stopnia zadbaną i zrobioną, że każdy jej automatycznie dodaje kilka lat.

No a ręce? Skóry na dłoniach przeschłapić się nie da, ani utlenić. Dłonie doktorowej starzały się w galopującym tempie. Kompromitująca pigmentacja gęstniała na nich tak, że ta zbyt jasna i bez jednego siwego włosa blondynka, o twarzy bez żadnych śladów po zabłoconych pazurach gdczącej kury czasu, miała ręce starej Indianki. Nie powinna zwracać na nie uwagi tyloma pierścionkami.

Jakże taką uważać za rówieśniczkę bez wewnętrznego sprzeciwu? Przycinając, zwijając, złocąc loki doktorowej, Maria patrzyła z satysfakcją na swoje czyste, wciąż nie piegowate ręce. A nawet, folgując kobiecej złośliwości, gładziła tymi rękami pieska, który drzemał na kolanach pani. Kontrast ich naskórków był niema prowokacją, pokrywaną fałszywymi uśmiechami, zwłaszcza przy manicure.

Ściąganie pierścionków było mieszaniną ceremonii i operacji, nie chciały schodzić z obwarankowatych palców. Wypełniały całą specjalnie do tego celu przeznaczoną miseczkę i doktorowa, jak sroka, nie spuszczała z nich oczu, by jej ktoś którego nie porwał czy nie podmienił. Ta by zbaraniała, gdyby tak przed nią wysypać zawartość leśnego woreczka! Ta by przeżywała, gdyby z niej zaczęto ściągać biżuterię siłą, wyłamując palce.

Z takich jak ona ściągano też i futra, przedtem czy potem. Jeśli potem, kołnierze były lepkie od krwi i gdy kroilo się te lisy, te szynszyle, te karakuły zszywając z nich z wojennym marnotrawstwem błamy na anoraki dla żołnierzy marznących na froncie wschodnim, zza podszewek wyslizgiwały się węże złotych łańcuszków i pereł, kolczyki, pierścionki, bransoletki, pozasz-

wane na to, co miało być czarną godziną. Ale czarna była ostatnią. Od niej nie dało się wykupić.

W czasie nocnej szychty w lagrowej *Kürschnerei* mieszanka „Je reviens” i innych „Soir de Paris” parowała odurzającym anachronizmem ze skalanego, sponiewieranego włosia. Futra miały burżuazyjne fasony, takie *da-dame* właśnie, z tych co to koronują dorabianie się całego życia i ustawiają społecznie. Dozorczynie chodziły czujne pomiędzy stołami, nie mogąc się powstrzymać by tego czy owego kołnierza nie pogłodzić, nie dotknąć mięsistego jedwabiu podszewki i wypatrywały, kiedy zza któregoś z rozpruwanych szwów błysnie coś, coś stuknie o beton baraku, żeby to natychmiast porwać. Właśnie, czarne sroki. Niosły do umywalni łańcuszek czy bransoletkę, lepkie od dawno skrzepłej krwi, krzywiąc się z obrzydzenia. To był czysty naród. Ale nie zawsze i nie wszystko mogły upilnować. Skarb zabitej dziewczyny musiał mieć takie pochodzenie.

Dlatego Maria nie miała futra, ani ochoty by je mieć. Ostatecznie jakieś poczciwe barany na mróz. Już się przyzwyczała, ale z początku mdliło ją, gdy w zimie trzeba było zdejmować karakuly z różnych doktorowych i wdychać perfumy nagęstniałe w ich włosiu. Na ludzkiej skórze inaczej to pachnie i krócej trwa.

Woreczek dziewczyny był sztywny z brudu i potu. Uderzyło ją to dopiero po powrocie z Royan, gdy, sama już czysta, spróbowowała bliżej obejrzeć odziedziczoną fortunę. Był jak cudzy szkaplerz, jak bandaż z cudzej rany. Obrzydliwy. Nie mogłaby go już wsunąć sobie znowu pod suknię. Przełożyła biżuterię do jakiejś torebki, a woreczek pozostał, zmumifikowany, w kącie szufłady. Jedyne rekwizyt stamtąd.

To, że była w równym wieku z innymi „pacjentkami” nie stanowiło dla Marii takiego problemu, jak z doktorową. Na przykład owa eks-pensjonarka, eks „Zanetka”, była łatwiej strawna. Ale, niezależnie od wyglądu, Maria nie czuła przynależności do swojego tutaj pokolenia. Pod tym względem nie zasymilowała się. Gdyby była normalną emigrantką, przejście byłoby rozłożone w czasie, szłoby etapami. Ona była przeszczepionym, a nie przesadzonym drzewem. Szczep jest czymś bardziej radykalnym od przesadzenia, gdzie chodzi tylko o zmianę gruntu dla korzeni. Zwykła zmiana kuchni. W przypadku szczepu pierwotny trzonek dziczka od wyrosłej na nim korony dzieli zgrubienie, pooperacyjna blizna, znieczuleniowy zrost. Drzewo wyrasta niby takie, jak chce się, żeby było, ma takie liście, kwiaty, daje takie owoce jak trzeba, tak samo szumi jak inne. Wolniej czy szybciej, zależ-

nie od kalendarza, krążą w nim soki. Ale przecież to dziczek, przycięty u nasady, własnymi korzeniami owe soki czerpie i przekazuje obcej koronie, po swojemu selekcionując je i trawiąc. Choćby przeszczepieniowe zgrubienie było niewidoczne pod korą, pod skórą, ono jest. Z niego składa się całe drzewo, nie na oko, na pamięć. Na przekór pamięci.

Stąd może jej choroba? W gwałtowności swoich realiów narcoleptyczne sny były jak dziczki, zwane przez ogrodników wilkami, które potrafią po latach przycinań, eliminacji wciąż i wciąż ponawiać próby nawiązania niepożądanego ciągłości i w jedną noc, w geście rozpaczliwej rezurekcji, wyskakują spod kory poniżej przyciętego oczka, by choć na moment, choć na centymetr urzeczywistniło się to, co zamierzało autentyczne nasienie, a nie to, co narzuciły sekator i rafia. Ogrodnicy pilnie to likwidują. Wilki szkodzą uszlachetnionym drzewom, objadając korony z soków.

Była swoim własnym, gorliwym ogrodnikiem. W paralelnych światach sennych trudno, nie miała władzy, ale na jawie przycinała polskie wilki bez zwłoki i bez litości. To była kwestia życia i śmierci. Idiotyczne, wpaść po latach, bo coś pędem odbiło się we śnie. Poniżej oczka.

Jeden, jedyny raz przez wszystkie te lata spotkała prawdziwą rówieśniczkę. Czyli upiora. Któregoś czwartku, a więc nie tak dawno temu, bo to był już czwartek nokturnowy, świeża inwencja szefa, w związku z czym po południu później zaczynało się prace. Mżył deszcz, pogrzmięwało z daleka i choć młodzi Kreonowie i Antygony nie zwracali uwagi na takie realia, odechciało jej się dłużej siedzieć na ławce pod mało skuteczną parasolką. Dla „ruchu” obeszła Wyspę nie tykając mostów i gdy na quai d'Orléans mijała Bibliotekę, akurat wchodziła tam grupka turystów. Dołączyła do nich machinalnie.

I zdradziła się. Nie słowem. Spojrzeniem.

To było jak przeskok prądu, kontakt błyskawiczny. Błyskawiczna identyfikacja. Wilczy pęd z poniżej zgrubienia.

W duże, pałacowe okna czytelnicy zaczynał na dobre majowy deszcz. Pozapalane na stołach lampy podkreślały atmosferę zakurzonego akwarium. Tuż przy drzwiach siedziała siwa kobieta, pilnie coś wynotowując z rozłożonych czasopism.

To była Halina.

Mogła była zmienić się bardziej radykalnie, a nie tylko utyć i oswiecić. Mogła nie podnieść oczu na zaglądnącą do czytelnicy turystkę. Ale spojrzała. Ich oczy rozpoznały się. To była Maria. To jest Halina. Wstała tak gwałtownie z krzesła, że papiery pospadały na podłogę.

Lata i losy — jakie losy? — sprawiły złośliwego figla tej twarzy. Nie pogniotły, przeciwnie, wygładziły rysy, nadmuchując skórę jak balonik. Czy to nie chorobliwe, tak utyc? Uśmiechnęła się. Lata uśmiechów mało się imają. Nie było wątpliwości, to ona, bo już rzuciła się ku Marii, tej zjawie na progu, by zagadać do niej, dotknąć palcem. Ale papiery musiały być cenne, zeszlowieczna, żółkła dokumentacja, jakże po tym deptać? Więc schyliła się, by najpierw pozbierać je z podłogi.

Nie było sekundy do stracenia. Gdy tamta wygrzebie spod stołu porozsypywane papierzyska, co zrobi? Złapie Marię za szyję i zawoła: ty żyjesz? Przecież cię zabili! Na co trzeba będzie jakoś odpowiedzieć, zareagować. Wyprzec się własnego spojrzenia, udać niemowę? Bo jeszcze głos. Dodany do spojrzenia drugi dowód tożsamości. No, może głos jej zmienił się, choćby przez palenie. Kiedyś, w szkolnym chórze, stały obie z Haliną na skrzydle sopranów. Teraz czuła w gardle rdzę, nie lubiła mówić, o śpiewaniu mowy nie ma.

Wszystko to myślała, pod szkiem, pospiesznie, a już jej nie było. Uciekła, roztrącając grupkę zwiedzających. Nie zatrzymała się za bramą Biblioteki nawet dla otwarcia parasolki, choć lało akurat tak, że szef powitał ją od progu: a podobno jest zakaz kąpać się w Sekwanie! Bo woda zatruta. Chyba że próbowała pani się topić! W maju? Znaczą z miłości?

Topiła się. Nawet się chyba utopiła. Miała wrażenie, że na moment zanurzyła się w wodę, opadła na głębokie dno, gdzie został utrwalony podobnie rześisty, majowy deszcz, w którym beztrudno mokły sobie z Haliną przy wzajemnym odprowadzaniu się do domów po jakiejś tajnej łacinie. Czy polskim. Kwitły kasztany. Ulewa masakrowała ich kwiaty, ulica wzdłuż miejskiego parku była zasypana ich płatkami jak na Boże Ciało. Poetycznie. Przepowiadały sobie wiersze, wszystko im się rymowało, maj, kasztany i ulewa przeświecona słońcem.

Wiersze... Jeżeli młodość jest nimi przesycona, żyją dłużej od uczuć, od wspomnień. Wilki poezji wytryskują poniżej przeczepu tym śmieiej, że automatyzm cytat, mnemotechnika strof podkłada się i pasuje do wszelkich sytuacji. Na rogu mignęła jej doktorowa z pieskiem, z parasolką. U progu zakładu zrobiła się kałuża, którą trzeba było przeskoczyć. Spotkała Halinę. Siedzi w Bibliotece, siwa i gruba, ale ta sama. Przeżyła. Wszystko to razem sprawiło, że przez cały ów nokturn czwartkowy w głowie mademoiselle Marie samograj deklamował strofy sprzed potopu, różne: widzę cię, wahającą się nad małą kałużą, z pieskiem w ramionach i z różą...



— I jakże ty zrobisz krok w nieskończoność?

Opuścić którąś z głów w połowie czesania i wrócić tam? Biblioteka otwarta bodaj do szóstej. Mogłaby jeszcze zdążyć, ale... Ale co? Kto jak kto, Halina wszystko by zrozumiała. Nie zdradziłaby. I tyle od niej można by się dowiedzieć. O niej. O Andrzeju...

Andrzej. Zaledwie imię. Nawet już nie imię, od lat. Szefowi też André, i nic. Nic już w niej na dźwięk tego imienia nie reagowało. A teraz, nagle... Ponieważ Halina żyje, choć zabita. A on?

Przyszła kolej na jakąś żmudną wieczną undulację, pracowała w oślizłych rękawiczkach i smarowała czyjeś włosy kosmyk po kosmyku, by zmieniły naturę. Ostry zapach chemikaliów nie wpuszczał do środka majowej świeżości powietrza splukanego deszczem, choć stale ktoś otwierał drzwi.

Nie zdjęła rękawic, nie przerwała operacji. Nie wyszła. Nie wyjrzała. Przez parę następnych tygodni omijała z daleka Bibliotekę i chodziła po Wyspie z ostrożnościami poszukiwanego złoczyńcy. Bała się nawet przesiadywać na swojej teatralnej ławce nad rzeką, bo a nuż Halina dostrzegłaby ją z mostu.

Halina żyje. To i dobrze. Ją zabili. Więc po co ma znowu żyć? Już ma za sobą swój krok w nieskończoność.

*Licentia poetica* z tą nieskończonością. W nieskończoność nie można wejść, ponieważ się z niej nie wychodzi, ani na krok. Ona jest kolista. Sferoidalna raczej. Każdy tkwi w swoim centrum wieczności, w komórce nie do wynajęcia. Wpisany tam na amen. Zaś damę w futro wtuloną z pieskiem w ramionach i z różą, po drugiej stronie kałuży, nad którą tak wdzięcznie się waha, czeka po prostu koniec. Czyli to samo. Nieskończoność. I koniec.

Dla niej w każdym razie żadne kroki, skoki nie wchodzą w rachubę. Śmierć ma za sobą. Czy tam w sobie. Ta druga będzie czystą formalnością, bez papierkowania, bez wystawiania w ogonku przed Prefekturą, bez protekcji żadnego komisarza. Będzie powtórką. Praktyką, gdyż wbrew przekonaniom liczy się wyłącznie teoria. Matematyka, czyli wszystko. Magia, czyli geometria. Zredukowanie wszystkich czterech działań do zera, czyli do nicości. Czyli do nieskończoności. Chodziło tylko o przemijanie, przeminięcie bez oporu. Skakać? Po co, jeśli nie z miłości?

W małym albumiku pełnym wierszy, a kto jej go ofiarował? Andrzej, oczywiście, z dedykacją na pierwszej stronie, i na początek sonetem Baudelaire'a we własnym tłumaczeniu, było coś

tej samej poetki, i na zbliżony temat. Króciutkie strofki miały ostrość i przejrzystość szkła, przypominając je sobie, miała wrażenie, że je komponuje. — Nad wodą stoi... Co chcesz uczynić? Chcę morze zarzucić na głowę, by nikt nie ujrzał łez moich..

Łzy? Kto mówi o płaczu? Nigdy nie płakała. Lekarz dziwił się jej spokojnemu, opanowanemu usposobieniu. Narkolepsja często kojarzy się z histerią, z wybuchami płaczu albo śmiechu, z niezrównoważeniem. Ona była senna, opóźniona w reakcjach. Interwencje paralelnych światów zносиła z fatalizmem, jedno tylko mając zmartwienie by przez sen nie sypnąć się jakimś polskim wilkiem.

Przez tę głupią, biblioteczną wpadkę straciła wtedy maj. O tej porze lubiła chodzić po skwerkach lewego i prawego brzegu. Przed pałacem biskupstwa Sens ogrodnicy wyhaftowywali z tulipanów średniowieczne labirynty. Pewno dokwitają. Co w tym roku wysadzą na ich miejsce? Może znowu czerwone, ravensbrückie szałwie? Co dzieje się w Ogrodzie Roślin? Burze i upały przyspieszały przemijanie kwiatów.

Wszystkie musiała jej zastąpić przez czas przytąjenia się japońska czereśnia czy wiśnia z sąsiedniego podwórka, różowy gejzer sypiący płatkami aż na schody. Bluszcz na zakratowanym oknie, doniczka fuksji ofiarowana przez szefa. No, nic. Gorzej bywało majami. Ten stracony nie musiał być ostatni.

Zresztą naprawdę ostatnim majem w jej życiu był ten, gdy nic o tym nie wiedząc, szła z Haliną po ulicy wysypanej mokrymi płatkami kasztanów chroniąc pod bluzką zakazane tomy Horacego oraz „Mówią Wieki” i ustępując z chodnika na jezdnię każdemu niemieckiemu żołnierzowi. Nic im to nie szkodziło. Zatokowane, deklamowały na wyścigi. Najnowszy przekład „Kwiatów Zła”, wpisany ręką Andrzeja do ich albumów, albo: Mochnacki jak trup błądy siadł przy klawikordzie. Albo: gdy wiosna zaświta, jest w ogrodzie raz ciemniej, raz jaśniej. Wciąż coś rozkwita, przekwita. Wczoraj kwitło moje serce. Dziś jaśmin.

## VIII

— Pani chciała umierać? Dlaczego? Nie lubi pani żyć?

— Ja? Umierać? Kiedy?

Czy on zwariował? Ledwo usiedli. Zastrzelił ją i tonem i treścią pytania. Spojrzeniem. Coś między doktorem a sędzią śledczym.

Podmiejska oberża była prawie pusta. Oberża? Bo: *auberge*. Nie, zbyt dosłowny, więc niewierny przekład. Karczma jeszcze gorzej. Ta karczma Rzym się nazywa... Gospoda? Też źle. Zacisza restauracyjka, dwa, trzy pokoiki na piętrze do wynajęcia, dookoła las. Leśniczówka? Musi istnieć jakiś odpowiednik tego słowa.

Ale czemu nagle w jej głowie te dwa języki, martwy i żywy, przeszły i terazniejszy, dysputują ze sobą odsyłaczami? To już nie cytaty, wypływające na wierzch nieobowiązującymi lejtmotywami. Po co samej sobie, „na stronie”, tłumaczyć nazwę czegoś, co jest tutaj, teraz, a nie gdzie indziej, kiedyś? Jest takie, nie inne i wcale nie musi mieć dosłownego odpowiednika.

W głębi sali tylko jeden stolik był zajęty. Towarzystwo, raptem cztery osoby, spożywało obiad bardziej niż niedzielnie wyszukany. Szampan w kubku z lodem, liczne trupy butelek. Zaręczyny, urodziny, a może stypa? Bo panowie na czarno. Porozluźniali węzły krawatów, zaraz pozdejmują marynarki i rozwieszają je na oparciach krzesel. W niedzielę nie ma pogrzebów, więc może oblewają świeżo otwarty testament? Dobrze już podchmieleni, nawet panie.

Pomiędzy ich kątem a tamtymi rzędy wyczekujących, dziewiczych stolików, jak na surrealistycznym obrazie. Było tu do przesady nastrojowo, buduarowo. Gdzież się podziewają pary, na które ta oberża, czy jak tam, najwyraźniej jest nastawiona? No, jeszcze zima, jeszcze nie maj. Każdy stolik zaślany różowym obrusem, na każdym nocna prawie lampka z różowym abażurem i różowy goździk w różowym wazonie. Białe infuly serwetek, sztywno krochmalonych, jak prześcieradła w Saint Palais. Kontrapunkt: czarne garnitury panów, a za oknem przy którym usiedli wgłębienie w rodzaju alkowy na podwyższeniu — to się nazywa *loggia*, a po polsku jak? — nagość lasu i niebo z przezroczystej folii. Czarne krechy gałęzi gięły się i prostowały w rękach wiatru. Ruchoma grafika.

Zimą drzewa odślaniają swoją biografię, wykresowo widać z jak przemyślną strategią przestrzenną każda gałąź pracowała latami by nie odchylając się od właściwej sobie formy zdobyć maksimum powietrza i światła.

Szumiałyby i wyło zza okna, cały las, gdyby nie muzyka, muzyczka, też jakby różowa, lukrecjowa, deserowa, przeciekająca nie wiadomo którędy ani skąd, może przez sufit spękany jak po trzęsieniu ziemi? Bo gdy się na ten sufit niechcący spojrzęło, widać było jak tu jest staro, właściwie brudno i że te różowości,

krochmale, abażury są tylko na oko. Nawet pachniało tu dziwnie...

No tak, pachniało psem. Coś poruszyło się i spod sąsiedniego stolika wylał duży, stary pies i położył łapę na ich obrusie. Zebrał o cukier.

— Gdybym pani nie przytrzymał wtedy, nad rzeką...

Rozjaśniło jej się w głowie. Dziwny blondyn jest po prostu z rasy samarytańskiej. Wydaje mu się, że uratował jej życie, a teraz, w nagrodę za dobry uczynek, chciałby się czegoś o tym życiu dowiedzieć. Wzruszające. Dobrze, należy mu się kawałek cukru, opowie mu coś takiego, co by chciał usłyszeć. Ale nie tak zaraz, z kopyta.

Zresztą podeszła właśnie do nich dość otyła kobieta w stylu *la mamma*, patronka czyli właścicielka, bo raczej nie kelnerka, w różowym oczywiście fartuszk. W pierwszej kolejności odciągnęła psa za obrozę. Stawiał bierny opór. Miała rację, biedakowi śmierdziało z pyska. Pewno psuły mu się zęby, za dużo cukru zżerał od gości. Z drugiego końca sali, a może i z kuchni, zalaływało smażeniną i czosnkiem. Niezbyt apetyczna mieszanka.

Gdzie on ją przywiózł? Czy warto było tłuc się tutaj z godzinę taksówką, której licznik wybił fortunę? Mało to lepszych restauracji w Paryżu?

Czemu miałyby chcieć umierać? Chciała spać. Nie całkiem to samo. Choć mówi się: zasnąć na wieki. Albo: usnąć psa. Czyli go zabić, z czystym sumieniem i bez fatygi. Niedługo będą musieli usnąć to psisko, odstrasza im klientelę.

Nadal jej się przekładało, tłumaczyło w głowie. Jak w szkolnym zadaniu, dwa naczynia połączone, jedno pełne, drugie mniej, w jednym wyżej, w drugim niżej. Od dawna, poza snami, poza nieregularnymi lekturami czy zdaniem przynoszonymi nocą przez fale eteru, kran od polskiego był zakręcony. A teraz kapie, ciurka. Popsuła się uszczelka.

Po francusku jest *la mort* i *la vie*, to są siostry. Rodzaju żeńskiego. Bliźniaczki. A po polsku inny zupełnie układ: to życie, ta śmierć. Śmierć nadal kobieta, więc siostra, więc matka, więc ukochana, bo bagnet mnie przekłuje, śmierć mnie ucałuje i tak dalej. Zaś polskie życie rodzaj ma nijaki, jest dzieckiem. Bezpłciowe, niedorośle. No tak, w Polsce trudniej dożyć do dorosłości, dojrzeć, wyzwolić się od macierzyńskiej dominacji śmierci.

Francuszczyzna jest bardziej logiczna. Życie dla niej żeńskie, bo rodzi, a śmierć też, bo usypia. Po polsku bałagan. Przypadek etymologiczny, fonetyczny, a może ślad jakiejś słowiańskiej he-

rezji? Czy ręka historii? No, nie przesadzajmy. Wszędzie bywały wojny, najazdy, okupacje i powstania. Rewolucje. Nie tylko hej kto Polak na bagnety, ale i *allons enfants de la patrie*.

Za to z czasem i ze snem w porządku, zgadzają się zeznania, tu i tam ten czas, ten sen, rodzaj męski. Tu i tam różnica wieku między nimi. Czas wszędzie stary dziad, brodaty Chronos, sen zaś uskrzydłony młodzieniec. Analogiczna ikonografia.

Albo z takimi rzekami. Tutaj kłania się nagle tajny profesor łaciny, wciąż z odciętym imieniem. Sebastian? Chyba Sebastian, tak, ojciec Sebastian, pasuje. No i ręka w rękę z nim nadzorujący rewizję hrabia. I Halina kłania się i Andrzej, razem wracają z lekcji łaciny, każde swego Horacego ukrywa pod bluzą. Drzewa, kraje, wyspy, miasta mają rodzaj jak niewiasta, więc dlaczego po francusku mała rzeka to ona, ale gdy większa, gdy inne wchłonie w siebie i doprowadzi do samego morza, taka na przykład Sekwana, nagle zmienia płęć, już nie *la rivière* tylko *le fleuve*? Papiery ma nadal żeńskie, ta Sekwana, nie ten Sekwan, a status męski i na alegorycznych posągach czy malowidłach naga u źródeł nimfa zmienia się w starca, brodatego jak Czas.

Z Wisłą nie ma takich kłopotów. No, ale Bug? A też: to źródło. Dobrze, jak to jajko, logicznie. Niestety: ten strumień. Więc tam rzeki rodzą się męskie i niektóre kobiecieją w drodze? Przepraszam, a ta struga? W każdym razie dopłynięcie czy niedopłynięcie do morza po polsku i tak się nie liczy. Żadnych oceanów w perspektywie.

Wcale jej się nie chciało studiować pergaminowego menu przewiązanego różową wstążką.

— Pani nie lubi jeść?

Znowu!

— Lubię, lubię. Ale mam do pana zaufanie. Pan tu bywał, wie pan co najlepsze. Pan tu lubi? Bo żeby aż tutaj przyjeżdżać z Paryża... Często pan tu bywa?

— Często, to za dużo powiedziane. Byłem tu parę razy. I raczej lubię. Dobry etap przy wyjeździe z Paryża, czy przy powrocie. Gdy chce się przeczekać zatory. W lecie jest znacznie przyjemniej. Można jeść na tarasie, w cieniu drzew.

— Ale jak my stąd wrócimy? Taksówka odjechała.

— Mam tu blisko samochód. W garażu. Zadzwoń, podstawią, powinien być gotowy. Nawalił mi parę dni temu, gdy tędy przejeżdżałem. Jak pani widzi, jestem człowiekiem praktycznym, przyjemne łączę z pożytecznym. I tak musiałbym tu dziś czy jutro podjechać. Niech pani będzie spokojna.

— Pani lubi się martwić?

Ładna perspektywa! Czy tak będzie cały czas, że on siedzi za stołem i zadaje pytania, a ona musi zeznawać? Wolała już gdy sypał cytatami. Lubi czy nie lubi jeść, to jeszcze ujdzie, ale czy lubi żyć, albo czy lubi się martwić? Cóż to za ankieta! Znowu ją irytował. Ciągnął za kołnierz. Czy w ich wieku w ogóle mają sens takie rozmowy? To by pasowało, gdyby mieli po naście lat, jak ongiś ich trójką, ona, Andrzej, Halina. Zaraz zacznie jej recytować wiersze i zapyta, czy lubi poezję.

Co to za typ? W sposobie bycia stuprocentowy tubylec, ale rosło w niej przeświadczenie, że to nabyte, wypracowane. Komentował potrawy, zestawiał menu z przejęciem i delectacją neofity. Albo jakby wyszedł z wygłodzenia i obawiał się, że znowu w nie wpadnie. To prawda, Francuzi przeżywają jedzenie i trawienie, choćby kiedyś jej komisarz, mlaskający, cmokający, co wtedy i śmieszyło ją i brzydziło. W gastronomicznym tokowaniu blondyna brzmiała jakaś inna nuta. Turystyczno-snobistyczna? Bo nie prowincjonalna, choć napomknął, że urodzony na Wyspie, wędrował z rodzicami po prowincjach. Jakich?

Powinna by cenić, że tak mu zależy na jej gustach, każdy szczegół usiłuje z nią uzgodnić. Chce przez żołądek trafić do serca? No, nie przesadzajmy, bądźmy realistami. Po prostu nie lubi jeść sam.

Wykorzystała jego namaszczone i dziwnie poufale pertraktacje na najwyższym szczeblu z gospodynią — więc są aż w takiej komitywie? — i wyszła umyć ręce, poprawić włosy. Przez te same drzwi, przez które został wywleczony pies.

Wbrew gorszym przeczuciom toaleta była raczej czysta, choć stara, o pożółkłych, spękanych ścianach jak sufit w jadalni. Też by przydało się przejechać tu pędzlem, a choćby gąbką. I ów dziwny zapaszek. No tak, po środku lasu muszą mieć trudności kanalizacyjne, instalacja nie nadąża z trawieniem. Do wysoko umieszczonego okienka dobijała się czarna gałąź. Wiatr nie ustawał. Prawie go się widziało jak dmucha, wydymając policzki, dziki Boreasz.

Głupio. Nie wzięła zapasu proszków, a już pora na następną dawkę. Jeśli tutaj coś się jej przytrafi... No nic, blondyn będzie miał nową okazję by ją wyciągać ze snu za kołnierz. Byle nie strzeliło mu do głowy żeby wyważać drzwi klozetu, bo ona już tam utopiona albo wisi na łańcuszku.

W podobnie zalatującym wnętrzościom domu klozecie, tyle że przyozdobionym w haftowane gotykiem porzekadła, zamknęła się kiedyś w oczekiwaniu na koniec wojny. I zasuwka tam była podobna, poddrzewiała, budząca klaustrofobię, bo skoro tak trud-

no się zamyka, jak pójdzie z odemknięciem? Myła i myła ręce w górskiej, lodowatej wodzie, parę razy wypróżniała miskę do wiadra. Tam jednak był większy prymityw. Brud najpierw był czerwony, potem czarny, krew szybciej się zmywa od ziemi.

Za tamtejszym tak samo wysokim okienkiem zieleń była zimotrwała, iglasta. Na czubku każdej gałązki seledynowe podrostki. Łąka schodziła stromo w mgłę. Na wszystko co tam w dolinach kotłowało się i rozstrzygało opadła gęsta kurtyna.

Dała spokój szorowaniu rąk, zgrabiła, a żałoby za paznokciami tak szybko się nie pozbędzie. Wytarłszy je o suknię, bo haftowany, prasowany ręcznik onieśmielał, zdjęła woreczek z szyi, rozsypała sznurek. Drzwi były zamknięte na zasuwkę, okienko zbyt wysoko by ktoś mógł podejrzeć. I dopiero tam przekonała się, co na sobie nosi.

To było martwe, zimne, chrzęszczące, lśniło wężowym blaszkiem. Jak obarczony klątwą skarb. Do tego pomięte papierki, listy. Rozprostowała jeden, drugi karteluszek. Zatarte od czytania i od noszenia na piersiach matczyne czułości w nieporadnej, przepisowej niemczyźnie. Czarna wrona cenzury. Ale adres i nazwisko czytelne. Z miejsca wpisała je sobie w pamięć, na wypadek gdyby ją ktoś obrabował. Już wiedziała, że tam pojedzie. Zaraz po wojnie.

Do niej przez te lata nikt nie napisał ani słowa. Kto miał pisać? Ojciec, wiadomo, Andrzej i Halina także. Mademoiselle Fabienne, jeśli żyła, znikąd nie mogła mieć jej adresów ani numeru.

...Mała moja, kochana córeczko, czy dostałaś paczkę w której... Czyś zdrowa? Czekam na Ciebie. Wracaj. Pisz.

Czekam na Ciebie...

Miała już wszystko z powrotem upakowane, jak najbardziej płasko, żeby woreczek nie sterczał spod sukni, kiedy tamci załomotali w drzwi wołając: Koniec! Koniec! *Szlus!* Krzyczeli, szwargotali, gdy szamotała się z zasuwką.

To był koniec wojny.

Teraz dopiero zaprosili ją do stołu. Przedtem była może zbyt brudna, a może jeszcze się bali. Skubała czarny, wilgotny chleb, pojadała odgrzewany *Eintopf*, wolnościowy, dużo mający wspólnego z zupą z Saint Palais i patrzyła, jak oni się cieszą. Kobiecie zsunęła się z głowy czerwona chustka, wyjrzały spod niej obfite warkocze upięte w koronę. Jak u Janki...

A więc był koniec czegoś. Czyli czegoś początek. Pojadała, to było dobre, tłuste, rozgrzewało od środka, syciło. Czyżby

lubiła jeść? Czerwona chustka kobiety fascynowała ją, także jej korona. Odzwyczała się od kolorowej odzieży, od długich, czystych włosów. Dzięki tej chustce dostrzegła ich z daleka, zapragnęła do nich dojść i doszła.

Pierwszy raz w życiu szła lasem sama. Mech zieleniał, zdradliwie śliski, igliwie ugięło się, zapadało. Trepy lagrowe niezbyt się nadawały na górskie wycieczki. Byłe nie zwicznąć sobie czy nie złamać nogi, byłe nie wpaść w jakiś wykrot. Nisko zwisające gałęzie biły ją po twarzy. To cucilo. Po kamieniach przeprowiała się przez strumienie. Może wciąż przez ten sam?

Minęło ileś czasu nim zobaczyła pierwszych ludzi. Było ich dwoje, mężczyzna i kobieta. Na przeciwległym stoku pulchniał płat czarnoziemiu. Biały wół sunął powoli, skłoniwszy łeb w jarzmie. Oni szli za nim, czasem pochylali się, czasem rozchodzili na boki, jak w jakimś bukolicznym balecie. Pewno zbierali kamienie i perz. Kobieta zostawała w tyle. Miała czerwoną chustkę na głowie. Doszedłszy do skraju poletka zawracali w ślad za wołem. Przyświecało im słońce, już niskie.

Wykalkulowała sobie mniej więcej którądy do nich dojść. Stali się jej celem. Trzeba było zejść na sam dół, w ciemną fałdę lasu, a potem znowu się wspiąć do połowy przeciwległego zbocza. Byłe zdążyć przed nocą.

Jak zawsze, los uparł się, że żadnych jej zamiarów nie będzie brał w rachubę. Logicznie wybrana trasa zniosła ją za bardzo w prawo, czy za bardzo w lewo, fałda lasu okazała się przepastnym wąwozem. Kiedy z trudem wydrapała się pod górę, prostokąt czarnoziemiu gdzieś się zapodział, szczyty gór ustawiły się w odmiennym porządku. U wylotu doliny spiętej kłamrą torów, piętrzyły się dachy jakiegoś osiedla.

Wycofała się w zarośla. Świat jeszcze raz zmienił swoje oblicze. Las zionął złą wilgocią. Noc podpływała. Gałęzie chwiały się, czarne i przeczące. Szła z poczuciem niedorzeczności każdego następnego kroku. Najwyraźniej kołowało nią. Broniała się przed narastającą paniką, szukając jakiejś ścieżki, jakiejś nitki, która by ją dokądś zaprowadziła. Dokąd? Wszystko jedno. W jakies lepsze miejsce, w lepszy czas.

Było już całkiem ciemno gdy drzewa zaczęły się rozstępować, rzednąć i okazało się, że idzie drogą. Grunt był rozmokły, gliniasty, porozjeżdżany ciężarówkami, do trepów lepiły się grudy. Wreszcie odgadła raczej niż zobaczyła kominy fabryczne i obły pagór żużli. Porzucone na szczycie pagóra taczki sterczały kołem do góry. Bocznica kolejowa urywała się na ślepo, dalej jakaś szopa, a dalej...



Dalej czekały na nią znajome, rozkraczone pająki wieży strażniczych. Mokre ciernie drutów zabłyśły, oblane światłem księżyca. Brama także nimi uwieńczona była otwarta na oścież. Chwiała się i skrzypiała, jak żywa.

Gdyby upiór zastąpił jej drogę nie byłaby bardziej przerażona. Tyle czasu kołować po lesie, gdy rozstawione sidła czekały tutaj, aż sama w nie wpadnie.

Cofała się nie odważając się odwrócić. Oblepione błotem trepy zamieniły się w koturny. Już miała na skřęćie pofolgować zrywowi ucieczki, gdy coś zazgrzytało jej pod nogą.

Była to blaszana łyżka, klasycznie lagrowa. Miała przewiercony w kilku miejscach trzonek, rozpoznawcze znaki własności. Przez jedną z dziurek przewleczony był sznurek, żeby można było ją nosić na szyi. Skarb, ważniejszy od woreczków z biżuterią.

Przydała jej się z miejsca na obskrobanie trepów. Nawet bez tych kul z gliny trudno było iść, nogi wypowiadały posłuszeństwo. Potykając się, zataczając brnęta jednak dalej ową jakby aleją, romantycznie podświetloną blaskiem księżyca. Wydłużony cień wyprzedzał ją, szła za własnym cieniem. Majaczyła jej ciągle oaza oranego pola, czerwona chustka kobiety, wół kroczący statecznie jak na fragmencie strzaskanego fryzu. Przestała sobie dowierzać, że to naprawdę widziała. To był ułomek z innej epoki. Może jej się przyśniło?

A jednak to było tuż, wcale tak bardzo nie pobłądziła. Blisko obozu. Po nocy przespanej w jakimś mokrym wykrocie, w dreszczach i koszmarach, okazało się że leży prawie pod ich progiem. Najpierw poczuła zapach dymu. Ulatywał z komina górskiej sadyby. Wcześniej się budzili. Słońce właśnie wstawało po drugiej stronie gór, za kulisami.

Dopiero gdy kobieta wyszła przed próg w swej czerwonej chustce na głowie, ośmieliła się wyleźć z kryjówki z blaszaną łyżką w rękę. A teraz jadła nią zupę. Oni wciąż się cieszyli — Koniec! Koniec! *Szlus!* — powtarzali. Przytakiwała. Ich bardziej to dotyczyło niż jej. Zardzewiała w niej jakaś zasuwka i o wszystkim dowiadywała się przez zamknięte drzwi. Na wszystko patrzyła przez okno. Wysoko umieszczone okno snu.

Tutaj także, w leśnej oberży. Na dobrą sprawę po co wychodzić stąd, szarpać się z zasuwką? Żeby zasiąść do stołu? Nie lubiła jeść. A może lubiła. Kręciło jej się w głowie. Z głodu? Albo jak wtedy na rzeką...

To byłby pech. Nie teraz, nie tutaj. Może przez te cliwe zapachy? No i zmęczenie, prawie nie spała. Zatęskniła do swego pokoiku z zakratowanym oknem, do befsztyka w lodówce, do

radia. Do łóżka. Zjadłaby, położyłaby się i niech jej się śni. Zatęskniła do Wyspy.

Tego rodzaju przygody i wypadki już nie dla niej. Blondyn przypominał jej kogoś, tak, zgodziła się i na kawę i na obiad, głównie dlatego, że on jej od samego początku kogoś przypominał. Kogo? Pomiędzy nią a tym człowiekiem były jakieś ustalone choć zapomniane związki i zależności, ktoś ją tak kiedyś irytował, równocześnie imponując i pociągając, kogoś już tak słuchała w nabożnym skupieniu i zła. Ktoś taki był już w jej życiu. W którym, kiedy, gdzie? Tyle podobieństw błąka się po świecie, cechy i właściwości wędrują samopas w oderwaniu od osób, z którymi były niby nierozłącznie związane, tu czyjś gest, tam czyjeś brzmienie głosu, albo spojrzenie. Czyje? Z kim to skojarzyć, kto jest tego prawowitym właścicielem? Grzeb człowieku w stogu siana, szukaj zgubionej igły.

Z Haliną inaczej. Ani chwili wahania, szparki na wahanie. Wywołana wymianą spojrzeń igła sama wylazła ze stogu i przekłuła je obie.

Pani nie lubi żyć? Co za głupie pytanie. Tak jakby życie wybierało się według gustu, apetytu i stanu kieszeni z proponowanego jadłospisu. Życie się przeżywa. Dożywa. Spożywa się je kęs za kęsem, jak leci, czy się ma apetyt czy mdości. Niektórzy zaczynają od deseru, a kończą na suchym chlebie. Inni na odwrót. Nikt nie ma prawa zostawić niedojedzonej porcji. Ani liczyć na dokładkę, gdy mu mało. Nawet gdy komuś wydaje się, że sobie zestawił życiospis według życzenia, w istocie cały czas jest na łaskawym garnuszku. I nikt sam od stołu nie wstaje. Nawet ci, co skaczą do wody.

Jej przypadek jest szczególnie znaczący. Zasiadła przy cudzym nakryciu. Ale czy ono nie czekało na nią od zawsze? Jadła cudzą porcję, bez kaprysów, bez protestów. Bez smaku. Za sprawą choroby wstawała jednak od czasu do czasu od stołu. Sen komponował dla niej inne posiłki. Była więc na dwu garnuszkach, jeden bardziej iluzoryczny od drugiego. Z którego wolała jeść? Z którego wolała żyć? Nie wybierała żadnego.

Gdyby to były zwyczajne sny i nie pozostawiały po sobie niczego, stanowiłyby, jak u normalnych ludzi, ćwiczebne zapasce w śmierć. W jej przypadku czysty zysk, skracanie nie lubianego życia. Bo gdyby ktoś miał do wyboru noc, którą przespał tak twardo, że nic mu się nie śniło i inne noce i dni ze swego życia miałby z nią porównać, to które z nich lepiej i przyjemniej byłyby przeżyte? Te pełne, czy te puste? Móc tak przespać do

końca całe życie, do samego wyroku... Cały przydzielony czas nie byłby dłuższy od takiej jednej nocy.

Ale w narkoleptycznych snach czas pomnożony rozgałęział się, wyzbywał linearności, chronologii. Nie Chronos: Proteusz. Igrał z nią jak chciał. Były to czy nie były złudzenia? Kto komu dyktował, mózg zmysłom, czy zmysły mózgowi? I jeszcze te czasem pozazmysłowe, pozamózgowe jakby z innymi światami koneksje. Niewyraźalne.

Maksyma blondyna o życiu w zapomnieniu i umieraniu we śnie do niej tak całkiem nie przystaje. Owszem, żyje w zapomnieniu, ale i we śnie żyje, równolegle. Tu i tam umiera. Tu i tam się budzi. Odczuwa głód, pragnienie, jada i popija. Może ma i parę żołądków?

— Czy pani lubi jeść?

— Ja zwróć! Zaraz wszystko zwróć! Oddam! — zabulgotała jej w ustach.

Zwrócić? Oddać? Które lepsze słowo? Oddaje się ducha, zwraca się jedzenie. Czyli wymiotuje. Po polsku ducha nie da się zwymiotować, można go wyzionąć albo oddać, jak coś pożyczonego czy skradzionego. Po francusku zwraca się tak duszę jak dług. *On rend*. Po jakimu właściwie teraz do niego mówiła? Krzyczała? *Je vais tout rendre*? Czy: ja wszystko zwróć? Płatała się w niuansach, jak na decydującym egzaminie, pośród rozpierchających się synonimów, rozpaczliwie szukając takiego słowa, w którym nie byłoby cienia dwuznaczności. Takiego, które by powstrzymało lancet chirurga.

Może nie słyszał, a już na pewno jej nie rozumiał. Słowa jak bańki powietrza pękały jej w ustach nieistotnym bełkotem. Musi istnieć jakiś inny język, uniwersalny, ostateczny, musi na niego wpaść, albo wynaleźć go, stworzyć. Nie miała sekundy do stracenia.

Leżała na stole operacyjnym, naga. Związał jej ręce i nogi. Jej brzuchem przebiegały konwulsyjne kurcze, strach trykał ją i kopał od środka, istny płód w przymusie porodu. — Ja wcale nie śpię! — to także chciała szybko powiedzieć — ja jeszcze nie jestem uspiona! Narkoza nie zadziałała! Uśpić znaczy zabić. Jeszcze nie była zabita. To powinno być dla niego jasne, oczy miała wytrzeszczone, płaszące, w braku słów usiłowała bronić się spojrzeniem, oko w oko zahaczyć wzrok chirurga. Cóż kiedy jego oczy, podłużne szparki źrenic, były śliskie i w uwadze swojej zimne jak oczy zaskrońca. Czyżby naprawdę miał zamiar krajać ją na żywca? Dlaczego? I po co? Woreczek z biżuterią i tak podchodził jej do gardła, pomylił się i chce się rodzić usta-

mi. Po co więc rozpruwać pusty brzuch? Niczego nie zdążyła strawić i zaraz wszystko zwróci. Odda co do joty. Co do łańcuszka, co do bransoletki.

Już zwracała. Zimne węże wyslizgiwały się z jej ust, oślinione i zakrwawione, pociągając za sobą wnętrzności jak u pszczoły kiedy użądli, jak u patroszonej ryby i rozpełzały się po kątach sali operacyjnej. I ona rozpełzała się za nimi, ukrywała, wymykała sama z siebie, cała lecz zwielokrotniona, każdy człon sam sobie, w panice że zaraz zostanie przyłapany, przydeptany, uwięziony. O co chodzi? O listy? O adresy? O nazwiska? Ona mu to wszystko sama powie. Wysypie. Wyda. Po co krajać?

No tak, woreczek. Niestety, woreczek strawiła. Przepadło. Stała się woreczkiem, przepeconym, poplamionym, znoszonym. Pustym. Przecież on to widzi. Po co ją rozpruwać? Jak go zapewnić, w jakim języku, że w niej, w środku, nie ma już niczego co by można dodać, oddać, zwrócić, zwymiotować. Odebrać. Nawet ducha nie ma, którego by mogła wyzionąć. Jej duch, czy dusza, jak rtęć ze stłuczonego termometru porozpryskiwał się wokoło, zwielokrotnił. W każdej rtęciowej kulce siedzi cały, każda jest osobnym światem. Poukrywana w kątach pulsującej, mleczej drogi, w całkowitym rozprężeniu fizjologicznym, w apokaliptycznej decentralizacji, widziała z dołu, z góry, z zewnątrz i z wewnątrz, ze wszystkich stron naraz, nie w trój- a w wielowymiarowości siebie, ten odwłok, do którego bezpieczniej było nie wracać. Cudzy, pusty woreczek. Oczy chirurga nad tym, nad nią zawieszane, przypominające jej kogoś oczy. Kalkulowały fachowo, jakim cięciem najskuteczniej ją wypatroszyć. Z czego? Co on spodziewa się znaleźć w jej brzuchu? Była dla niego polem obserwacyjnym, obserwująca i obserwowana, była miejscem na cięcie i na ból, na linię ostatecznego podziału. Była strachem. Absurd, krajać strach. Wszystko już oddała, wydała, zwróciła, właśnie ze strachu przed cięciem. I zaraz usnie. Naragoza powinna zadziałać.

Patrzyła w widzące ją oczy, po francusku to się nazywa *fixer*, ale fiksować znaczy szaleć, wulgarnie fiksowała ze strachu. Starała się spojrzeniem odwlec to, co zaboli, hipnotyzowała hipnotyzera. Kulki rtęci dygotały, chrzęściły metalicznie, w każdej dygotała osobno, związana i rozkładająca się w łańcuchowej reakcji chemicznego i fizycznego rozkładu. Fiksowała fiksujące ją skalpele oczu eksperymentatora.

I wreszcie, bardzo powoli, z wielości, z wielokrotności, powstawał jeden obraz, koordynował się, precyzował jak w fotograficznej kąpieli i do tych oczu dokomponowywała się twarz, zna-

joma. Jej własna. Minęły wieki nim zrozumiała do końca, że oto sama na siebie patrzy z lustrem nad umywalnią, której brzegu uczepiła się zbielełymi z wysiłku palcami. Klamka drzwi zakolała.

— Zaraz zwróćę — powiedziała. A może: zaraz wróćę. Bez sensu. Na cały głos i po polsku. To pewne. Zaś z drugiej strony drzwi ktoś równie głośno i bez sensu odkrzyknął: Nic nie szkodzi. *Cela ne fait rien!*

Oczywiście, żadnych złotych węzów ani rtęciowych kulek nie było do zbierania po kątach. Metaliczny chrzęst, to po prostu bransoletka. Zameczek puścił i zsunęła się do muszli w małą, gorzką kałużę żółci. Bo zwrócić, naprawdę zwrócić.

Uporządkowała, poobmywała wszystko, zapięła zameczek bransoletki. Nie była w stanie się śpieszyć. Do drzwi dobijał się zapewne któryś z biesiadników w czarnym garniturze. Skoro nic nie szkodzi, niech poczeka. Po takiej wstawce sennej nie mogła od razu, niepozbita, pokazywać się ludziom na oczy.

Popiła wody. To był błąd. Woda tutaj była nie do picia, smakowała stęchłą deszczówką, wadliwą kanalizacją. Zrobiło jej się niedobrze, tym razem na jawie. Czarna gałąź nie przestawała dobijać się do okna. Nic nie szkodzi. Poczeka.

Cóż za narkoleptyczny wtętu, nie do strawienia, nie do przetłumaczenia na żadne języki. Nawet na żadne zmysły. Smak oddanej żółci był smakiem oddanego życia. Ducha. Przeżyła własne rozbicie. Swój rozkład. To musi mniej więcej tak wyglądać, gdy sen przechodzi w śmierć, która rozkłada na czynniki pierwsze.

Już jej się takie rzeczy przydarzały, budziła się, scalała z powrotem, pamiętając własne rozprzeżenie. Więc powtórka. Nudno.

Z miękkością w kolanach, spocona, uporawszy się z zasuwką, wyszła wreszcie na korytarzyk. Pod ścianą faktycznie czekał odwrócony dyskretnie biesiadnik w czarnym garniturze i udawał, że głodzi po karku starego, śmierzącego psa.

## IX

— *O, Gott! Wie hässlich und bitter ist das Sterben...*

— Pani zna niemiecki?

— Dlaczego miałabym nie znać? Ja także mam swoje cytaty.

Miło, oddawać pięknym za nadobne. Odłamek Heinego, przy zbieraniu się z cząstek w toalecie skądś przypętany, automatycznie powtarzał jej się w głowie po drodze do jadalni, zmieniając

wersje. Jak oddać niemieckie *Sterben* po francusku? *Mourir*... Ale to raczej *être en train de*, być w trakcie umierania. A znowu *train* to pociąg. Czyli być w pociągu śmierci. Cały program, cały folklor wojenny przy okazji. Zaś po polsku bez problemu: O Boże, jakże wstrętne jest i gorzkie umieranie. To samo rozciągnięcie w czasie, o które, w jej wyczuciu, chodziło Heinemu, bo inaczej powiedziałby *Tod*. No, Francuzi mają agonię, ale to sprawa raczej fizjologiczna.

Polski wydał jej się jakoś bardziej pasujący do spraw ostatecznych, do czasu, do śmierci, do natury.

Błędem było zagajać rozmowę niemiecką ni stąd ni zowąd cytata. To dało blondynowi dalsze informacje o niej.

— Akcent pani po niemiecku wcale nie francuski. Jakiś, powiedziałbym... Europa środkowa? Wschodnia?

— To pan już nie matematyk? Językoznawca?

Trzeba było natychmiast obrócić to w żart. Heinego każdy ma prawo cytować, ale robić to z polskim akcentem, gafa. Skąd u niego takie wprawne ucho?

Zaraz jednak spłynęły na ich stół talerze z alweolami na ślimaki. *La mamma* w różowym fartuszkowi musiała czyhać na jej powrót. — *Spécialité de la maison* — zachwaliła cała w uśmiechach. Nareszcie wiadomo, czemu tu tak zalatuje czosnkiem. Ale cóż za kłopot z przyzwoitym jedzeniem dla kogoś kto właśnie wysiadł z pociągu śmierci. Szczypczyki nie chciały słuchać rąk z waty, chwycić jak należy muszelek z pływającym w tłustym sosie trupkiem. Blondyn gotów wydedukować, że ona pierwszy raz w życiu je ślimaki.

Od jednego zwycięstwa nad pryskającą skorupką do drugiego, rozmowa ich, jak w żydowskich dowcipach, składała się z jego pytań i jej odpowiedzi pytaniami: czemu nie? To było jednak odświeżające. Z ulgą usiadła z powrotem na krześle, które dla niej, wstawszy na jej widok, szarmancko odsunął. Nie każdy Francuz to robi. W jego twarzy, w jego sposobie bycia, było coś coraz bardziej swojskiego. I ta sala różowa, doczesna, romansowa. Uff! O żadnych operacjach na żywca mowy tutaj nie ma. Żeby tak jeszcze móc połknąć pigułkę i mieć spokój ze snami przynajmniej do deseru, do kawy.

Biesiadnik w czarnym garniturze powrócił z toalety psimi drzwiami i potknął się o stopień ich logii. Włosy miał mokre i wyraźnie dłonią ledwo przyglądzone, zapomniał pewno grzebyka, a musiał nie tylko myć ręce, ale i lać wodę na czuprynę, z której mu dymiło, jak parobkowi na weselu. Normalne, sądząc po ilości butelek przy ich stoliku. Skonfundowany wybąkał: *pardon* i

czknęło się biedakowi przy okazji. Rozbawieni, mrugnęli do siebie z blondynem w pozajęzykowej komitywie.

Kiedy więc, przy szamotaniu się ze szczypczykami od ślimaków zameczek jagodowej bransoletki znowu puścił, nie protestowała, gdy blondyn zaofiarował się, że pomoże ją zapiąć i bez namysłu wyciągnęła do niego rękę poprzez stół. Prawą rękę. Tę, na której od zawsze nosiła znak szczególny, nigdzie nie notowany. W rubryce „znaki szczególne” sam komisarz wypisał: *néant*. Nic.

To była zresztą mała, naprawdę nic nie znacząca gwiazdka na przegubie.

Zapinał i zapinał ten zameczek, nałożywszy przedtem okulary. A potem, rozważywszy jakieś za i przeciw, powiedział z nagłą decyzją. Po polsku:

— A więc Halina miała rację. Ty żyjesz. Ty jesteś ty.

No to cześć! Siedziała naprzeciw Andrzeja. On był on. Żywy. On ją wyciągnął ze snu za kołnierz. On łąził z nią po Wyspie. On ją przepytywał. Aż w końcu ją zidentyfikował. Jeszcze mogłaby utrzymać się w swej roli, udąć że nie rozumie, spytać: cóż to za nowa cytata? Co to za język? Pan poliglota? Odebrać mu rękę i wrócić do szczypczyków jak gdyby nigdy nic. Ale zaskoczenie było za wielkie. Przepadło. Bo w teje samej chwili i ona go rozpoznała, bielmo spadło jej z oczu. Nawet gdyby nie otworzył ust.

To był Andrzej. Tylko Andrzej trzymał tak jej rękę przegubem do góry i zapinał bransoletkę splecioną z małych koralików przez Halinę, prezent imieninowy. Okupacyjna moda. Zameczek też był okupacyjny, lichej i stale się odpinał. Andrzej zrobił z tego zabawę, zatykał za bransoletkę źdźbła trawy, śmiała się, bo to łaskotało. A potem coś mu strzeliło do głowy i szybko musnął wargami ów pieprzyk w kształcie gwiazdy.

Mógłby nic nie mówić, poznała go po dotyku. Po sposobie ujęcia dłoni. Po majstrowaniu przy zameczku. To było kiedyś dla niej wielkim przeżyciem. Od tego wtykania źdźbeł trawy za bransoletkę zaczęło się między nimi i właściwie na tym się skończyło.

Pierwsze przeżycia erotyczne, choćby tak niewinne, choćby najgłębiej zepchnięte w niepamięć, mają zdumiewającą siłę sprzężenia zwrotnego. Można zapomnieć osobę, czyli tak zwanego partnera. Skóra pamięta jego dotknięcie. Serce zabiło w niej to samo i tak samo jak wtedy, kiedy siedzieli na łące i Halina odeszła na chwilę po jakieś kaczeńce.

— Zabili mnie...

— Przecież żyjesz!

Halina, w bibliotece, poznała ją po spojrzeniu. Zaś Andrzej poznał ją po gwiazdce na przegubie. Oboje żyli. Więc ich nie zabiła.

— Ta karczma Rzym się nazywa — przerwał jej osłupienie blondyn. Czyli Andrzej.

— Ty żyjesz? — wybąkała głupio. — Przecież cię zabili...

— Mnie? Kto? Kiedy? Kto ci to powiedział?

Jak miał żyć, jak mieli go nie zabić, skoro go wydała. Jak ojca. Wtedy, zaraz za drzwiami, które się przed nią otwały na korytarzu szkoły, zamienionej na więzienie śledcze. Maszyna ustawiona na profesorskiej katedrze zanotowała skwapliwie pod jej pospieszne dyktando wszystko: imiona, nazwiska, adresy, co gdzie u kogo schowane. Jeszcze nie wykręcili papieru z wałka, a już jakaś buda zapaściła motor po tamtej stronie ośnieżonego płotka. Kaszlał, prychał, bo przemarzał. Ale w końcu ruszył. Pojechali po nich. Może ze znawcą Horacego, który się ucieszy, że tam też klasycy na nocnych szafkach? I z kolei do drzwi Haliny, do drzwi Andrzeja załomotały kolby karabinów.

A jednak żyją. Oprócz ojca. Żyją wszyscy troje. To jest Andrzej, a ponieważ to jest on, ona jest z powrotem ona. Sztuczne życie dziewczyny z lasu skończyło się w tym momencie, tak jakby komuś utrzymywanemu w letargu, powyrywać nagle rurki z żył.

— Halina ci powiedziała? Widujecie się?

Ją samą zadziwił podtekst tego pytania, zawarta w nim emocja. Skoro oni przeżyli oboje, z pewnością musieli się pobrać. Jakże inaczej? Z jej zniknięciem Andrzej nie musiał już wahać się, którą z nich woli. Poczula ukąszenie anachronicznej zazdrości i żal odtrącenia.

— No, tak często się nie widujemy. Od przypadku do przypadku. I właśnie spotkałem ją na ulicy. W Warszawie. Ledwo ją poznałem, strasznie się zmieniła. Wszyscyśmy się pozmieniali, ale ona... Z tobą też nie miałem całkowitej pewności, że to ty. Bo skąd, na Wyspie? Halina też nie była pewna. Tym bardziej, że asystowała przy uroczystym wmurowaniu tablicy na waszą z ojcem pamiątkę. Ja nie, nikt mnie nie zawiadomił, zresztą takie obrzędy nie dla mnie. Ale ona sentymentalna i pobożna, stale tam jeździ na Zaduszki i składa ci kwiaty. Nawet na msze za was daje. Co za komedia! Nie mogła tylko dojść, kto tę tablicę ufundował, ktoś z Francji. Starła się o wyjazd do Paryża i wreszcie dostała paszport pod jakimś naukowym preteks-



tem. No i masz! Dlaczego nie dałaś nigdy znaku życia? Czemu się ukrywasz? Po co ta tablica? A twój ojciec? Może też tu żyje?

— To bardzo skomplikowana sprawa. Ojciec naprawdę nie żyje. A ja? Sam widzisz. No, ale wy z Haliną, ale ty! Nie zabrali cię? Przeżyłeś? Wróciłeś?

— Moje dzieje kto wie czy nie bardziej skomplikowane od twoich. No, ale jak widzisz przeżyłem i, jeśli to można tak nazwać, wróciłem. Nie tak jak ty. Możemy się nawzajem szczypać dla sprawdzenia, że my nie upiory. Bo czy nie siedzą tu aby dwie zjawy udając, że im smakują ślimaki? Żeby nie twoja gwiazdka, to bym nie miał dowodu, że to naprawdę ty, choć z każdą chwilą moja pewność rosła. Mam nawet przy sobie twoją fotografię. Po spotkaniu z Haliną specjalnie ją wyszukałem żeby zabrać do Paryża. Bo wiesz jak to jest — pamiętałem niby jak wyglądałaś, ale nie widziałem tego, co pamiętałem. Pamięć teoretyzuje, upraszcza. O, popatrz!

I wyciągnął z luksusowego, krokodylowego portfelu starą, mizerną fotkę robioną przedwojennym kodaczkim. Ktoś ich pstryknął wtedy na łące, czyli że nie byli tam tylko we trójkę, był pewno ktoś czwarty z ich tajnego kompletu. Więc łąka w tle, szara, płaski, polski pejzaż, nieodzowna grusza w dali i one z Haliną siedzące jak która umiała najzgrabniej, podciągnawszy spódniczki by broń Boże nie pokazać kolan, a między nimi dwiema Andrzej, młody bóg, obejmujący je ramionami.

... Gdy zostanie tylko fotografia, to... — poddała na próbę.

— To... to jest bardzo mało... — podchwycił bezbłędnie Andrzej. — „Pocałunki”! Pamiętasz?

Przechodzili wtedy okres poetyczny, poetycki i tak na łące, która wcale nie była szara tylko ukraszona kaczęciami, jak na ulicach wzdłuż parku, na wszystkich ulicach ich małego miasta, wiosną, latem, jesienią aż po brutalnie przerwana zimę wciąż sobie coś recytowali. Andrzej wiedział najwięcej. To on pożycał im oprawne w płótno tomiki. To on im podsuwał „Kwiaty Zła”, najpierw w wersji francuskiej, a potem we własnym, genialnym jak uznały przekładzie, wobec którego nie liczyły się wszystkie zrobione poprzednio. Zanim je ktoś po wojnie z honorami wyda, wystukiwał je dla nich — każda miała swoją kopię z dedykacją — na maszynie, tej samej, na której przepisywane były komunikaty konspiracyjnej gazetki.

— A maszyny nie zabrali ci?

Spojrzał baraním wzrokiem. Pieprzyk pamiętał, „pocałunki” pamiętał, maszyna wyleciała mu z głowy.

— Co kto miał mi zabierać? Jaka maszyna?

— Nic, nic... Jestem oszołomiona. Kręci mi się w głowie. Przecież mu teraz nie powie, że go wydała. I Halinę. Skoro żyją.

Co za ulga! Spóźniona ulga. Gdyby mogła to wiedzieć, inaczej by żyła, inaczej by przeżyła. Inaczej by uciekała, z większym pośpiechem, mając do kogo wracać, pragnąc żyć. Więc może ją trafiłaby tamta kula... I kto inny by cesał panie na Wyspie?

— Aha, już wiem. Pytasz o moją maszynę do pisania. Tę z francuskimi czcionkami, co nam w polskich tekstach sprawiała tyle kłopotów? Owszem, zabrali ją. Ale ja, gdy tylko rozeszła się po mieście wiadomość o waszym aresztowaniu, uciekłem z domu. Halina też się gdzieś zataiła. Mojej matki jakoś nie było. No, upiekło się nam wszystkim. Prawie wszystkim. Szukali nas cały czas, wypytywali o nas przy różnych śledztwach. Ja z miejsca zmieniłem tożsamość. Wiesz, mieć lewe papiery nie było wtedy żadną sztuką. Halina? Chyba wyjechała na wieś. A ja z matką do Warszawy. Zdałem tę naszą przerwana maturę, a nawet zacząłem wyższe studia. Plus inne konspiracje. I tak do powstania. Po czym nie tyle wyjechałem, co... No, wyjechałem. Na wschód.

— Siedziałeś tam? Jak długo? Jak przeżyłeś? Opowiedz!

— Jak wszyscy. Banalna sprawa. Albo się przeżyło, albo nie. I koniec. Teraz twoja kolej. Bo ty niebanalnie! Zakonspirowana, jakby wciąż trwała wojna. Co to znaczy? Ale najpierw daj no tę bransoletkę. Znowu się odpina i maczasz ją w sosie.

Uchwycił jej rękę w przegubie, zsunął bransoletkę, nałożył okulary, majstrując przy zameczku ale też oglądając listki i jagody, jak ekspert mający orzec czy biżuteria jest sztuczna, czy prawdziwa oraz ile warta.

Muzyczka, która cały czas sęczyła się dyskretnie i niezobowiązująco nie wiadomo skąd, nagle przemówiła znajomą melodią. Przedwojenne alto zanuciło: *quand refleurront les lilas blancs*. Andrzejowi musiało to też powrócić bo zamruczał porozumiewawczo: kiedy znów zakwitną białe bzy, gdy ona, w tym samym czasie: *wenn die weissen Flieder wiederblühn*.

— Co ty z tym niemieckim? Do tego stopnia obóz cię napiętnował? No, to musiało być straszne. Gdzie byłaś? Oświęcim? Ravensbrück? Ale i stamtąd ludzie pisywali. Czemu nie dałaś nigdy znaku życia? I dlaczego udajesz Francuzkę?

Ravensbrück, Oświęcim... Wymienił te nazwy, jak by to były kurorty, z których rozsyła się widokówki z pozdrowieniami. Białe bzy już pozostaną dla niej *weisse Flieder*, trudno. Wyście-

wywały to i więźniarki w barakach i esesmani, także ci z plutonu egzekucyjnego, wróciwszy z akcji po drugiej stronie muru. To rozładowywało.

— Nie udaję. Jestem Francuzką. Bardzo cię proszę, nie wtrącaj się. Nie psuj mi tego. To sprawa życia i śmierci.

— No, no... Aż tak?

W oku Andrzeja błysło coś zimnego, chirurgicznie. Jakby nagle dogrzebał się w niej czegoś, o co mu chodziło. Ale zaraz zatarł to uśmiechem i dalej majstrował przy bransoletce, wtórując mrużąc francuskiej wersji piosenki. Ta melodia, jego dłoń ujmująca jej rękę w przegubie, fotografia która została choć to jest bardzo mało, wszystko razem spotęgowało u niej zawrót głowy, znowu, sygnał sejsmologiczny, jak gdy wulkaniczna wyspa drga, bo coś ją wypycha spod wody. O Boże, nie daj żebym znowu wpadła tu w sen, a jeśli nie da się tego uniknąć, to żeby nie taki, jak przed chwilą, w ubikacji. I niech tego Andrzej nie zauważy. Często ludzie nie zauważali... Co on się tak grzebie przy tym zapinaniu? Liczy złote listki, jagody, wycenia? No, nareszcie! Będzie mogła podeprzeć się łokciami, ukryć twarz w dłoniach, na wypadek gdyby...

Ale, zanim zwrócił jej rękę, musnął wargami znamię w kształcie gwiazdy. Nie romantycznie, raczej żartobliwie, sam siebie jakby cytując. Więc i on zapamiętał scenę z łąki...

To było uruchomieniem przekładni. Zsunęła się bez ratunku.

Był wieczór. Szła z Wyspy na prawy brzeg i znalazła się na bardzo złej ulicy, ciasno zastawionej brudnymi kamieniczkami. Ulica była zła i ludzie snuli się po niej źli, ludzie nie ludzie, hybrydy, świnioludzie, psioludzie, pająkoludzie. Bosch. Ona jedna miała świadomość swego człowieczeństwa i swojej kobiecości. Szła naga. W strachu i w upokorzeniu człowieczeństwem swej nagości. Bezbronna i wyzywająca. Opluty asfalt lepił się do jej stóp.

Zahaczały o nią spojrzenia, była przez te wszystkie wielorakie oczy pożądana i posiadana. To wprawiało ją w obrzydliwe podniecenie. Brzydziła się i pragnęła. Wyczekiwała który pierwszy dotknie ją i weźmie. Wtedy nastąpi wykonanie wyroku. Śmierć. Czyli uwolnienie.

Śmierdzieli i ona śmierdziła potem kopulacji, starą spermą, rozkładem. W oknach siedziały wymalowane, wyfiokowane potwory, czyniąc do niej porozumiewawcze, obsceniczne gesty ponad doniczkami fuksji i pelargonii.

Wiedziała jedno: z góry na wszystko się godzi i wszystkiego

pożąda, ale o jedno będzie walczyła zębami, pazurami. O przegub prawej dłoni i o bransoletkę. Tego niech nikt nie waży się dotknąć, bo wtedy... Nie wiedziała, co wtedy. Jakaś najgorsza apokalipsa. Która nastąpiłaby z jej winy.

— Cóż ty mi tak rękę wyrywasz — odezwał się głos blondyna znad rzeki, wciąż na tej ulicy, jakby przez megafon. I kołnierz. Uff! Znowu ją wyciągnął za kołnierz z gdzie indziej. Andrzej. To on. Siedziała naprzeciw niego przy stole nakrytym różowym obrusem, wcale nie naga, w najlepszej sukience.

Zauważył coś? Jak długo trwała wkładka? Co jest z tą nową kuracją? Niby pora na następną dawkę minęła z godzinę temu, ale żeby aż taka seria tak paskudnych wcieleń? Nie mógłby to wrócić przerwany koncert w obszernym salonie?

— Zostaw. Już zapięte. A tego psa niech ona gdzieś przymknie na dobre!

Bo znowu do ich stolika przylazł stary pies, przemknąwszy się nie wiadomo którymi drzwiami.

— Nie lubisz psów? On tak pocziwie wygląda, popatrz, łąsi się do ciebie.

— Ale jemu strasznie cuchnie z pyska.

— Tak? Nie zauważyłem. Zaraz powiem patronce.

Zabrali się do ślimaków, które dawno wystygły. Fotografia leżała przy jej nakryciu. Zerkała to na Andrzeja z łąki, to na swoje obecne *vis-à-vis*.

Jak mogła nie poznać go od razu? Zaraz nad rzeką, a w każdym razie przy kawie. Twarz ta sama. No, zmężniał i wyszlachetniał, trochę był z niego dawniej zbyt różowy cherubin. I nie posiwiiał, jak Halina. Ma wyższe czoło, już nie taką awantazowną czuprynę blond. Ale ten sam sposób bycia, pewność siebie, władcze gesty, i ta sama chęć imponowania, choćby cytatami.

Jakiś magnes musiał zadziałać. Do zwykłego blondyna tak by się przecież nie przysiadła, nie przyjmowała zaproszeń. Dawniej, tak, nie takie przygody jej się zdarzały, ale teraz... A gdy powiedział jej, że się urodził na Wyspie, że jego rodzice wiele podróżowali, że... No, masę znaków, jakaś skojarzeniowa lampka powinna była jednak się zapalić.

Dla niej i dla Haliny Andrzej był wtedy kimś w rodzaju Marsjanina, a planetą, z której zjawił się w małym, prowincjonalnym mieście był Paryż, była Wyspa. Wojna głupio zaskoczyła go z rodzicami w Polsce. Z jakichś rodzinnych powodów, dla jakiejś chorej ciotki, dopilnowania testamentu pozwolili granić się przytrzasnąć. Po francusku mówił jak mademoiselle Fabienne i gdyby ich można było porównać, kto wie czy by nie

okazał się bardziej francuskim Francuzem. A już na pewno większym Paryżaninem. Żadna dla niego sztuka, tłumaczyć *ad hoc* Baudelaire'a, bliższego mu niż jej krajana, bo także mieszkał na Wyspie, prawie w tym samym domu. I już wtedy obiecywał jej i Halinie, że niech tylko wojna się skończy, pojedą razem, pokaże im Paryż, nie taki jak w szkolnym podręczniku. Zaczynając od wyspy świętego Ludwika, od domu w którym się urodził i mieszkał za paru nawrotami, od pałacu Lambert, w którym bywali z rodzicami prawie jak za czasów Chopina. Różne gwiazdki z nieba im obiecywał, na po wojnie, na po zimie. Jak nie na tę, to z pewnością na przyszłą wiosnę.

— A co z twoimi rodzicami?

Zachmurzył się. Co ma być? Ojciec, nawet gdyby przeżył, to by już nie żył do tej pory. Zaś matka? Żyje.

Ojciec Andrzeja, trochę przemysłowiec, trochę dyplomata, był z gatunku „uroczych starszych panów”, nie onieśmiały, choć na piedestale. Za to jego matka! Obie z Haliną bały się jej, paraliżowała je. Nazywały ją między sobą: mama A. Gdy wypadła kolej na tajne lekcje w mieszkaniu, które rodzice Andrzeja wynajęli zdecydowawszy przezimować tutaj wojnę, zwyczajne mieszkanie, żadne pałace Lambert, obie przemieniały się w myszki niezgrabne, prowincjonalne, przepaszające, że żyją. Ostry wzrok mamy A z punktu je dyskwalifikował, od ubrania po maniery. Nie popierała ich komitywy z Andrzejem, zła na okupacyjne przypadki, które włączyły jej syna do tak społecznie nieodpowiedniej maturalnej grupki. To nie było towarzystwo dla niego, a cóż dopiero gdyby... Projektowała dla niego inne koligacje, tymczasowo nieosiągalne.

Ich przyjaźń zesłała więc w podziemie, mama A nie śmiała wiedzieć o spacerach wzdłuż parku, a cóż dopiero o wypadach na łąki. Andrzej wyklamywał się ze sprytem uwielbianego jedynaka.

Teraz dopiero zdała sobie sprawę dlaczego tak nie lubi doktorowej. Nie tylko z powodu doktora i kaprysów przy czesaniu. Mama A była tego samego gatunku przystojną i wypiełgnowaną blondynką z pretensjami. Nosiła futra, kochała biżuterię. Miała dłonie w plamy. Gdzieś to musiało zakodować się pod spodem pamięci.

Spód pamięci? Raczej grząskie jej bagno, wchłaniające wszystko z łakomą inercją. Miała kiedyś taki wtręt senny, nie obrzydliwie erotyczny, jak przed chwilą, lecz obrzydliwie bio- czy fizjologiczny. Nagle znalazła się we własnym mózgu, pośród jego pulsujących komórek. Nie szarych, ale czerwonych. Ten świat

był cały czerwony. Tkwiła więc w krwawym środku własnej głowy i spośród rojących się żyłatek usiłowała wyłowić jedno, na którym strasznie jej zależało. Ale nie była w stanie go rozpoznać. Roiło się toto i pływało rojem kijanek, skakało chmarą opitych pcheł, znaczyło to czy tamto, ale nie To. Ona zaś była unieruchomiana, niedołączna, zesklerociała. Musiała jednak któreś z tych pchło-kijankowych żyłatek zidentyfikować, przychwycić, brzydząc się i bojąc, coś z tym zrobić pilnego, ważnego, trudnego, co ją przerastało.

Poza wstrętem, była w tym śnie gorsza od niego bezradność, nieudolność, gmerła się, pojękiwała jak się okazało na głos, bo gdy nareszcie wydostała się jakoś z bagna swej głowy i odnalazła samą siebie usadzoną troskliwie na krześle przez szefa za parawanem, było wkoło niej ogólne zaniepokojenie, czy nie chora, czy nie powinna by sobie zmierzyć gorączki? Bo akurat szalała jakaś dziwna, groźna grypa. Nie, nie, nic jej nie było, ani kreski za dużo na termometrze przyniesionym z góry przez szefa, ale bezwład i nieudolność przemyciły się z tamtego na ten brzeg jawy i spaskudziła w czasie tego nokturnu parę ważnych fryzur.

Z pamięcią jest coś takiego, dobrą czy złą, wolną czy cenzurowaną. Ona łyka i zatapia w sobie wszystko. A cóż za wysiłek wyłowić z niej coś jednego, małego, coś z czymś drugim splecionego w mikrokopulacji, wbrew logice, wbrew naturze, żeby to coś w projekcji, w powiększeniu tak niepomierne jak obraz mikroba rzucony na galaktyczny ekran udowodniło, prostując i kurcząc swe macki, że istnieje, jest żywe. Cały czas żyje podbagiennym życiem.

To się nazywa wspominać. Bez mikroskopu, bez teleskopu, cóż oko? Czasem wystarczą okulary, albo lupa sklecona własnym przemysłem, żeby się zdumieć jak roi się w kropli czystej, czyli pustej wody. W najtwardszym metalu też mnożą się i roją mikroby atomów, zębate, szponiaste, żeńskie i męskie, odpychające się i ciężące ku sobie, w nieustannym obrocie, tańcu, zjadaniu się i zwracaniu, ujarzmianiu i wyzwalanu. W wojnie. W umieraniu i w rezurekcji.

Tak się złożyło, że dzisiaj oboje z Andrzejem równocześnie wyłowili każde ze swojego bagna to, co kiedyś niejednakowo dzielili: łąkę kaczeńców, koralikową bransoletkę, znamię w kształcie gwiazdy. Muśnięcie, zapamiętane przez jego wargi, jej naskórek.

To była przyczyna, dla której nikomu nie pozwoliła dotknąć swego przegubu. Do nikogo nie odwracała dłoni w ten sposób,

by mógł dostrzec znamię. Nikomu nie dała okazji, by jej pomagał w zapięciu bransoletki. Mademoiselle Marie mogła przeprować się z Wyspy na prawy czy lewy brzeg, mieć takie czy inne przygody w dobrych czy złych dzielnicach. Przytrafiały jej się rzeczy, na które nie każdy by się zgodził. Wychodziła z nich nietknięta, ponieważ znamię było pod ochroną. Nie pamiętała dlaczego. To się stało instynktem, fobią. Tabu.

Sen przesadził. Sny lubią przesadzać, nie znają miary w powiększaniu. Wszystko przez brak pigułek. Przez starego psa. Przez ślimaki w zbyt tłustym czosnkowym sosie. I przez jelitowe zapaszki oberży. Ale fakt, że sama o tym nie wiedząc, cały czas była wierna komuś, kto okazał się tym oto blondynem, który właśnie otarł sobie usta krochmaloną infułą. Po czym wyciągnął w jej stronę kieliszek pełen wina i powiedział: Nasze zdrowie! Tak niezwykle odnaleziny należy oblać. Zamówimy szampana? Czy lubisz szampan? Raz się żyje!

## X

— Więc jak to jest z tobą? Właściwie żyjesz tutaj na fałszywych papierach?

Oczy Andrzeja, zwężone uwagą, przeszyły ją na wylot.

Pokoik na piętrze był jak wszystkie tego rodzaju pokoje. Szerokie łóżko, na nim dość wątpliwa kapa, za przepierzeniem umywalnia i nieodzowny bidet.

Stało się coś dziwnego. Jeszcze jedno przekręcenie wszystkiego, więcej, przełamanie. Po butelce szampana, który piła, no bo zamówił, tylko pozornie pytając jej o zdanie, no i bo nalegał, choć wiedziała że ból głowy murowany, weszła za nim na pięterko. Nie w żadnych zamiarach, po prostu żeby móc spokojnie porozmawiać. Obiad skończyli za szybko. Rozmowa przy stole, to był sam szczyt góry lodowej, sam czubek przeszłości. Pragnęła wiedzieć kim on jest, co z nim czas zrobił. Co przeżył, gdy go wywieźli, i jak? Co tymczasem Halina? Co myśli o wydarzeniach obecnych, dla niej tak nie całkiem zrozumiałych, przeżywanych na oko z gazet, na ucho z radia. Napomknął, że dopiero co był w Warszawie. Jak udało mu się wyjechać? Prywatnie, czy oficjalnie? Skoro Halina tyle lat o to musiała się starać...

Przez sam fakt, że go spotkała, że od przeszło godziny mówiła po polsku, że to szło jej coraz łatwiej, wszystko pomiędzy uciecz-

ką z transportu a zapinaniem bransoletki stało się tymczasowe. Jak by prosto z lasu wróciła do siebie, nie zważając o Royan.

Nie miała żadnych oporów, by wejść na górę. Andrzej nie będzie przecież rzucał się na nią, jak jakiś komisarz. Samochód mieli mu podstawić dopiero pod wieczór. Na spacer po lesie było za zimno.

Póki siedzieli przy stole, było dobrze. Coraz lepiej. Rozluźniła się, przestała nasłuchiwać czajenia się narkolepsji. Powiedziała nawet w pewnym momencie: ty wracasz w oczach do siebie. Gdybym cię zobaczył w środę taką roześmianą, nie musiałbym sprawdzać, czy masz gwiazdkę na przegubie. Musisz się częściej śmiać.

Śmieli się z byle czego, jak para sztubaków, którą kiedyś byli. Choćby ze spadkobierców, u których wino wywoływało wręcz przeciwne reakcje. Pośępniali, sztywnieli, a przy szampanie, bo oni także zamówili szampana, któreś musiało palnąć coś takiego, że się pożarli i o mało nie doszło do rękoczynów. Rozpadli się na dwa wrogie obozy, każdy z czarnych garniturów wziął stronę swojej sukni z dekoltem, pokrzykiwali coś wulgarnie, podrywali się, przysiadali z powrotem, to podjudzani, to ciągnięci za poły przez połowice. Wreszcie zażądali oddzielnych rachunków, każdy wyciągnął z furią swój portfel z kieszeni i wyszli osobno. Jedna para przeczekwała drugą, wściekle mnąc infuły. Widać przyjechali tutaj we dwa samochody. O żadnym wstępowaniu na pięterko nie było mowy.

Salka jadalniana zaludniła się, zatłoczyła, wolna strefa wokół ich łoży przestała istnieć. Gwar pokrył muzykę, nikt by już nie rozpoznał białych bzów. Pies znikł, może gdzieś na dobre przymknięty, a może bo starcy nie lubią hałasu, zwłaszcza gdy są głusi.

— Co ty z tymi papierami? Czysta formalność. Grunt że żyjemy. Że ty żyjesz. Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy! Bo gdybyście nie żyli, ty i Halina, to przeze mnie. Jakbym ja was zabiła. Cały czas byłam pewna, że nikt nie żyje. Bo... Bo na śledztwie wyszło, że maszyna jest u ciebie. I broń. Gdzie i jak schowana. I co u Haliny. No, wszystko.

— A złoto?

— Jakie złoto?

Nie pamiętała. Tak jak on przedtem nie pamiętał o swojej maszynie z charakterystycznymi, francuskimi czcionkami, które sprawiały, że tajne komunikaty roily się od błędów i miały ręcznie dopisywane ogonki.



— Jak to, jakie złoto? Złoto z banku. To, któreście gdzieś z ojcem zakopali. Co się z tym stało?

— Prawda, złoto! O złocie nic jakoś nie wiedzieli. W ogóle o żadne złoto nie pytali. Chodziło im o broń, o plany powstania, o nazwiska. I o maszynę. O powielacz.

— Więc jak z tym złotem? Gdzie jest?

— Jak to? Ojciec ci nie pokazał gdzieśmy je zakopali?

— Nie. Jakoś nie. Powiedział mi tylko, że ty wiesz. Żeście to razem zrobili. Co się z tym dzieje?

— A czy ja wiem? Gdzieś to tam leży w lesie. Żebyś mnie zabił, nie pamiętam. Ojciec odliczał kroki, któraś sosna, w którymś rzędzie. Kazał mi zapisać w pamięci. Nigdzie indziej, na żadnym papierku. Ale wiesz, jak z moją pamięcią do liczb. Więc ja to sobie po kryjomu zapisałam gdzieś na wszelki wypadek. Tak, już wiem, zapisałam to sobie na czterdziestej czwartej stronie, bo imię jego czterdzieści i cztery, więc to nie całkiem liczba. Tak, na czterdziestej czwartej stronie mojego Horacego. Pamiętasz? Że to niby chodzi o jakiś werset. Ale Horacego zabrali przy rewizji. Chyba zabrali, spodobał się, stare wydanie. Z biblioteki ojca. No więc zabij, nie pamiętam. Nawet tego lasu nie pamiętam. Któryś z lasków, niedaleko nas, przy podmiejskiej szosie. Robiliśmy to zresztą o zmierzchu, co mówię, po nocy, po godzinie policyjnej. Najadłam się strachu. Ale co tam złoto, ktoś to z pewnością do tej pory wykopał, jakiś buldożer. Mógł nawet nie zauważyć. Skoro, jak mówisz nasze miasto tak się rozrosło i żadnych łąk, żadnych lasków w pobliżu, tylko nowe osiedla...

Nie wierzył. Wyraźnie jej nie wierzył. Zmieniał temat, kłuczył, ale stale nawracał do złota. I patrzył tak... chirurgicznie. Jak tamci, przy maszynie do pisania na szkolnej katedrze. Też jej nie wierzyli, choć na każde pytanie, nawet bez pytania recytowała szybko, coraz szybciej, wszystko co wiedziała, co pamiętała. Nic nie pomogło. Zanim wykręcili papier z wałka, parę razy wyprowadzali ją do sąsiedniej sali gimnastycznej, gdzie...

Dla odświeżenia pamięci, dla złamania oporów. Co było zbyt ciężką operacją. Gdyby wtedy zapytali ją o zakopany skarb, i to też powiedziała by bez tortur. Wtedy pamiętała, a i Horacy ze stroną czterdzieści i cztery był pod ręką. Czy sosna była czterdziesta i czwarta, czy rząd? Może na odwrót? Przypomniaby sobie z samego strachu. Nawet by ich tam chętnie zaprowadziła. Wtedy by trafiła. Gotowa by była pomagać im to złoto wykopywać spod śniegu i lodu. Nie byłaby to najgorsza rzecz, którą by wtedy zrobiła.

Szkoda. Może by od razu, przy okazji, nad tym dołem zabili ją i zakopali na miejsce martwego złota, o które Andrzej tak idiotycznie teraz się troszczy. Byłby spokój. Ale oni nie wiedzieli o tym, a ona zapomniała, że wie.

— No, no... Ładną masz biżuterię. Choćby ta bransoletka. Majątek...

Komplement zabrzmiał dziwnie, trzy kropki zawisły w powietrzu. Nie chciała się nad tym zastanawiać. Syn mamy A interesuje się świecidełkami, normalne.

— Co tam złoto, Andrzej. Jeśli już mamy odgrzebywać stare dzieje, powiedz mi nareszcie coś konkretnego o sobie. Mówisz, że skończyłeś studia. Matematykę? Co robisz? Jakie interesy? Można teraz robić interesy w Warszawie?

Przyszłość Andrzeja, windowana ambitnymi planami mamy A, nagłym przytrzaśnięciem przez wojnę wstrzymana w biegu, zapowiadała się fantastycznie. Urodził się i częściowo wychował za granicą. Znał masę języków. Maniery miał aż za dobre. W projekcie były Sorbona i Cambridge. Tymczasem tajne komplety na nędznej prowincji, żeby nie tracił czasu. Tajne matury może będą stanowić pewną rekomendację po wojnie? Mama A wołała Cambridge, on wołał Paryż. Póki co, nie kłócił się o to, i tak wiedział, że postawi na swoim. Był ambitny, ale i sentymentalny. Poeta. Więc Wyspa, więc Baudelaire. O matematyce nie było mowy.

A one? O Paryżu wiedziały tyle co z „Lalki” albo z „Urody życia”. Nad morzem, i to nad zwykłym Bałtykiem, nie na żadnym Lazurowym Brzegu, były raptem raz, w przedwojenne lato, na obozie Przystosowania Wojskowego Kobiet. Baudelaire’a nie było w programie, mademoiselle Fabienne też go pominęła, nie był w jej stylu. Jak miały nie podkochać się w Andrzeju?

Wojskowo były za to lepiej przystosobione. Maria zdobyła tuż przed wojną brązowy medal strzelecki. Strzelała jak stary legun, co było najwyższą pochwałą w ustach ojca. Pękał z dumy, gdy mu przyniosła tekturkę ze zbitką śladów kul w centrum tarczy.

— Powinnaś była dostać srebrny. No, musi być jakaś kolejność. Na przyszły rok...

Na przyszły rok Przystosowanie Wojskowe przydało się do konspiracyjnego rozmontowywania i oliwienia broni nim się ją zakopie. Tego Andrzej nie potrafił.

Miała wtedy świetny wzrok, pewną dłoń. Nie wiedziała, co to zawroty głowy. Lubiła strzelnicę. Leżąc i przymrużając oko, czuła miłą satysfakcję, gdy muszka zestrajała się z celem i gdy

za pociągnięciem cyngla kula trafiała bez pudła. Był z tym związany zapach prochu, a także komenda instruktora: pal!

Czyli: *Feu! Feuer!*

Z żadną wojną to się nie kojarzyło, ani ze śmiercią czy zabijaniem. Z polowaniem też nie. To było sportowe, majówkowe, dziś by się powiedziało *week-end*'owe. Szkolne, coś jak strojenie piknikowych stołów „Zanetek” w Fontainebleau. Rywalizowały. Po ćwiczeniach porównywały swoje tarcze. Wyniki Haliny były żałosne, strzelała Panu Bogu w okno, Pan Bóg znosił to cierpliwie z ćwiczebnego nieba i zdawał się tolerować ich niezbyt patriotyczne ani wojskowe podejście do Przysposobienia. Nie zdradzała przed ojcem, jak sobie kpią z instruktora, jego kaprałskich komend i ukradkowego przy tym zerkania na panięskie nogi. Zaś Pan Bóg był bardzo zajęty. Przysposobił wojnę. To on był prawdziwym komendantem, instruktorem, już zerkał na wieczny zegarek na swej ręce kiedy ma wypowiedzieć: pal! *Feuer! Feu!*

— *Feuer!* — usłyszała przez okno. Ledwo świtało. Śnieg był niebieski, niebo szare. Salwa wstrząsnęła szkołą śledczą. Zapachniało prochem. Ktoś coś krzyknął. Niech żyje Polska? Coś takiego. Bo przecież już nie: Przeżyjemy... Powrócimy...

Ze sztachet szkolnego ogródka czapy śniegu zaczęły się zsuwać z halucynacyjną powolnością. Wróbel frunął. Wtedy dopiero pojęła po co ludzie uczą ludzi strzelać.

Gdy wartownik pod kolejowym barakiem podniósł karabin popolicie wojskowym gestem, w śledzącej go zza skały obudziła się niecierpliwa pogarda. Cóż on tak długo celuje? Do tak bliskiego celu? Jak go jego instruktorzy przysposabiali? Ona by szybciej z tym się załatwiła, no i skuteczniej trafiła. W sam środek tarczy, w plecy, żeby serce. Albo jeszcze lepiej w głowę. I spokój. Satisfakcja. A ta dziewczyna nie musiałaby potem tak mozolnie kończyć sfuszerowanej roboty.

Od tamtych pór zapach prochu podszedł innymi realiami. Nawet czternastolipcowe fajerwerki i petardy budziły w niej mdłości. O paryskiej małej rewolucji szkoda mówić. Prawie całą przesiedziała u siebie za kratami, bo choć szef z prowokacyjną dumą prawicowca i prowincjusza trzymał zakład otwarty nie było po co tam chodzić, elektryczność mogła być odcięta w połowie łada głowy, a i klientki jakby zastrajkowały.

Kwitła właśnie japońska wiśnia — czy czereśnia? — i przez okienko widać było jej szampańską różowość. Mostami przeciągały manifestacje. Za, albo przeciw. Wydawało się, że antagonistyczne slogany wyrzukuje i dla jednych i dla drugich przez

tubę czy przez megafon ten sam instruktor, tyle że coraz bardziej ochrypli. Mury domu, rozbrojone, przepuszczały odgłosy strzelaniny z sąsiednich barykad. No, tylko granaty łzawiące. Tutejsi Andrzej i tutejsze Haliny, w gimnastycznych wdziankach i pantoflach, w których łatwiej było w razie czego nawiewać, bawili się lepiej niż oni.

Szef ani razu nie wybrał się „do Paryża”. Obliczał, ile dni nie traci, zastanawiał się, kto będzie płacił za te wszystkie popalone samochody i powyrywane bruki. Oczywiście on, podatnik. Jak nie być zde gustowanym reakcjonistą? A poza tym był najpierw wyspiarzem, potem Paryżaninem, Francuzem na samym końcu. Wszystkie te uwagi odbywały się „na stronie”, przy zamkniętej kurtynie, dla wybranych i zaufanych uszu przeznaczone. Nawet żarcików sobie wzbraniał, czesząc rzadkie rewolucjonistki, burżuazyjnie lewicowe, same Louise Michel, same Marsylianki, o niestety połamanych przy wyrywaniu kostek bruku paznokciach. Ale to odrasta.

— Widziała pani, — gderał do Marii za parawanem. — Przychodziło toto w kreacjach od Cardina, a teraz w brudnych dżinsach i tenisówkach. Ale włosów sobie same pod kranem umyć nie potrafią. Ręczę, że te sukienki kazały bonom starannie powiesić w szafie. Jeszcze je w nich zobaczymy. Chyba że wyjdą z mody...

Co sprawdziło się bardzo szybko. Jak wszyscy mieszkańcy wysp miał w sobie mądrość i doświadczenie patrzących na kontynenty z drugiej strony wody.

Maria przechodziła wtedy ostry najazd narkoleptycznych światów, tak że szef wytelefonowywał ją z czystej nudy, bo i tak większość rewolucji przesiedziała za parawanem. Były to światy zupełnie już zza świata, jakby nie tylko Marsjanie ale i bardziej odlegli sąsiedzi z Mlecznej Drogi urządzili sobie zjazd gwiazdzisty na jej rozbrojonej wyspie. Nawet to lubiła. Lubiła być raz tu, raz tam, nie wiadomo jak i kim, zygzakami. Na przykład leżała sobie spokojnie w łóżku i patrzyła poprzez kraty okienka na ową czeresnię czy wiśnię, w każdym razie japońską. I nagle zmiana pleneru. Jest w górach, górkach raczej, na obozie. Roluja koce. Cała sztuka, w sekundę zrolować koc, przepisowo, i przytwierdzić go, też przepisowo a nie fantazyjnie, do plecaka. Po drugiej stronie góry czy rzeki śpi nieprzyjaciel. Rodzaj smoka. Mają tam podpełznąć w pełni rynsztunku i zaskoczyć go. Losy świata od nich zależą. Ale to on jest górą. On jest rzeką. Pełzną po nim i płyną, raczkują, jak mrówki, jak żaby po Guliwerze. Główny aspekt tej sennej jawy: uczucie mikroskopijności w po-

równaniu z monumentalnością nieprzyjaciela, który śpi, którego jest się jakby zbuntowanymi pasożytami. Coś jak gdyby wszy robiły podchody.

Albo jest nagle nad morzem. Sama. Idzie boso, buty niesie w rękę. Trepy właściwie, drewniaki. Czuje pod stopami gorący piach, miły, trochę łechcący. I nagle coś twardego. Kamień? Schyla się. A to jest bransoletka. Podnosi ją, otrząsa z piachu, wszystko to nie realistyczne tylko realne, zakłada ją, nie można bardziej zakładać na rękę bransoletki. Wokoło wydmy porośłe karłowatymi sosnami, wiatr przenosi tumany pyłu aż do zaćmienia słońca. Pachnie morską solą, algami. Jodem. Musi dobrnąć do brzegu, do zielonej wody. Skoczyć. Musi dopłynąć do latarni morskiej, daleko, na granicy nieba. Do latarnika. On jej śle sygnały świetlnym morsem, którego ona nie zna, ale odgaduje że to pilne wezwanie. Musi przepłynąć morze, chociaż nie umie pływać, a on po nią łodzi wysłać nie może. Bo nie ma. Latarnicy nie mają prawa mieć łodzi, podpisali to w kontrakcie. Mogliby ulec pokusie przeprawy na kontynent, choćby po papierosy i kto by wtedy nadawał sygnały?

Ani nie dopłynęła nigdzie, ani nie doszła. Sen urwał się, jak uszkodzona taśma filmowa. Szef podawał jej szklanekę wody. Poczciwiec. Wiedział, że ma straszne pragnienie po każdym tam i z powrotem. I gderał:

— Słyszała pani? Znowu podpalili barykadę! Na takiej wąskiej ulicy! Płomienie sięgały trzeciego piętra, mało się ludzie nie posmażyli. Powybuchały jakieś samochody, niby nikt nie ma benzyny, a wszystkie baki pełne! No, ta pani „pacjentka”, rewolucjonistka, co akurat tam mieszka, z pewnością zawczasu odstawiła swój tam, gdzie nic się nie dzieje.

Jak na Wyspie. Właściwie na Wyspie nie działo się nic. Manifestacje, ciągnące lewym albo prawym brzegiem, z Bastylii pod Parlament albo na Sorbonę, omijały ją po lewym albo prawym brzegu. Tak jakby wróciły czasy, gdy żadnych mostów na Wyspę nie było i gdy trzeba było przeprowiać się na nią z Paryża przez wodę. Wyspa żyła w uścisku Sekwany na prawach eksterytorialnej enklawy.

— Więc kim ty właściwie jesteś? — naciskał Andrzej. — Co to wszystko znaczy?

— A czy ci nie wszystko jedno? Powtarzam po raz setny: nie wróciłam, bo myślałam, że nikt nie żyje. Więc jak już żyć gdzie indziej, innym życiem, czemu nie pod innym nazwiskiem?

— No tak, ale papiery? Ja Francję znam. Tutaj z policją nie ma żartów. Jak to zrobiłaś? W jakim celu? Naturalizowa-

łaś się? No nie, ty się podszyłaś pod cudze nazwisko. Udajesz Francuzkę.

— Bo ja jestem Francuzką — powiedziała i odsunęła się od niego w nagłym alarmie.

To miał być Andrzej? Przyjaciel z dawnych lat? Obiekt panieńskich wzruszeń? Ktoś zaufany, przed którym sam ojciec nie miał żadnych sekretów? Uczucie, którego jeszcze nie chciała nazywać strachem, kazało jej grać na zwłokę, udawać, że się nie boi, że nic jej nie razi ani nie ostrzega.

— Może ze względów... politycznych?

Wzruszyła ramionami. Ona i względy polityczne! Tego nie musiała udawać. Tu pokrywały się z prawdziwą Marią, ponad imposturą. Żadna z nich nie była przysposobiona politycznie. Prawdziwa Maria też by miała za całą odpowiedź wzruszenie ramion. Tak samo przesiedziałyby całą rewolucję na Wyspie, nie ryzykując przejścia ani na lewy ani na prawy brzeg. Tyle, że tamta może trochę więcej w razie czego miałaby do stracenia. Ona by posiadała jakieś kapitały, gdzieś poumieszczone, owocuujące, teraz tymi petardami zagrożone. A może nie, może trzymałyby resztki fortuny w pończosze? Czyli w woreczku. Więc spokojna głowa. Złoto zawsze da się wymienić na chleb. W każdym razie nie przeputałyby wszystkiego tak gruntownie, nie wiadomo na co, zostając przy małym studio i jagodowej bransoletce.

— Niezłą masz biżuterię... Przecież nie pamiątka rodzinna?

To nie było przyjacielskie wypytywanie, to było śledztwo o zacierających się coraz bardziej pozorach żartobliwości. Pytał i pytał, niby o ojca, niby o nią, jak sobie poradziła z papierami. Ale czemu z ojcem, z którym był tak związany, prawie usynowiony, kojarzyło mu się akurat to nieszczęsne złoto? Nie broń, nie gazetki i komunikaty, nie jak odbyło się aresztowanie i śledztwo. O złocie naprawdę nie pamiętała, co do ojca, wzbraniała się pamiętać. Mówić. Przyznawać się.

A może to jej się śni? Całe to spotkanie, od schodków nad wezbraną rzeką po ten pokój na piątku? Po źrenice chirurga w twarzy niby Andrzeja? To miał być Andrzej? Andrzej nie żyje. Niezwykłość a zarazem logika, przesadna materialność tego wszystkiego była narkoleptyczna. Zaraz się obudzi i na okno pokoju nałożą się znajome kraty a nie obcy las.

A może to normalny sen? Nie chorobowy? Zdarzały się jej i takie. Różnica zasadnicza. Normalne sny trudniej zapamiętać, odtworzyć na jawie. Rozpływają się. Są mniej zmysłowe, bardziej cerebralne.

Do którego gatunku należał ten, zaraz na początku leczenia? Opowiedziała go lekarzowi. Słuchał z taką uwagą, jakby w owym śnie zawarty był klucz chińskiego ideogramu otwierający sekret jej choroby.

To było tak, że była. Ale nie ona, ja, nie osoba. Było jakieś rozproszone istnienie leżące na plecach. Jej leżenie, jej plecy, ale tak, jakby plecami jej była ziemia. Nie, nie grób. Bo żyła. Ale coś w tym rodzaju. Leżała tak jak ziemia leży, pod niebem. I nagle doszło do niej, przeszło ją z jakiejś pod nią głębi... Męczyła się, strasznie trudno było ująć to w słowa. No więc z głębi pod nią, czyli spod ziemi, ale — ponieważ była ziemią także i z jej wnętrza, wołanie. Przeszło ją czyjeś wołanie, ostry głos. Na wskroś, jak strzała. Jak strzał. Męski głos. Pod nią, ale i w niej i spod niej i poprzez nią ktoś zawołał. Ten krzyk był tak nagły, że ją obudził. Długo jednak trwał, brzmiał, wcale nie żadnym echem, tylko prawdę. Choć już trzeźwa, choć z otwartymi oczami, ciągle go słyszała i ciągle wysuwała się z jakiejś lepkiej gleby, z gliny, z której dopiero lepiło się z powrotem realne jej ciało. A ten głos cały czas ją wzywał.

To nie było zmysłowe, jak w snach narkoleptycznych, choć słyszenie implikuje słuch. Ani metafizyczne, ani alegoryczne. Choć może. To było... zasadnicze. Biblijne?

— Kompleks ojca — zawyrokował lekarz. — Albo kompleks matki.

Jeszcze edypował. Tym snem ściągnęła na siebie jego uwagę. Nawet pochwalił ją, że mało kto tak dobrze opowiada sny.

Nie przyszło mu do głowy, że jak na fryzjerkę z Wyspy, w dodatku nawet bez matury, prowincjuszkę, świeżo przybyłą do Paryża, wyraża się za książkowo, za salonowo i bez śladu akcentu z Dolnej Charente. Bo przecież z nowymi personaliami podała mu nową swoją biografię. Nie śmiał wiedzieć o mademoiselle Fabienne ani o Horacym. Ojca łatwo było się wyprzeć, po prostu nie żył. Nigdy.

— Pamiętasz nasze komplety? Lekcje łaciny? Ojca Sebastiana?

Pokój Andrzeja, jego imponujące biurko, półki pełne książek w rozmaitych językach, istna wieża Babel, a za drzwiami mama A, lwica niespokojna o syna. Tajne lekcje stanowiły wielorakie niebezpieczeństwo. Po pierwsze Niemcy mogli ich nakryć, więc aresztowanie, obóz. A po drugie któraś z tych pannic mogła mu na serio zawrócić w głowie. Więc wkraczała, a to z propozycją herbatki, a to czy nie wywietrzyć, bo niektórzy z profesorów palili te okropne, okupacyjne, z mioteł skrobane skręty, nie dbając

o młode płuca Andrzeja, zły przykład, smród i jej firanki. Aż to sobie raz ojciec Sebastian stanowczo wymówił. Jak nauka, to nauka. Nikt w czasie lekcji do klasy nie wchodzi.

Andrzej też uwielbiał ojca Sebastiana, twierdził, że jego wykłady nie gorsze od sorbońskich. Żadnego nie opuścił. Za to gardził lekcjami francuskiego twierdząc, że sam by mógł dawać lepsze, co nie było pustą przechwałką. Maria także, dzięki made-moiselle Fabienne, wiele z tych lekcji nie korzystała, choć na wszystkie uczęszczała gorliwie. Lubiła, musiała się z nimi spotykać, jak nie we trójkę z Andrzejem, to przynajmniej we dwie z Haliną. O kim mówiły? O Andrzeju. Recytując wiersze z pozyczonych przez niego tomików.

Pomyśleć, że Andrzej znał Lechonia! W Paryżu! Dedykacja w niebieskim tomiku była tego dowodem, a i bez niej wierzyły mu ślepo. Uwierzyłyby, że znał nawet Baudelaire'a i że ten także bywał u mamy A, słynącej z przyjęć. I że razem chadzali po Wyspie.

Po wojnie, pierwsza rzecz, tam pojadą. — Ze wszystkich krajów mej młodości — mówił im Andrzej z powagą siedemnas-toletniego starca — najbardziej tęsknię za Francją. Zastanawiam się czasami, czy nie jestem bardziej Francuzem niż Polakiem? Czy nie wolę takiego Baudelaire'a od... No, od Słowackiego. Czy tam Lechonia.

Właściwie czemu ograniczał się do przekładów? Mógłby sam pisać, tak po polsku jak po francusku. Były pewne, że on jest genialny.

— Po jakiemu? — nagle pokorniał. — Mam za dużo języ-ków w ustach. W głowie. Poliglota nie ma prawa być poetą. Może być najwyżej tłumaczem. W prozie by uszło, ale w poezji? Jeden język zatracą o drugi i wychodzi z tego kakofonia. Maka-ron. No wiecie, osiołkowi w żłoby dano...

Był zaambarasowanym geniuszem. Rodzice dając mu tyle szans, tak rozmaite przygotowując mu skrzydła, odbierali mu moż-liwość lotu. Nie wiedział, którym zacząć, które nośne. Zafascy-nowane, uważały, zgadzając się w tym z mamą A, że gdy zechce, rozwinie wszystkie naraz.

Po daremnej wyprawie do matki w Royan, Maria miała całą Francję do wyboru i cały Paryż. A jednak utkwiała na Wyspie. Znała ją, jakby tu już kiedyś żyła i było naturalne, że tutaj po-wraca. Wszystko się zgadzało ze wspomnieniami przyswojonymi od Andrzeja. Może pałac Lambert jakoś podupał przy wojen-nym, powojennym zaniedbaniu. Roił się od alianckich mundu-rów z naszymi *Poland*. Rodacy? Nie, postanowiła, wybrała.



To dla niej cudzoziemcy. Jak dla szefa. Jak dla dziewczyny z lasu.

Zatrzymała się przed wystawą sklepiku, księgarenki i pape-  
terii. Wylegiwał się tam królewski, perski kot. Trzymał łapę na  
okazyjnym, wystrzępionym tomiku „Sztucznych Rajów”. To był  
jej pierwszy zakup. I pierwszą noc spędzoną na Wyspie w nędz-  
nym i pełnym dziwnych zapachów i hałasów hoteliku spędziła na  
lekturze. Słaba, oszczędnościowa żarówka u sufitu ledwo pozwa-  
lała odcyfrowywać maczek druku. Ale czytała bez zmrużenia po-  
wiek do białego rana, wcale jeszcze nie wiedząc, że jest chora  
i że to się jakoś łączy z jej chorobą. Ani że czyta o sobie.  
Doznania narkotyczne zbliżone są do doznań narkoleptycznych,  
jak sama nazwa wskazuje.

A więc podróże gdzie indziej, wszystkimi zmysłami. Pod na-  
ciągniętymi namiotami ciemności uplecionymi z falujących wło-  
sów. Bezustanna wymiana pomiędzy subiektywnym a obiektyw-  
nym, pomiędzy światem, który się niby zna, a tymi, które się  
na pewno w sobie nosi. Sny — klucze do sytuacji, motywy  
postanowień. A rzeczywistość? Prawdziwa rzeczywistość wy-  
łącznie w snach. Sen — powiększające lustro, odbijające w sobie  
inne, powiększające lustra. W nieskończoność. W ciągu małej  
godziny, ba, minuty, żyje się życiem zwielokrotnionym, żyje się  
wieki. Wszelkie analogie i łączności dźwigają się i wiążą ze sobą  
chwalebnie, triumfująco. Rozumiemy wszystko, znamy wszystko,  
chwytamy uniwersalny rytm nieśmiertelności.

Dzięki opium. Gdzie by tu zaraz nabyć go trochę i spró-  
bować?

Ale jest też i odwrotna strona medalu. Tortury. Przestrzeń  
wydyma się w serię nieskończonych przestrzeni, a i czas się  
mnoży. Rozmnaża. Strach dusi i nie ma schronienia przed po-  
twornym baletem realnych zjaw.

Ta odwrotna strona medalu, wyczytana nad ranem, a także  
poprzednie i w jakiś sposób zobowiązujące spotkanie z Panią  
z Wyspy sprawiły, że nie pobiegła nazajutrz na Pigalle gdzie, jak  
sądziła, można było kupić opium czy coś w tym guście i popodró-  
żować po Sztucznych Rajach.

Raj, jakkolwiek raj, pilnie by jej się przydał. Ale tortury?  
Odbiła swoją normę. W ten sposób nie stała się narkomanką,  
dziwówiskiem Wyspy, tylko stateczną i cenioną fryzjerką... Co  
jej nie uratowało od snów, dobrych i złych, od prawdziwszych  
niż narkotykowe, bo narkoleptycznych piekieł i rajów.

## XI

— Czy nie myślisz, że i tutaj tym psem zalatuje? Biedny, stary łakomczuch! Musiało mu się śnić, że je cukier. Czy istnieją dentyści dla psów? Bo fryzjerzy na pewno.

To miał być żart, próba rozładowania atmosfery. Dziwnej. Dziwnej sytuacji. Pościel dawno powinna być rozgrzebana, ich ubrania na podłodze, a tymczasem siedzą grzecznie na łóżku, bo tu żadne inne siedzenie nie przewidziane i nic. Nawet nie zasunęli kotar, co jest pewno pierwszym gestem normalnych gości.

Czarny, ruchomy kaligram, ideogram gałęzi za szybą. Zimnawo. Kaloryfery hoteliku musiały źle funkcjonować, tak jak reszta jego wnętrzości. Palili papierosa za papierosem. Ale to nie nikotyna tak mdliła.

Stary pies raz jeszcze sforsował zaporę drzwi i gdy już mieli wstawać od stołu, znowu położył łapę na ich obrusie. Wcale mu nie dali cukru, a on i tak go jadł, rozgryzał zepsutymi zębami nieistniejącą kostkę, ślinił się z rozkoszy. Oczy miał pod bielmem, trudno było poznać czy śpi, śni, czy udaje. Kolega narkoleptyk? Według doktora, zwierzęta zapadają na tę chorobę na równi z ludźmi. Co urzęda. Można ją u nich sztucznie wywoływać dla obserwacji eksperymentalnych. Nie zawsze miewa się ludzki materiał do rozporządzenia.

Gdyby Niemców interesowała narkolepsja, a nie gangrena, może ravensbrückim królikom wstrzykiwaliby sen, zamiast im krajać i zakażać nogi? I co by się im śniło w pierwszym rzędzie? Jedzenie. Cukier. Chleb. Czyli to samo co na jawie, bez narkolepsji. Jedzenie, czyli życie.

Szatan wiedział, co robi kusząc Chrystusa na pustyni przemienieniem kamieni w chleb. Cóż za propagandowy cud! Któż by nie głosował na kogoś, kto może wykarmić tłumy kamieniami, któż by go włókł na Golgotę? Przynajmniej w pierwszej fazie. Chleb, cukier, mięso... Gdyby Jezus przyszedł na świat nieco wcześniej, nie dwa a sto tysięcy lat temu, w epoce mięso- a nie chlebojadów, Szatan zaproponowałby Mu pewno przemienienie pustynnych kamieni w krwawe poście do rozszarpywania zębami i pazurami...

Starego psa nie kusił chleb. Mięso już pewno też nie. On pożył cukru. Wzgardził, gdy mu podsunęła kawałek chrupiącej bagetki. I tak go zostawili śmierdzącego, ślepego, z łapą na stole, rozgryzającego ideę słodyczy.

W jadalnianej sali szumiało podochoconymi, podпитыmi rozmowami. Zrobiło się ciasno, a wciąż jeszcze zajeżdżały samochody. Wyczuli niecierpliwość gospodyni, która chętnie by nakryła ich stolik dla następnych gości. Na górze mieli spokój. Różowa muzyczka przesączała się i tutaj przez podłogę czy przez strop. Musiało to być nagrane na taśmę, bo romansowe szlagiery powracały w nużącej kolejności, jak na karuzeli. To też mogło kręcić w głowie. Pieczenie oczu, ten jakiś żwir pod powiekami. Niedobrze. Mobilizowała się, z góry wiedząc że nie ma zapór przed snami, gdy zechcą wezbrać. No i nie tylko zapomniała zaopatrzyć się w pigułki, ale i piła. Ten okropny szampan na końcu... Idiotyczne, wszystko razem.

— Posłuchaj, znowu idą białe bzy. Nadzwyczajne, nie tylko my żyjemy, ale i zmartwychwstała moda na stare nasze piosenki!

— Nadzwyczajne jest, że ty żyjesz! Ta zabita i ta pochowana! I że się tutaj nie wiadomo po co i dlaczego ukrywasz! Pod cudzym nazwiskiem. To mi musisz najpierw wytłumaczyć. A potem sobie to i owo powspominamy.

Gdy tylko znaleźli się na górze, Andrzej zmienił ton. Jakby stracił cierpliwość. Jakby zdjął maskę i stał się... Kim?

To miał być Andrzej? Z czego miała mu się tłumaczyć? Co zeznawać? Chciała wstać z łóżka i wyjść, nie tyle obrażona jego obcesowością, co spanikowana, ale ciało przestało jej słuchać. Tym razem uciekła w sen ze strachu. Znalazła przełaz.

Po tamtej stronie był obszerny salon, o żadnym Andrzeju ani mowy. Skreślony z tej biografii. Została po nim niejasna ulga, jak po niemiłej wizycie, gdy mówi się: uff! i podejmuje normalny wątek dnia. Koncert skończył się, goście wstawali ze złożonych krzesełek, z obitych aksamitem foteli, otaczali pianistę. Nie było go widać zza obnażonych pleców, zza czarnych surdutów. Okno było zamknięte. Samo się zamknęło. Musi odnaleźć ojca. Potem zabierze głos w Sprawie. Sprawie przez duże S. Kolejność powinna być odwrotna, najpierw duża Sprawa, potem małe sprawy rodzinne. Strata czasu, a czas naglił. To się nazywa prywata. Ale nie mogła zdobyć się na takie bohaterstwo. Gdzie on jest? Niechby znowu zakaszłał...

Wróciła tutaj jak do klasy po pauzie, jak na scenę po antrakcie. Epizod z wyciągnięciem jej stąd za kołnierz był czymś zamazanym, jakby śnionym. Wszystko było takie same, dalszy ciąg. A jednak coś się przesunęło, nie tyle w realiach co w niej samej. Inny był jej dystans do tego, co słyszała, widziała, czuła. Do misji, z którą tutaj się zjawiła, a nawet do ojca. Zmieniła się także i zewnętrznie. Zamiast młodej dziewczyny w pożyczonej,

białej sukni i ciasnych pantofelkach, była dorosłą kobietą. Coś nie pasowało. No tak, strój. Roboczy, kwiecisty fartuch fryzjerski. Zapomniała go zdjąć w proggu. Teraz za późno.

Przecież to bal! Oni wyraźnie szykują się do tańca! Jak można, w takiej chwili! Musi ich ostrzec, musi temu zapobiec. Nie tańczy się w żałobie.

Obszerny salon zaczął powoli wirować, krzesła i fotele poznikały pod ścianami, muzyka odezwała się taneczna, różowa, zamigotały światła. A przecież dopiero co był dzień. Panowie zaczęli prosić panie. Stała pod oknem i coraz bardziej przemieniała się w widza, przestawała być osobą dramatu. To, co się tutaj zaczynało dziać, było obrazem, odbiciem, filmem rzuconym na trójwymiarowy ekran. Iluzja? Sen? Kto śni? Kto gra? Kto tu przed kim udaje że żyje i wprowadza w błąd?

Co to znaczy, wprowadzać w błąd? Ten, kto wprowadza w błąd, sprawiedliwszy jest od tego, kto nie wprowadza, a ten kto daje się w błąd wprowadzić, mądrzejszy od tego, kto się nie daje. Prawda jest jedynie prawdopodobieństwem. Czyli złudzeniem. *Trompe l'œil*. Czy same nas uczą, jak mają być wprowadzone w błąd. Ptaki zlatujące się by dziobać malowane grono dają się nabierać sztuczkom dialektyki dobrowolnie, z chęci a nie z musu.

— *Dialexeis* — mawiał ojciec Sebastian *à propos* greckich tragedii. Georgias *dixit*. Cytata.

Skrzętnie to sobie na tajnych kompletach notowała. Ale... Czy teraz potrafi powiedzieć? Odpowiedzieć? Wejść w ten film? Trema, więcej, strach formował w jej gardle dławiacą kulę. *Globus hystericus*, zawyrokował lekarz, nie biorąc pod uwagę, że tym można się naprawdę udusić.

Więc co za ulga, gdy na przegubie dłoni poczuła uścisk ręki mademoiselle Fabienne.

— Wyprostuj się! — usłyszała. Po francusku. — *Tiens-toi droite!* Podnieś głowę. Przestań się trząść, jak Esterka przed Cyrusem. Umiesz. Zdasz. Przecież myśmy to wszystko przerabiały.

Prawda, zrobiły powtórkę. Była przygotowana. Obkuta. A w razie dziury w pamięci, mademoiselle Fabienne podpowie zza kulisów. Więc nie przyniesie ojcu wstydu. Zda.

A jednak będzie wstyd i hańba, ponieważ fartuch roboczy w zbyt elokwentny sposób opina się na jej brzuchu. To, co ma w sobie, rośnie, wydyma ją. Jeżeli zacznie rodzić tutaj, na tym balu? No nie, *globus hystericus*, więc i ciąża histeryczna, wyimaginowana. O żadnym dziecku mowy nie ma, bo skąd, z kim?

Ona sama z siebie w kurczach się wyrывa, siebie chce gwałtem opuścić, opróżnić. To nie rodzenie, nie połogowa praca, to umieranie. Tego nie przerabiały. Tego nie było w programie. Nie miała zadane umierać. Miała zostać zabita.

Więc na co on czeka i czemu nie jest w mundurze? Że wojna niby się skończyła? Absurd. Oni nie zawsze są umundurowani. Nie umie? Nie przeszedł przeszkolenia? Może raczej czeka na: pal!

— To nic takiego — pociesza ją mademoiselle Fabienne. — Rozluźnij się. Zaczepnij powietrza. Głęboki wydech, wdech. Ja wiem, tu zaduch, śmierdzi, niepotrzebnie zamknęli okno. Od tego kręci się w głowie. Zaraz minie. To mija.

Pocziwa mademoiselle Fabienne, pociesza ją. Zawsze tak ją pocieszała. — *Courage!* — mówiła, chwytając za przegub ręki.

Jakie szczęście, że nie zdążyła wrócić do Polski z wakacji w swoim kraju! Ślad po niej zaginął, ani słowa od pierwszego września do ich aresztowania. A przecież z Francji dochodziły listy, nawet paczki.

W domu, gdy sami z ojcem musieli nagle zacząć gospodarować, nieobecność mademoiselle Fabienne okazała się jednym z najbardziej dokuczliwych skutków wojny. Większe sieroctwo i opuszczenie, niż po śmierci pierwszej matki. Skrupulatne ręce mademoiselle Fabienne odkładały na półki książki, odwieszały sukienki do szafy, zmieniały wodę kwiatom i sprzątały, że co rano w łazience pojawiała się koszula dla ojca, świeżo wyprasowana. Dom zamienił się w rodzaj koczowiska, gdzie nikt niczego nie mógł odnaleźć i okazało się, że fuksje nie są nieśmiertelne, gdy nie wstawić ich na zimę do domu. Żadne skruszone podgrzewanie i podlewanie ich nie wskrzesi.

Gdyby kobieta, stojąca na samym cyplu Wyspy w ów pierwszy paryski wieczór Marii, po powrocie z Royan, okazała się rzeczywiście jej zaginioną wychowawczynią, byłoby to czymś niezwykłym, ale wcale nie niemożliwym. Skoro wojna zaskoczyła mademoiselle Fabienne we Francji, czemu by miała nie przeżyć i nie stać sobie na moście, patrząc na zachód słońca, barwiący Sekwanę? Zdarzają się takie odnaleziny. Maria podchodziła do niej wolno, coraz wolniej, z coraz mocniej bijącym sercem, za każdym krokiem coraz bardziej i coraz mniej pewna, że to ona. Co powiedzieć, żeby jej nie wystraszyć? *Bonjour* czy dzień dobry? To ja... A może lepiej stanąć obok, dać czas jej i sobie?

Ale tamta odwróciła za wcześniej głowę i okazało się, że to ktoś inny.

To była Pani z Wyspy.

Nie odezwały się wtedy do siebie ani słowem. Patrzyły na rzekę. Widok był aż za wspaniały, impresjonistyczny, jak na którejs z przedwojennych reprodukcji pocztówkowych, które zdążyły dojść z Francji od mademoiselle Fabienne przed pierwszym wrześniem. Wieczory na balkonie, przysłonięte różowymi mgłami... Wyczytała to potem w hoteliku, już dawno przeżyte i opisane w „Sztucznych Rajach”.

To, że wszystko było już kiedyś przeżyte, rzecz pewna. A gdyby więcej czytać, okazałoby się że i opisane. W jakimś języku.

Tak zaczęła się ich znajomość z Panią z Wyspy. Mniej i więcej niż zwyczajna znajomość. Była ona już wtedy stałą, starą klientką szefa, który zajmował się jej głową osobiście i nawet mycia włosów czy rozkręcania rurek nikomu nie powierzał. No, czasem Maria zdjęła z niej czy podała jej płaszcz. Żadne tam futro. Albo ogień, bo Pani z Wyspy nie uznawała zapalniczek i zawsze grzebała nieporadnie w olbrzymiej torbie pełnej kluczy i papierków szukając pudełka zapalek kuchennych, które się ukrywało. Często odkładała przy tym na bok starą książeczkę do nabożeństwa o złoconych brzegach, spuchniętą od świętych obrazków. Więc nie tylko na msze nosiła ją przy sobie.

Nigdy nie było okazji, by naprawdę porozmawiać. Musiało jednak być coś specjalnego w spojrzeniu, które wtedy, na moście wymieniły.

— Ja panią jakbym skądś znała — zapytała Marię kiedyś, na samym początku, właśnie przy przypalaniu papierosa. — Czy pani nie jest polskiego pochodzenia?

Pokręciła głową. Tej osobie nie chciała kłamać. Gdyby komuś miała kiedykolwiek powierzyć ten i inne swoje sekrety, to tylko jej. Była kimś w najlepszym gatunku, godnym zaufania. Ale to nie była mademoiselle Fabienne.

Mademoiselle Fabienne, chociaż niewidzialna, stała więc przy niej pod oknem obszernego salonu, ścisła ją za przegub ręki i naszeptowała pociechy do ucha. — Dałam ci czystą chustkę. Wytrzyj nos. Pomyśl, że masz katar. Przestań się przejmować tym brzuchem. Wcale nie widać. Ojciec o wszystkim wie i nie gniewa się. To nie jest żadne dziecko, skąd?

Jak to, żadne dziecko, skoro rozpycha ją tak, że zaraz trzasną guziki roboczego fartucha? I co może wiedzieć ojciec, skoro dla niej samej jest to zaskoczeniem? Nie gniewa się? Wybaczy? Taką hańbę, taką zdradę? W takim razie czemu jej unika, nie podchodzi do niej tutaj, pod okno, umyślnie tłumi kaszel, po którym by go poznała? A może on jej nie widzi? Zmieniła

uczesanie, obcięła swój mysi warkoczyk, po którym on rozpoznał ją z daleka, na szkolnym korytarzu i mógł jej przekazać swoje: Przeżyjemy... Powrócimy...

Zrobiła się dla niego za stara. Jest fryzjerką z Wyspy, a jej roboczy, tak niestosowny tutaj fartuch rozpycha posuwająca się wulkanicznie ciąża. A on? Czy taki jak był? Odbitka fotograficzna sprzed lat? Więc młodszy niż ona w tej chwili...

Skąd wzięło się to brzemie, anonimowy płód? Nienawidziła go. Misja gotowa przez to poronić. Któż weźmie na serio posłanie fryzjerki, w roboczym fartuchu, w kurczach porodu, która im psuje bal? A na dodatek nie wie jak, nie pamięta co, nie umie się wysłowić.

— *Citoyens!* Uciekać! Krew pachnie w tej sali!

O, dobra cytata, świetne zagajenie! Zacytuje, a potem rozwinię. A to coś niech się rodzi albo niech umiera, nie ma nad tym władzy.

Jak większość sierot, pragnęła mieć dziecko. Długo bawiła się lalkami. Od osiedlenia się na Wyspie to pragnienie strach zniweczył w zarodku. Gdyby istniało dzieworództwo, nie miałyby oporów. Ale dzieci są i z matki i z ojca. Nigdy nie spotkała ojca swego dziecka. Któż miał nim być? Przecież nie komisarz, ani żaden z jego przygodnych następców. Kto by więc za pośrednictwem jej żywota odrodził się, czyj *ultor*, czego mściciel? Z kim do spółki byłaby przedłużona?

Nic takiego się jej nie przytrafiło, choć parę razy oblewały ją poty, obliczała dni, moczyła nogi we wrzątku, łykała proszki, od których dzwoniło w uszach jak na mszę. Wszystkie alarmy były fałszywe i same się odwoływały. Zresztą absurd. Ojciec głupstwo, to tylko nasienie, ale matka musi być żywa, a ona żyła tak słabo, tak automatycznie. Była jałowa. Nakaz macierzyńskiego instynktu odzywał się w niej coraz słabiej, aż zamilkł. Jak inne instynkty. Wszystko zamilkło i spokój. Przynajmniej na jawie.

Jeżeli teraz jest w ciąży, musiała zająć w nią we śnie. W jakiego rodzaju śnie, z jakim inkubem? Nie pamiętała. To się musiało stać pod jej w sobie nieobecność. Ojciec wiedział, mademoiselle Fabienne wiedziała. Oni to zaakceptowali, ona nie. Nigdy! Bo komu, kogo urodzi?

— Wiesz. Pamiętasz. Powiedz. Nawet jeśli pojedziesz do Rygi, każdemu się zdarza. Popij wody. Łyknij ten proszek.

Szkoło zadzwoniło o jej zęby. Ktoś mocną ręką przytrzymał jej głowę i na siłę wpychał pigułkę do ust.

To nie była mademoiselle Fabienne. To był Andrzej. Przed

nim tak wzbraniała się, zaciskała usta. Nowe wyciągnięcie za kołnierz. Ale też i zahaczenie już nie o sen, lecz o reminiscencję podobnej sytuacji. Bała się, broniła się, nie przed Andrzejem, choć prawie już wiedziała, że to on, tylko przed blondynem zza maszyny do pisania, który też zwykł tak energicznie ją cucić po seansach w sali gimnastycznej. Nie chciała pić żadnej wody, niczego łykać, odepchnęła jego rękę tak gwałtownie, że szklanka rozprysnęła się w drobne kawałki. Co ją całkowicie oprzytomniło i wydało się jej katastrofą.

— Czyś ty nie chora? Co się z tobą dzieje? Oczy ci płasły, coś bełkotałaś, a przecież byłaś przytomna. Niedobrze ci? Może coś ci zaszkodziło? Te ślimaki... Niemożliwe, ja tu znam, kuchnia bez zarzutu, wszystko świeże. No, odezwij się. Wystraszyłaś mnie. Poczekaj, zadzwonię, niech nam zmiotą szkło z podłogi. Może masz słabą głowę? Nieźle popiliśmy. Trzeba było mnie uprzedzić. Ten prosek postawi cię na nogi.

Przeobrażony w dobrego Samarytanina znad rzeki, przejęty jej — jak to określił — zasłabnięciem, Andrzej był więc świadkiem narkoleptycznego wtrętu. Doktor byłby zazdrosny.

— Zostaw. Mam czasem takie zapaści. Omdlenia. Samo mija. Już minęło. Dzwon raczej po to swoje auto i odwieź mnie na Wyspę. Jestem zmęczona. Umówimy się na jutro.

Jutro poniedziałek. Wolny. Do jutra czas. Cała noc. Zastanowi się nad wszystkim, przetrawi Andrzeja. Inaczej będzie z nim rozmawiała.

W pokoju nie było telefonu, tylko dzwonek, na który nikt nie reagował. Andrzej wcale nie kwapił się zejść na dół, załatwić co trzeba. Znalazł drugą szklankę, napełnił ją wodą, wmawiał w nią tę jakąś specjalną aspirynę czy coś, odmówiła stanowczo. Smak tutejszej wody znała z ubikacji, a doktor zakazał jej brania jakichkolwiek innych leków, to miało być dla niej gorsze od alkoholu.

— Zawsze byłaś uparta — orzekł rozgniewany Andrzej i zaczął chodzić od okna do łóżka mijając rozbite szkło, popatrując na nią raz jak zatroskany przyjaciel, a raz jak sfrustrowany chirurg. Zostawił ją wreszcie i wyszedł załatwić samochód i zapłacić rachunek.

Została sama, słaba jak po porodzie, oddychała głęboko i świadomie. Za oknem zrobiło się różowo. Słońce wcześniej zachodzi. Wreszcie uznała, że nogi jej posłuchają. Wstała z łóżka. Ominęła szkło i poszła za parawan nie żeby napić się wody z kranu, ale by obmyć sobie twarz.



Nieobecność Andrzeja przeciągała się niepomernie. Może garaż zamknięty w niedzielę, może samochód nie gotowy? A może telefon działa tutaj tak, jak inne instalacje. Gdyby to nie było tak daleko od Paryża, czyli od Wyspy, poszłaby sobie stąd natychmiast, nie czekając na niego i wróciłaby do siebie. Obraziłby się, no więc co takiego? I albo by ją znowu upolował, albo by sobie wrócił do swojej Warszawy, do swoich interesów. Nie miała ochoty go widzieć, nie chciała żadnej z nim zasadniczej rozmowy. Przestała być ciekawa jego wojennych i powojennych dziejów. Przeżył. To i dobrze, to grunt. Szkoda, że wcześniej tego nie wzięła pod uwagę, że i on i Halina mogli przeżyć. Skoro jej się niechcący udało...

Była zmęczona. Wrócić! Do siebie, na Wyspę. Są autostopy. Zmobilizować się, wyjść stąd po cichu, ostrożnie odmykając i zamykając drzwi. Skrzyphiały, to zauważyła. I schody zauważyła, inne schody, nie te którymi tu weszli z sali jadalnej. Kuchenne jakieś, a może dla dyskrecji, dla par, które wołałyby nie być przez nikogo widziane. Prowadzą pewno na podwórze, albo wprost na drogę. Do lasu. Las tuż. Pójdzie w lewo, albo w prawo, los zarządzi. Zagłębi się w las, przeczeka. A potem gdzieś, dokądś dojdzie. Do jakiejś drogi i ktoś ją podwiezie. Do jakiejś wioski. Wszędzie są hoteliki, gospody, przenocuje. Albo jej zawołają taksówkę. Nic trudnego.

Woda była tak samo mdła do mycia jak do picia, ale jednak trochę trzeźwiła. Teraz drzwi. Korytarz. Gdzie te schody, przecież mignęły jej, gdy tu wchodziła z Andrzejem. Na lewo, czy na prawo korytarzem o szeregu pozamykanych drzwi?

Nie uszła dwu kroków. Andrzej zagroził jej drogę, brzęcząc kluczykami.

— Widzę, że ci lepiej. Jedziemy!

Sprowadził ją z czujnością sanitariusza i strażnika po bocznych schodach, właśnie tych, na które liczyła, które były nie na lewo, tylko na prawo od ich pokoju i rzeczywiście prowadziły prosto na podwórze, na tyłach hoteliku. Tam czekał jego samochód. Nie samochód. Czarna limuzyna.

## XII

W odróżnieniu od zakładu fryzjerskiego, Biblioteka na Wyspie była czynna w poniedziałki. Ale do szóstej. Tylko do szóstej. Która godzina? Po nocy pustej od brzegu do brzegu, bez żadnych,

takich czy owakich snów, Maria zapadła w rodzaj letargu, tak że było znowu ciemno gdy, zbierając zmysły, sztukując to, co słyszy, z tym, co czuje, rozpoznała, głównie po chińskich cieniach zimotrwałego bluszczu na kratkach okna, gdzie jest, kim jest i kiedy. Tak powoli i nieporadnie muszą konstruować sobie świat noworodki.

I nagle spadło na nią wspomnienie wczorajszej niedzieli. To było jakby tama puściła. Siadła w łóżku. Z półświadomości wpadła prosto w panikę.

Co zrobić, żeby już nigdy więcej nie spotkać Andrzeja? Nie iść na umówione spotkanie? To zaraz, za niecałą godzinę, już!

Całą noc przelatywały jej przez głowę rozmaite myśli i sposoby, jak pociągi, z których żaden nie chciał zatrzymać się na jej peronie. Do każdego mogłaby wskoczyć w biegu, gdyby była akrobatką. W filmach kowboje czy James Bondy skaczą prosto z mostu na dach wagonu nie łamiąc rąk ani nóg, nie wpadając pod koła. Umieją uciekać. Ale ona?

Nie potrafiła uciekać. Skakać. Potrafiła odchodzić na lewo, albo na prawo, obojętne, znosić jakiegokolwiek dalsze ciągi, dostosowywać się do jakiegokolwiek życia *post mortem*. Tym razem musiała zadziałać. Zaraz, już. Co i jak? Kto by mógł i zechciał jej pomóc?

Doktor? Szeff? Komisarz?

Po kolei odrzucała te kandydatury. Lekarza obchodziła jej narkolepsja, nie biografia. No i ta jego żona, ucho przysane do drzwi gabinetu, oko w dziurce od klucza. Szeff? Wygodny tubylec, niechętny cudzoziemcom, nawet Paryżanom. Cud, że ją zaadoptował, znaturalizował jako wyspiarzę. Ale, jeśli dowie się, że ona nawet nie z Royan, tylko z jakiejś biednej Polski, przez którą mogą mu się popsuć interesy... I że przez tyle lat wodziła go za nos, gdy on tak wszystko o wszystkich wie... Niemożliwe.

Co do komisarza, ten był już z pewnością dawno na emeryturze, na Korsyce czy innej swojej Wyspie i wszystkie Marie wywietrzały mu z pamięci. Nawet gdyby cudem zdobyła jego obecny adres. Nie zdobędzie, nikt jej nie da. No i gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Korsyka? Może mu się do tej pory zmarło, birbantowi, i ani nie przycina wymarzonej winnicy, ani nie hoduje wnuków.

Więc kto?

Była sama. Zawsze była sama, poza nazbyt czasem tłumnymi snami. Ojciec, mademoiselle Fabienne, Andrzej, Halina, to było dawno i nieprawda. W najbardziej sardyńskowo natłoczonych wagonach transportowych była sama, choć cudze oddechy ziały

jej w twarz zbiorowym strachem, choć cudze ciała, sklezione z jej ciałem, zraszały ją agonijnym potem. Była sama na zbiorowych pryczach kolejnych więzień i obozów. Sama we wszystkich łóżkach wszystkich pokoików na pięterkach hoteli. Sama na Wyspie.

No a książdz, ten od tablicy? Minęło parę lat od jej niewczesnej spowiedzi. Czy jest, gdzie jest? Księży często przenoszą, tak jak komisarzy. Przecież nie tkwi cały ten czas w tym samym konfesjonale. Kto wie, czy wygadawszy się — a pewno wygadał się — ze sprawą tablicy, nie siedzi teraz zupełnie gdzie indziej? Skoro „oni” taką z tego montują aferę...

Zostawała jedna, jedyna osoba. Jeden człowiek. Pani z Wyspy.

Poniedziałek... Duża szansa spotkać ją w kawiarni. Zaraz po szóstej, po zamknięciu Biblioteki. Andrzej zapowiedział się na około siódmej. Na kolację. Znowu za miastem?

Jak mało doceniała do tej pory swoje dożywocie na Wyspie! Jak dobrze było jej w skórze mademoiselle Marie! Z rozculeniem wspominała swą pracę, głowy ufnie poddane jej rękóm, włosy którym przywracała życie, blask, którym nadawała formę. Podstawiając kolejnej „pacjentce” lusterko tak, by mogła obejrzeć rezultat operacji z tyłu i z obu profilów, widziała jak ta prostuje się, młodnieje, godzi z własnym odbiciem, znów rada, że żyje. Miała dar, trafiła na swoje powołanie.

Albo spacer, wolnymi godzinami, w wolne dni. Przesiadanie na ławce, teatr nabrzeżny. Albo... No, wszystko, czeresnia czy wiśnia japońska, pewno już przygotowująca się do wiosennego występu. Całe Na Wyspie, trochę jakby śnione, elizejskie. W znaczeniu elizejskich pól, na których cienie mijają się z cieniami, a nawet nie muszą się mijać, przenikają jedne przez drugie bez ustępowania sobie z drogi. Spacerują. Wieczysta *passeggiata*. Lepsza formuła życia poza życiem od starotestamentowych gehenn czy chrześcijańskich czyśćców. Choć to komiczne, zaliczać w poczet elizejskich cieni tak sowicie obłożoną ciastem ciałą sklepikarkę, która odkłada dla Marii sery, albo rzeźnika, który z góry wie czy będzie jadła kotlet wieprzowy czy befsztyk. Nie mówiąc o szefie, dowcipkarzu.

— Spadł z dachu! — omawiał niedawno czyjś wypadek.

— Kiedy?

— Jak to kiedy? Wtedy, kiedy się zabił.

Wyspa... Móc zostać na Wyspie! Sobą. Drugą sobą, tak, ale ta drugość stała się pierwszej ważności, ponieważ jest zagrożona. Mawia się: druga natura. Wracając tak nagle i pod przymusem tego rodzaju do swej pierwszej natury, musiałaby przeżyć wsteczną agonię. Jak w filmie wyświetlanym od końca, musia-

łaby przejść wszystkie etapy, poprzez Royan, zbocze leśnej góry, poprzez szkolny korytarz, do domu. I co by znalazła? Przecież nie siebie. Tamtą Marię czas strawił gruntowniej niż ziemia strawiła dziewczynę z lasu.

Nie, nie ma powrotów, poza snami. Nie istnieje naprawdę żadna tęsknota za Ojczyzną. Tęsknoty wietrzeją, przedawniają się, pozostają iluzje, słowa. Każdy powrót jest transportem w nieznanne.

Propozycja Andrzeja... Żeby to propozycja, szantaż.

To miał być Andrzej? Ubierała się gorączkowo, właściwie najpierw rozbierając, bo wczoraj wieczorem, gdy ją nareszcie odwiózł pod sam dom i tak mu się, na szczęście, gdzieś spieszyło że nie wszedł za nią do mieszkania, padła jak stała na łóżko, nawet nie zdjęła butów, jak to się zdarza pijakom. Coś zachrząściło jej pod nogą. Bransoletka. Musiała sama zsunąć jej się z ręki. A teraz zameczek całkiem kaput. Aż się roześmiała. Andrzej gotów pomyśleć, że ona z rozmysłem nie włoży na ich nowe spotkanie tego — według niego — *corpus delicti*. Zewnętrznego znaku bogactwa. Skąd? Z lasu.

No i będzie miał rację, tyle że o inny las chodzi, o inaczej cudze złoto.

Że też wcześniej, zaraz wczoraj wieczorem, nie przyszło jej do głowy, że Pani z Wyspy nie tylko może jej pomóc, ale że należy ją ostrzec. Zapytać, czy zna Andrzeja. Nie tylko samą siebie ratować, ale także innych. Niejeden blondyn tam się pewno kręci.

Czemu nie zaufała jej i nie powierzyła się jej od razu, w pierwszej chwili, gdy stały obok siebie na balkonie mostu w zamglonych różowościach sztucznego raju Wyspy? Rozczarowanie, że ona nie jest mademoiselle Fabienne? Podobieństwo zostało, coś w rodzaju dalekiego powinowactwa. I życzliwość, wyczuwalna, nie potrzebująca żadnego pokrycia. Czemu nie spróbowała zbliżyć się do niej choćby na sąsiedzkiej, wypiarzkiej bazie? Po francusku. Ze strachu, że tamta ją rozszyfruje? Niechby rozszyfrowała! Ale by nie zdradziła.

Spotykały się przecież nie tylko raz na tydzień, w salonie fryzjerskim, ale i na ulicy i w kawiarni, regularnie. Jak nie spotykać się, żyjąc na pokładzie tego samego czółna? Wymieniały ukłony, uśmiechy. Coś je łączyło, coś zasadniczego, nie wymagającego pielęgnacji słownej. Bywała świadkiem spotkań i rozmów tej pani. Siłą rzeczy, nie poszukując tego, raczej unikając. W kawiarni stolik tamtej nigdy nie był pusty, tak jak Marii. Dosiadywały się tam różne panie, różni panowie, stały dwór,

a także i nowi, mniej lub więcej efemeryczni. Niektórzy mówili zbyt głośno, ufając eksterytorialności języka. Wtedy szybciej kończyła swą kawę, popijała wodą proszki. Nie chciała słyszeć, rozumieć, dowiadywać się. Urywki polskich zdań były jak wirusy, mogły zaatakować nie dość wyskrobany płat mózgu, spowodować nawrót raka.

— Polska? — odpowiedziała kiedyś przejętej wydarzeniami „pacjentce”. — To gdzieś w Rosji?

Na co tamta prawie się zgodziła. Z geografią tutaj nietęgo. W końcu nie takie to dalekie od prawdy.

Biblioteka była osobną wyspą na Wyspie. Starzała się, biedniała, pustoszała z biegiem lat. Wieczorami, gdy wygasaly światła w czytelni na dole, już tylko jedno okno świeciło na piętrze, w części mieszkalnej. Patrząc z mostu, wyobrażała sobie czasami, że dzwoni. Ciężka brama otwiera się. Idzie na górę, siada, podaje ogień. Pałą sobie, rozmawiają. Albo, jeszcze lepiej, milczą, wszystko jedno w jakim języku. Jak kiedyś w leśniczówce z mademoiselle Fabienne. Są razem. Paryż pod nimi szumi, jak tam, wtedy, szumiał las.

Nie musiała długo walczyć z taką pokusą, to było niewykonalne, bardziej odległe niż leśniczówka z mademoiselle Fabienne, dokąd zawsze mogła wrócić myślami gdyby je zwolniła od cenzury. Postąła, popatrzyła i wlokła się w końcu na swoje podwórko, zapalała swoją lampę i samej sobie podawała ogień.

Teraz co innego. Zaraz wczoraj, gdy czarna limuzyna Andrzeja odjechała sprzed jej domu, powinna była chwilę odczekać i pobiec tam bez zwłoki. Zadzwoić, załomotać. Wedrzeć się na piętro. I w ogóle nie wracać do siebie, tylko się przytaić, w azylu. Przecież Andrzej tam by jej nie szukał.

Zrobiłaby to, gdyby pomyślała. Ale miała samą pustkę w głowie. Paść na łóżko, zasnąć i nie obudzić się. Żeby żadnego jutra nigdy nie było.

Tak bywa, że nie ma jutra. A oto jest.

Od rewelacji Andrzeja bolały ją wszystkie kości, jakby ją pobił. Włosy ją bolały. Andrzej wskrzesił ją, a wskrzeszenie boli, to jest gwałt.

Reakcja Łazarza? Raczej żony Lota, nagle odtajającego słupa soli. A było jej tak dobrze pod postacią słupa soli! Nie chciała już za niczym się oglądać, niechaj giną Sodomy i Gomory słusznie czy niesłusznie karane ogniem z nieba, niech przepadają Ojczyzny! Cóż to za Ojczyzna, co wiecznie się pali? Raz jest w Rosji, raz w Niemczech, a raz nigdzie?

Na Sodomę spadł ogień z nieba raz a dobrze i koniec. A tam? Wciąż w czyjeś drzwi łomocą kolby i jak nie jedni to drudzy, jak nie wrogowie to swoi, wywlekają z domów zdetronizowanych, sponiewieranych ojców, źle bawiących się synów. A potem taki Andrzej pyta — śmie pytać, akurat on! — czy nie tęskni i dlaczego nie wróciła. Powinien by raczej zapytać, czemu nie wyjechała dalej?

Dalej, owszem, ale dokąd? Cały świat był jedną Sodomą i Gomorą, ogień spadał na nie znających dnia ani godziny. Gdzie było takie miejsce by można spać bezpiecznie, pomazawszy uprzednio drzwi domu krwią jakiegoś baranka? Anioły bywają roztargnione. Lub nadgorliwe. A zresztą jeżeli ktoś jest przeciwko wszelkim selekcjom?

Czyli przeciwko życiu. Ono jest selekcją. Nieustającą.

W końcu najlepiej na Wyspie. Wyspy zawsze ją pociągały. Miał rację Andrzej, jeszcze w fazie zwykłego blondyna, cytując kogoś: na wyspy jest się wyrzucanym przez fale. Zaraz po wojnie przemyśliwała o jakiejś dalszej, możliwie mało ludnej, otoczonej przez zapomniane od Boga oceany. Z pełnym jeszcze wórczkiem to było możliwe. Ale słupom soli trudno zdobyć się na inicjatywę. Wizy... Bilety... Wszystko je przerasta, boją się wszystkiego. Przy staraniach, formalnościach jakieś szydło mogłoby wyleźć z worka. Została. No i dobrze było, do tej pory. Święta Genowefa, pod postacią kamiennego słupa, stała na moście nie dopuszczając hord Atylli.

Tych mostów stanowczo za dużo. Trzeba by podminować je, powysadzać. Szeł *dixit*, w czasie „rewolucji”. Po co Wyspie Paryże, Francje, światy? Po co Polski? Czy muszą być? Nawet wyspy nie są niezbędne. Czy cokolwiek musi być? A czy na pewno coś jest? Jej sny przeczyły wszelkim tak istnieniom jak nieistnieniom, dublując, zbijając z tropu, rozmazując granice percepcji. Albo przedstawiając ich słupy. Zaś jawa jej też nie była sprawdzalna.

Zasłyszane i wbrew woli rozumiane fragmenty rozmów przy stoliku Pani z Wyspy drażniły ją. Nic, tylko Polska i Polska. Czy narody muszą żyć wiecznie? Koniecznie zmartwychwstawać? Być wolne? Co to znaczy? A Etruskowie? Gallowie? Indianie? Choćby według alfabetu. Nieznośna, cierpiętnicza megalomania. Co tam ludzie, sami sobie winni, ale zwierzęta, rośliny? Giną rasy, giną gatunki. Bez wojen, okupacji, bez polityki eksterminacyjnej i wcale człowiek nie musi przykładać do tego swojej ręki demiurga. Po prostu natura zmienia zdanie, odechciewa jej się to czy owo utrzymywać przy życiu, przestaje jej pasować w tej

formie, w tym układzie. Nie tylko w prehistorii, przy zmianach cykliów, er, klimatów, także dziś. Mało potrzeba żeby podpaść i wyrok zapada.

Takie na przykład kozice: giną, bo ślepną. Wszystko inne dla nich gra, powinny by prosperować. A tu ni stąd ni z owąd jakiś wirus zaczyna wyjadać im gałki oczne, zasnuwa je bielmem. Jak ma przeżyć ślepa kozica w Alpach czy w Pirenejach? Ginie z głodu, w sposób naturalny, bo nie potrafi dojrzeć kępki trawy, mchu w rozpadlinie skalnej, albo dramatycznie, spadając w przepaść, bo nie wycenia odległości.

No a języki? Ileż martwych, nie odnotowanych na żadnym odcisku skały, na żadnej tabliczce glinianej, nie wpisanych w żadne drgania żadnej fali. A oni nic, tylko swoje. Chrystus narodów. Który raz?

Dopijała kawę i wychodziła. Ta stacja już nie miała prawa dla niej nadawać.

A jednak nadawała. Dobrowolna afazja na polszczyznę nie była kompletna. Pomijając sny, które przenosiły ją gdzie chciały, miała to w sobie zakodowane na życie. Mogła sobie zawiązać ten język na supeł, nie mogła wyrobić w sobie selekcyjnej głuchoty, wszczepić sobie takich filtrów w uszy, żeby polskie słowa przeobrażały się w niezrozumiałą chińszczyznę.

O liczenie szybko przestała walczyć. Można być stuprocentowym apostatą, wyrzec się ojca, matki, ziemi, zapomnieć że się ich kiedykolwiek miało, a gdy dochodzi do dwa i dwa, prawie zawsze wyskoczy cztery. Liczby, tabliczka mnożenia, niby sam automatyzm, sama abstrakcja, a jak się okazuje najbardziej uparty, szowinistyczny aspekt mowy.

Może u prawdziwych dwujęzycznych bywa inaczej? Na przykład u Andrzeja? Mademoiselle Fabienne weszła w jej życie późnawo. Maria nauczyła się mówić po francusku ponieważ już mówiła po polsku. Szczepiąc na tym. Operacja następowała szybko, coraz szybciej, przeszła w odruch, ale jednak to był szczep, a nie pęd od korzenia. Było z nią tak jak z kimś, kto zamiast nóg postanowił używać doskonale funkcjonujących protez. Chodzi, biega, nie pamięta że ma nogi. Chude, zmartwiałe, kości bez mięsa, po pewnym czasie ani nie przeszkadzają ani nie pomagają, ale odciąć ich całkiem nie sposób. Zresztą nawet w odciętych kończynach podobno odczuwa się ból.

Pani z Wyspy właśnie zamyka czytelnię. Idzie do kafejki. Jak nie do tej, to do drugiej. Byle nie płatał się przy niej jakiś profesor albo, gorzej, student, początkujący Adam górny i durny.

Nie cierpiała ich. Może była o nich po prostu zazdrosna? Dziś specjalnie stanęliby jej na drodze.

Przez te wszystkie lata była świadkiem zmieniających się wokół Pani z Wyspy układów. I zmian w niej samej. Gdzie się podziała stosunkowo młoda kobieta, oparta o balustradę mostu, która dopiero z bliska, z profilu, przestała być mademoiselle Fabienne? Zmieniała się nawet w ruchach, aż się zmieniła. Ze żwawej, wszystkiemu i wszystkim radej myszki bibliotecznej stała się ostrożnie sunącą, niepewną własnych kroków, zastanawiającą się przy przejściu na drugą stronę ulicy staruszką. Ostatnio jakoś to się spotęgowało. Twarz... Nie chodziło o pospolite zmarszczki. Czas nie jest gdaczącą kurą o zabłoconych pazurach co przebiegł po białych płatkach okwitej jabłoni. To drapieżnik.

Trudno, postarzała, schorowana może, zmęczona, ale jest. Siedziała czy nie siedziała przy swoim stoliku, gdy Maria wstąpiła na kawę z blondynem, nie dalej niż w środek? Czy także ją szturchali anglosascy żałobnicy? Chyba siedziała. Dla Marii było taką potrzebą, takim pewnikiem że ona jest, że nawet jej nie widząc widziała ją samą ufnością przyzwyczajenia.

Nie tylko jej wygląd się zmienił, także i dwór interesantów, styl audyencji. Kolejne fale przybyszów stale jej potrzebowały, wciąż czegoś od niej chciały, ale teraz ton ich nabrał zniecierpliwionej wyższości. Wielu widziało ją po raz pierwszy i nie mogło wiedzieć, ani wyobrazić sobie, jaką była. Siwa, zawsze starannie przez szefa wyondulowana pani — o nic innego zresztą zdawała się nie dbać, tylko o swoje włosy — była dla nich emigracyjnym przeżytkiem. Wiedzieli więcej, lepiej. Wszystko im się od niej należało, ponieważ zawadzili o celę Bazylianów. Z pobłażliwą wyższością odwracali wzrok, gdy rozlewała wino po drodze do ust, gasiła papierosa obok popielniczki. Nie dostrzegali ironii w niebieskim i wciąż młodym oku przysłoniętym pomarszczoną powieką. Nie dostrzegali, że to ona płaci za swoje wino i ich piwo, podając kelnerowi plastikową portmonetkę pełną drobnych, by sobie z niej wygrzebał należną sumę. I pierwsi wstawali, odchodzili, zostawiając ją na mieliźnie. Na Wyspie. Muza ich pilnie wzywała, trąbiła na nich Ojczyzna, mieli niecierpiące zwłoki, ważniejsze spotkania, zebrania. A ona, co im miała załatwić, załatwiła. Zostawała przy zalanym winem, zabrudzonym popiołem stoliku i mało kto odprowadzał ją ze staropolską atencją do pustego gmachu Biblioteki, pomagał trafić kluczem do zamka, pchnąć ciężkie drzwi, zapalić światło na schodach.

Młode koguciki gardzą starymi kurami. Chętnie by je pospychały z grząd, a czasem i pozadziobywały.



Obserwując to wszystko z daleka, Maria cierpiała i buntowała się. Może źle, może przesadnie interpretowała postawy i gesty? Ale nie. Gesty więcej mówią od słów. Balet wyraża to, co zasadnicze, kto ważny, kto marginesowy, kto kochany a kto kocha, kto apróbuje, a kto ledwo skrywa niechętnie lekceważenie. Nieraz miała ochotę podejść do tamtego stolika, zamówić jeszcze po lampce wina, przypalić papierosa, a potem wziąć Panią z Wyspy pod rękę i odprowadzić. Znały się w końcu dłużej niż ktokolwiek na Wyspie.

Dziś to zrobi. Musi.

Sumiennie łyknęła porcję prosków, na wszelki wypadek podwójną. Może to źle? Wczoraj wieczorem także przekroczyła dawkę. W rezultacie ani nie spała, ani nie śniła, ani nie była przytomną. Całą noc. Co ten lekarz tam namieszał, jaka chemia miała według jego nowej koncepcji stanowić żelazną kurtynę, nareszcie zamykając ją w granicach jednego życia? Na czym polega normalizacja?

Bóg z nim. Dziś miała ważniejsze zmartwienia. Nie chodziło o zmianę recepty. Chodziło o gest, o skok. Zaraz! Już! Zanim zajedzie po nią czarna limuzyna.

W drodze do kawiarni ogarnęła ją pokusa by skrócić w prawo i zejść dawnym zwyczajem nad Sekwanę, chociaż na chwilkę. Zobaczyć czy wróciła do swego łóżyska, czy zesza z próbnej sceny? Raczej tak. Rzeki mają zmienny charakter. Pewno ławkę wiatr zdążył osuszyć i dziwią się młodzi Atrydzi, po przerwie spektakl podjęty, a widownia pusta.

A może nikt jej nieobecności nie zauważy, bo nikt nie zwracał uwagi na jej obecność? Myślała, że jest pożądanym świadkiem. Patrzyła. Ale czy była widziana? Cóż dla nich mogła znaczyć samotna kobieta, paląca papierosy, patrząca na nich, a może poprzez nich, skoro im nie przyklasnęła ani razu?

Decyzję powzięły znowu dzwony świętego Ludwika. Późno. Msza wieczorna. Albo znowu jakiś pogrzeb. Może zmarła fuksja flisaczki?

Nie skróciła w prawo. Przesza na drugą stronę ulicy Dwu Mostów i wyciągnęła rękę, żeby pchnąć oszklone, zasza parą drzwi kawiarni.

### XIII

... Lecz powie ktoś: a jak zmartwychwstają umarli? W jakim ukaza się ciele? O, niemądrzy... To, co zasiewasz nie jest

od razu ciałem, którym ma się stać potem, jest zwykłym ziarnem... Bóg zaś takie daje nam ciało, jakie zechciał, każdemu z ziaren właściwe. Są ciała niebieskie i ziemskie, lecz inne jest piękno ciał niebieskich, inne ziemskich. Podobnie rzecz ma się ze zmartwychwstaniem. Zasiewa się to, co zniszczalne, powstaje zaś niezniszczalne, sieje się niechwalebne, powstaje chwalebne... Zasiewa się ciało zmysłowe, powstaje ciało niebieskie. A oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w oka mgnieniu, na dźwięk ostatniej trąby — zabrmi bowiem trąba — umarli powstaną nienaruszeni...

Mszalik też mógłby stanowić *corpus delicti* i dowód tożsamości w braku gwiazdy na przegubie. Podniszczony, poplamiony, leżał na półce raczej dla ozdoby, pięknie oprawiony. Ale cóż, był polskim mszalikiem. Prawdziwa mademoiselle Marie nigdy by czegoś takiego nie nabyła u bukinisty, nawet za pół franka. Nie korzystała z niego, jeśli korzystaniem jest modlenie się. Lubiła go mieć. Podobny wykladała zawsze na bok ze swej torby Pani z Wyspy. Więc gdyby go kiedyś zgubiła...

Tym razem otwarła go na chybił trafił, przed wyjściem, już ubrana. Dla wróżby, na której stronie, co zapowie? List do Koryntian trafił w sedno, był pisany pod adresem wszystkich Marii. W jakim która ukaże się ciele? Po pytyjsku pasował do sytuacji, może do każdej sytuacji, nie tylko do tak zawikłanej jak jej własna? Dawał się interpretować na różne sposoby, pomagał podnieść głowę z nadzieją, albo dobijał rozpaczą. Bo co to znaczy: nie wszyscy pomrzemy? Znowu selekcja?

Zabrmi bowiem trąba... Czy aby nie syrena? Wzywająca do schronów...

W jej ostatnim obozie, ledwo syrena zawyła na alarm, strażnicy gnali do rowów, dla siebie zawczasu przygotowanych, zaś więźniarki zamykali uprzednio w którymś z pieców, żeby nie pouciekały w czasie nalotu. Pieców było cztery, gorący, w którym się wypiekały kapsle, stygnący, zimny, który się rozładowywało i pusty, który się napełniało z powrotem. Zamykano je nie w gorącym, jednak nie aż tak biblijnie, tylko w zimnym albo pustym. Zresztą, pod sam koniec, wszystkie cztery piece stały zimne z powodu braku węgla.

Tkwiły więc, upchane, zakluczone w tym gotowym, zbiorowym grobie, a nad nimi chwiały się wysokie, kruche maszty kominów fabrycznych. Pachniało gliną, kamionką, popiołem. Szybko robiło się duszno, gorąco, smrodliwie. Mimo zaryglowanych

hermetycznie drzwiczek dochodziły z zewnątrz odgłosy wybuchów. Następna bomba wcale nie musiałaby trafić w samą fabrykę, wystarczyłoby żeby podmuch mocniej zachwiały któryś z kominów.

Alarmy trwały czasem bardzo krótko, jeśli alianckie eskadry spieszyły ze śmiercią gdzieś dalej, ale wyczekiwanie na odwołującą je syrenę ciągnęło się zawsze przez wieki. Wydawało się, że samoloty trą brzemiennymi brzuchami o kominy. Któryś w końcu zawadzi i poroni.

Były takie, które cały czas modliły się chórem, wyśpiewywały litanie. Inne liczyły wybuchy ze złym triumfem kibiców. Giną Niemce! Inne po prostu się bały. Strach jest pełnym zajęciem.

Bardziej od bomb, Maria bała się zamknięcia, utkwienia tam, na zawsze, miazgi sprasowanych ciał. To był rozkład masowy, odczłowieczał do reszty. No, ale czyż śmierć nie odczłowiecza, nie rozkłada, nawet gdy jej sceną nie jest zimny piec, tylko własne łóżko zasłane sztywnymi od krochmalu prześcieradłami?

Z pieca czy nie z pieca, uciekała w sen, na stojąco. Szczęśliwa, gdy to jej się udało. Uciec w sen, znaczyło wysunąć się z własnego i ze zbiorowego ciała, z własnego i ze zbiorowego strachu, z własnego i ze zbiorowego czasu. Ideał, móc wyłączyć się tak z życia, jak z umierania, przespać jedno i drugie.

Głos syreniej trąby obwieszczał wreszcie koniec końca świata. Zgrzytały rygle drzwiczek. Wyłaziły po kolei. Strażnicy poprawiali pasy, dopinali guziki mundurów, otrzepywali czapki powalane błotem rowów, srożyli się w dwójnasób chcąc zatrzeć ślady własnej paniki. Poniektórzy lecieli po zapomniane w schronie karabiny.

Było pewne i oczywiste, że wszystkie te naloty przestały razem, ciało w ciało, zamknięte w jednym piecu, Maria z dziewczyną z lasu. Nieraz musiały odwracać twarz, jedna od drugiej, dla uniknięcia wzajemnych, głodomorowatych oddechów. Twarda wypukłość woreczka nieraz musiała ugniatać pierś czy plecy Marii. Nigdy na to nie zwróciła uwagi. Każda z nich miała coś zawieszzonego na szyi, jakiś skarb, suchary na jeszcze czarniejszą godzinę, a w każdym razie łyżkę. Ile alarmów, tyle razy obie schodziły do wspólnego grobu żeby, gdy syrena ponownie zawyła, wyjść i zatoczyć się. Ten sam ostry sopel górskiego powietrza przesywał im nagle płuca. Odwykłe od światła źrenice oślepiały im ta sama strzała słońca. Wspólna im była myśl: to jeszcze nie tym razem.

Wychodziły z pieca bynajmniej nie przeistoczone, tylko takie, jakie je tam wepchnięto, w tych samych niechwalebnych ciałach.

Każda sobie. Żyły, były, umierały wspólnie, a nigdy się nie spotkały.

Dziewczyna z pewnością należała do tych, które w panicznym zdziwieniu przepychały się do odryglowanych drzwiczek pieca, po zemdlnych, po zduszonych, byle prędzej, byle wyjść. Ona chciała żyć. Aż zazdrość, móc tak chcieć! Maria nie tyle wychodziła, co wypływała, unoszona falą przeciskając się przez ciasny wąż. Pół spała. Syrena ledwo jej dotyczyła.

Inaczej tego wieczoru. Instynkt, którego jej anormalnie brakowało w więzieniach, obozach i piecach, a także i potem, na Wyspie, odezwał się ze zdwojoną siłą. Zaczęło jej się spieszyć dziko, za wszelką cenę chciała, musiała dopchać się do wjazdu. Nie dać się zamknąć z powrotem!

Podobno więzienie to największe, skondensowane marzenie o wolności, pod największym ciśnieniem. Napęczniałe od nadziei wyzwolenia, ucieczki. Ktoś, kto to napisał, pewno sam nigdy nie siedział, po samarytańsku nawiedzał cele. Więc uogólniał. Uczucia takie były jej dotąd obce, a nie musiała chyba być aż takim wyjątkiem. A przyzwyczajenie? Przeżywa się raczej dzięki przyzwyczajeniu, nie dzięki marzeniom.

I nagle wszystko w niej się przekreśliło. Andrzej, zdejmując maskę, odkrywając karty, przywrócił jej strach, wolę, nadzieję.

Pchnęła więc nareszcie drzwi kafejki. W środku było duszno i tłoczno, jak w piecu. A jeśli Andrzej cały czas siedł za nią ulicą świętego Ludwika, jeśli to jego ręka przytrzymuje drzwi za jej plecami, choć goście od baru krzyczą: przeciąg! Zamykać! I on ją zaraz stąd wyciągnie, nim zdoła dopchać się do stolika Pani z Wyspy... Gdy ona musi, chce ją ostrzec. Przeżyć! Wrócić!

— Przeżyjemy... Powrócimy...

Kiedy od końca korytarza doszedł do niej znajomy kaszel i te dwa słowa, miała wtedy jeszcze nadzieję, chęć, wolę przeżycia i powrotu. Za oknem, za niskim płotkiem, po drugiej stronie drogi, była wolność. Głos ojca nakazywał, radził, dodawał odwagi. Ale zaraz zamilkł, przytrzaśnięty drzwiami. Wtedy kazano jej odwrócić się od okna do ściany. Zmroziła ją krew na linoleum. A gdy wepchnięto ją przez inne drzwi, do innej klasy, z maszyną do pisania na szkolnej katedrze, z papierem już wkręconym w wałek, było to jakby ktoś na całą resztę życia, jakiegokolwiek życia, zaryglował za nią wąż do zimnego pieca. To się nazywa załamanie.

Załamana się. Wydała wszystkich i wszystko. A do reszty złażowała się, gdy parę dni potem rozległa się salwa ze szkolnego boiska. Bezpośredni skutek jej gorliwego dyktanda?

Czemu jej także nie wyprowadzili na boisko? Czemu nie ustawili ich tam razem, pod rząd, z ojcem, Andrzejem, Haliną? Najgorsze ze wszystkiego było uczucie, że jej darowano, że ją wyłączono w nagrodę za dobre sprawowanie, za współpracę. Ojciec, Halina, Andrzej padli, ją kula ominęła. Z własnej winy straciła okazję bycia razem na zawsze. Od tego momentu sama na siebie wydała wyrok, ustawiła się poza życiem. Czekwała. To było w końcu tylko kwestią czasu.

Tymczasem tych dwoje przeżyło. Ojciec nie, ale Andrzej i Halina. On zadał sobie nawet trud, żeby ją odnaleźć. Wzruszające. Romantyczne. Gdyby mu chodziło o nią. Nie o złoto.

To miał być Andrzej?

W pokoiku nad jadalnią kolejne fazy zdziwienia przeważały jeszcze nad paniką. Właściwa ich rozmowa odbyła się w samochodzie. Czyżby Andrzej obawiał się, że ściany różowej oberży mają uszy? Dopiero w drodze przestał zadawać pytania, postawił ultimatum.

Ona nie ma co wypierać się, że nigdy nie wróciła. Widziano ją w kraju, tuż po wojnie. Są świadkowie. Są dowody. Oczywiście, już pod cudzym nazwiskiem, już na fałszywych papierach. Była, wykopała złoto, wywiozła. W tamtych czasach ludzie przemycali większe skarby. Stąd mieszkanie na Wyspie, stąd biżuteria. Po pierwsze ma oddać resztę. Niemożliwe, żeby wszystko przejadła, gdzieś to ma ulokowane, pomnożone. Obcina kupony i żyje sobie spokojnie. Zaś jemu sprawiedliwie należy się część. Jest w takiej sytuacji, że potrzebuje pieniędzy i to pilnie. Ma nóż na gardle.

Jaki nóż na gardle?

O, nie był rad, że mu się z tym nożem wyrwało, że to zauważyła. To nie jej interes. Ma zwrócić i koniec! Nie dość na tym. Ponieważ tutaj tak się przytała, z powodu tej malwersacji, a może jeszcze z jakichś innych powodów, i tak wrosła w tutejszy świat, że nikt na Wyspie nie podejrzewa, by mogła być Polką i że wszystko rozumie, ma odtąd zacząć bywać, działać wśród starych i nowych emigrantów, wciąż jako Francuzka. Pozapisywać się do wszystkich komitetów pomocy, pełno teraz polonofilskich powołań, słuchać co kto mówi, patrzeć, co kto robi. Za czyje pieniądze. Jakie kto z kim ma kontakty. I wszystko przekazywać. Dostanie instrukcje, komu i jak.

Albo?

Albo zajmie się nią policja. Na początek francuska. Zresztą wystarczy. Wieloletnie podszywanie się pod cudzą tożsamość nie jest sprawą niewinną. Na to nie ma przedawnienia. Dlaczego,

po co, na czyje zlecenie? Co zrobiła z prawdziwą Marią? Do tego wiele nie potrzeba, jeden telefon. Czy ona naprawdę się ludzi, że w jej *dossier* na Prefekturze nie ma znaku zapytania? Że jej nie podejrzewają? Nie obserwują, od samego początku? On to wie. Ze źródła. Ma swoje chody. Dostarczy im dowodów na wszystko, gdyby mieli jakiegokolwiek wątpliwości. Więc...

Nie mówiła nic. Kiwała głową, jak lalka z Norymbergi, którą zrobiono tak, by potakiwała. Andrzej wziął to za zgodę, za kapitulację. Zresztą gdzieś się spieszył.

— Cieszę się, że jesteś rozsądna — rzucił na pożegnanie. — Że doszliśmy do porozumienia. Zobaczysz, wszystko się świetnie ułoży, jeszcze mi podziękujesz. Wiecznie trwać to nie mogło, wcześniej czy później miałybyś duże przykrości. A tak będziesz pod naszą opieką. A więc do jutra.

Trochę mu wierzyła, a trochę nie. Zbyt się zrobił demoniczny, grał rolę. Ale szantaż był jednoznaczny, pogrożki może nie tak całkiem czcze, propozycja jasna. Takie rzeczy zdarzają się, czemu by i jej nie miały się zdarzyć?

Do jutra, czyli do dziś wieczorem. Zaraz. Ma ją zawieść na jakąś z kimś decydującą rozmowę. Póki co, nikomu ani słowa. Wtedy dopiero mogłoby się to źle dla niej skończyć. Niech nie myśli, że nikt nie ma jej na oku!

Tak więc czarna limuzyna już po nią jedzie. Staje na czerwonych światłach, rusza. Gdzieś w jakimś pokoju czeka maszyna do pisania z papierem wkręconym w wałek. A jeśli to się powtórzy i znowu zacznie im dyktować to, co do tej pory niechący wpadło jej w uszy? Ważne, czy nieważne, kto to może ocenić? W każdym razie zobowiązujące na przyszłość.

Nie mogła sobie pozwolić na taką powtórkę. Pani z Wyspy! Od przedwojnia tutejsza, musi mieć jakieś francuskie protekcje, zaplecza. Jest Kimś. Ona uwierzy, zrozumie, zechce pomóc. Na początek udzieli jej azylu na tę noc. A potem jakoś zadziała. Zapobiegnie. Andrzejowe wtyczki i chody, jeżeli on je naprawdę ma, będzie można jakoś zneutralizować.

Od czego zacząć, jak opowiedzieć tak skomplikowaną historię, zwłaszcza gdy nikomu niczego nie opowiadała od lat? Czy uwierzy? A gdyby nie uwierzyła, nie podała ręki, co zostaje? Rzeka. Skręcić ulicą Dwu Mostów w prawo. I znowu w prawo. Schodkami, na teatralne nabrzeże. Zejść w dół po oślizłych schodkach i po prostu zsunąć się. Lepsze to niż skakać. Skakać nie umie, a zresztą ktoś mógłby zauważyć z mostu, skok i plusk, stłukłby szybę w policyjnym, alarmowym aparacie i zaraz syreny, łódź ratunkowa, sztuczne oddychanie. Posterunek pogotowia

rzecznego tuż po drugiej stronie Sekwany, nie zdążyłaby pójść na żadne dno.

Cóż z tego, że wzięła proszki, wychodząc? Sen dopadł ją prędzej od pogotowia rzecznego. Była trzeźwa jak nigdy, biegła w stronę kawiarni wcale nie swoim ospałym krokiem fryzjerki z Wyspy, tylko tamtym sprzed lat, gdy z Horacym pod bluzką spieszyła na tajny wykład, albo z paczką zadziwiająco ciężką, którą ojciec powierzył jej do pilnego gdzieś dostarczenia. Już dobiegła, już otworzyła drzwi, rozglądając się od progu za Panią z Wyspy tym pilniej, że ktoś wszedł zaraz za nią, nie wiadomo kto i wionęło mroźnie. I nagle obrót sceny. Nie robiąc ani kroku dalej, znalazła się w zupełnym gdzie indziej. Jakby w niedawno czytanej książce, czy w niedawno oglądanym filmie. Nie w lagrze, w łagrze.

Było im zimno z Andrzejem, tkwili w tłumie, ale oblepiające ich ciała były po syberyjsku lodowate. Odór wzajemnych oddechów też mroził do szpiku kości. Śmierdzieli sobie nawzajem jak stare psy o popsutych zębach. Więc, odwracając od siebie głowy z ukrywanym wstrętem, robili powtórkę. Ojciec Sebastian zadał, zaraz ich przepyta. *Beatus ille qui procul negotiis...*

Szczęśliwy, kto... Kto? Kto im podpowie? Wiedzieli, o kogo Horacemu chodziło. O tych, którzy idąc za białym wołem na fragmencie fryzu, orali. Kobieta miała czerwoną chustkę na głowie. Jak do nich trafić, którędy, jak wydostać się z miazgi ciał, z zimnego pieca? Oni by im podpowiedzieli dalszy ciąg, a tylko całość, wyskandowana bezbłędnie, mogła ich uratować. Żeby choć jedno z nich umiało, przypomniało sobie, oboje byliby zbawieni.

Czemu im tak cuchnie z ust? Przecież zimno konserwuje. W takiej zamrażalni zęby nie powinny się psuć. Nie powinny rozkładać się wewnętrzności. Buntowała się przeciw temu pogwałceniu praw fizyki. Nieboszczyków milionerów zamraza się i przeżyją do końca świata nietknięci. Myśli i pamięć także uległy zamrożeniu. Nie sposób wydłubać u nich dalszych słów elegii. A przecież dopiero co robiła powtórkę z mademoiselle Fabienne. Świetnie umiała.

Gdzież ta książka, gdzie Horacy? Wsunęła go pod bluzkę, wychodząc z domu. Teraz nie ma żadnej bluzki na sobie, jest naga. Wszyscy są nadzy, nic ich nie chroni, niczego przy sobie nie mają, ani książek, ani woreczków, ani łyżek, ani dowodów tożsamości. Praw pobytu. Trwają w tłumnym skostnieniu, ona i Andrzej, dwa najbliższe sobie kościotrupy, serca w nich dzwonią szklane, podchodzą im pod gardła ze strachu i ze wstrętu.

Serca wszystkich dzwonią jak jeden dzwon. A to nie pora na dzwony. Ma się odezwać syrena. Albo trąba. Na taki znak czekają. Wtedy wylaz zostanie otwarty i będą mogli przepychając się łokciami, gryząc zębami, po trupach wydostać się na wolność.

A jednak jest! Jest książka. Książeczka. Nie żaden Horacy, tylko mszalik pełen obrazków. Pełen Matek. Ostrobramskich, Częstochowskich, Kalwaryjskich, Studzieńskich. Wszystkie powinny być Nieustającej Pomocy. Pełno też Dzieciątek na sianie, pełno Aniołów Stróżów. I pełno nagich Ukrzyżowanych, w rozmaitych wersjach i stadiach agonii. Pod jednym, napiętym jak łąk, gwałcącym prawa ciążenia i rozumu, napis: śmierć jest przejściem z życia do życia.

Nie dla niej taka dewiza. Z życia przechodzić do życia? Znowu? Musi być jakieś inne przejście, inny wylaz.

Książeczka kartkowała się sama, sypiąc świętymi obrazkami, pamiątkami święceń kapłańskich, pierwszych Komunii i po kołędzie. Jeszcze jedna Matka Boska, z Lourdes. Napis: Bóg wystarczy.

Jasne, jeżeli jest, musi być wystarczający. Jeżeli jest, niech sprawi by wystarczył. Jakikolwiek wylaz się uchyli, niech czeka po tamtej stronie i żeby to wystarczyło na zawsze.

Wszyscy tę książeczkę przeglądali, obrazki rzutowały się na biały jak śnieg, zimny jak lód ekran zbiorowej głowy. Recytowali litanie, nie po babelsku, w rozmaitych językach, tylko w jednym, ludzkim, obozowym *volapück*'u. W języku dezesperanto, wulgarnej łacinie potępieńców.

Zimny piec? Tak źle chyba nie jest. Po prostu paryskie metro. Stańło w tunelu. Strajk? Może alarm, tym razem nie próbny, bo to coś za długo trwa. Metro z pewnością, bo z kąta lodowni zaczął ku nim przeciskać się ktoś, brzdąkając na gitarze. Wyśpiewując na cały baryton oczy czarne.

— Masz drobne? — zapytała Andrzeja.

To miał być Andrzej? Bez grosza przy duszy, zgubiony, zmartwiony? Z nożem na gardle? Brodaty baryton już stał przy nich wyciągając kaszkiet po datek.

— *Poczemu czornyje oczy?* — zapytał Andrzej, żeby się wykręcić. Po rosyjsku. Ale i ona znała nagle ten język.

— *Wy dysydent?* — zapytała triumfując nad Andrzejem. I, ponieważ też nie miała pieniędzy, wrzuciła do kaszkietu bransoletkę. I tak zepsuta.

Nie podziękował, zaśmiał się dziwnie i już go nie było.

— Ty nie lubisz żyć? Nie chcesz stąd wyjść? — szarpnął ją Andrzej za ramię ze złością i rozpaczą. — Jaki dysydent? Ty



nie widzisz? To jest *agent capteur*. Łaps. O, już stoi przy włą-  
zie i filtruje. Po coś mu to dała? Czym się teraz wylegitymu-  
jemy?

Właz był tuż. Zaraz zagrzmi trąba. Wszyscy przejdą. Wyjdą.  
Oni z Andrzejem zostaną w zimnym piecu na zawsze. Stracili  
szansę. Przez nią. Dała się głupio nabrać.

— Dlaczego? — wołał i wołał Andrzej nad jej uchem. —  
*Warum?*

— *Warum sind die Veilchen so blass?* — śpiewał baryton  
z samochodowego radia, z ulicy. Ten ktoś, kto za nią wszedł,  
nareszcie zamknął drzwi. Przestało grać, przestało wiać, już ani  
dlaczego, ani *poczemu*, ani *warum*. Pani z Wyspy siedziała w  
głębi przy zalanym winem stoliku.

#### XIV

Normalnie, w czasie burzy, najpierw uderza żrenicę błyskawica,  
a potem ciężko dudniąc wlatuje w ucho grzmot. Po tej stronie  
rzeczywistości, na tej ziemi, światło ma większą szybkość od  
dźwięku. Tymczasem w jej snach światło i dźwięk nadlatywały  
na tej samej częstotliwości drgań, a niekiedy, wbrew wszelkim  
prawom fizyki i logiki, dźwięk wyprzedzał światło, był zwiastu-  
nem. Niczego jeszcze nie widząc, już to słyszała, a nawet czuła,  
w sensie woni, dotyku, smaku. Kiedy indziej obraz dawno już  
znikł, gdy dźwięk z nim przecież związany ociągał się, jak zaga-  
piony aktor wyśpiewujący swą arię przy zapuszczonej kurtynie  
i wygaszonych reflektorach. Obudzona, słyszała nadal głosy, nie  
ich echo. Autentyczne głosy. Przedostawały się razem z nią na  
brzeg rzeczywistej Wyspy i niekiedy okazywało się, że także były  
rzeczywiste, po prostu sen wykorzystał ich podkład w sobie wia-  
domych celach. Czy Joanna d'Arc, patronka „Zanetek”, nie była  
przypadkiem narkoleptyczką?

Tak i teraz. Fischer Dieskau z samochodowego radia rzeczy-  
wiście pytał i pytał: *warum?* Zimno było syberyjskie. Wicher  
gnał ekspresem poprzez tor ulicy świętego Ludwika od jednego  
czubka wyspowego czółna po drugi, przenikał do kości, czuło się  
swoją nagość. Sen wykorzystał te dekoracje i rekwizyty, nic  
dziwnego, normalne sny także co mogą to wykorzystują.

Ale czas... Najgorzej z czasem, zwłaszcza gdy komuś tak się  
spieszycy jak jej. Na jak długo utkwiła w łagrowym piecu, w zasto-  
powanym metrze? Nie ma co patrzeć na zegarek, skoro ten ktoś

za jej plecami już zamknął drzwi. Wszystko powie Pani z Wyspy, niech tylko dopcha się do jej stolika. Po jakimu? Oczywiście po polsku.

Tak, to pewne, żadne *bonjour*, bez wahania dzień dobry, spontaniczne. Już tylko ten jeden język miała w ustach. Odpadła jej francuska proteza.

Od pierwszego krzyku i pierwszej na ten krzyk odpowiedzi, a i przedtem z pewnością, na skroś membran macierzystego brzucha, wnika w nas jakaś mowa, kodeks łączności. Nabywa ją się w inny sposób i na innej zasadzie niż równie mozolne sterowanie mięśniami dłoni, by chwyciły, nóg by chodziły. To jest dane, przewidziane, trzeba sobie to po prostu przećwiczyć. Ale mowę trzeba zdobyć, przejąć. Dana jest tylko jej możliwość, miejsce na nią w mózgu, gdzieś w sąsiedztwie ośrodka woli. Żeby mówić trzeba chcieć nawiązać porozumienie. Chcieć być razem.

Pierwszy język jest bazą. Można na nim inny, inne zaszczepić, można zapomnieć, odzwyczaić się, odrzucić, ale nie sposób całkiem go w sobie skasować, bo te inne z niego biorą soki. Nie można by ich się nauczyć, zaszczepić ich w sobie, gdyby nie jego korzenie. Dwujęzyczność, nawet idealna, nie jest identycznością, któryś z języków sięga głębiej, ponieważ pierwszy zakiełkował.

Usta Marii odzwyczały się, to pewne. W oberży jąkała się i Andrzej podkpiwał sobie z niej, że ma akcent wierzby nad Sekwaną. Brakowało jej słów, zbyt długo zamrożonych rozmyślną afazją. Ale z każdą chwilą szło jej lepiej, polski zaczął gwałtem przepychać się do włazu. Śpiewak, tknięty głuchotą, potrafi i po latach odśpiewać bezbłędnie swoją popisową arię.

Gdy zechce. Albo gdy musi. Chciała i musiała.

Z zaszczepieniem w niej francuskiego były z początku trudności, nawet załazek dramatu. Nie tylko z powodów językowych.

Co łączyło ojca z mademoiselle Fabienne, już wtedy starzejącą się panną? Samotna Francuzka, wyrzucona na polski brzeg przez jakieś burze sercowe, uczepliła się ich domu jak ktoś, kto nie ma i nie chce mieć innego wyboru. Bezradny wdowiec i dziecko byli do wzięcia. Mademoiselle Fabienne, porządna i systematyczna, zabrała się w pierwszej kolejności do wzięcia Marii.

Jedna kobieta dała jej życie. Druga postanowiła wychować ją i wyposażyć w dodatkową mowę. — *On ne sait jamais* — mówiła ojcu — to jej się zawsze może przydać w życiu. Ojciec zgadzał się na wszystko, miał zaufanie, a zresztą, wiecznie zajęty, chciał mieć spokój.

Było takie lato językowego przekręcenia o 360 stopni, kiedy spora już dziewczynka znalazła się sam na sam z obcą, jeszcze niezbyt jej miłą osobą, w całkowitej od niej zależności. Ojciec wydał ją na pastwę, po raz pierwszy zawiódł. Według teorii mademoiselle Fabienne, którą w polszczyźnie całkiem niezłe wyćwiczył jakiś lokalny uwodziciel, jeżeli chce się kogoś dobrze i szybko nauczyć pływać, należy wrzucić go bez pasa ratunkowego na głęboką wodę. Cóż to za nauka, lampa — *lampe*, nos — *nez*! To dobre dla martwych języków. Trzeba, zwłaszcza na początku, stworzyć takie okoliczności, żeby przyswojenie sobie kodeksu drugiej mowy stało się koniecznością życiową. Chcesz jeść? Mów! *Manger*! Na zasadzie psa Pawłowa.

O wyjeździe do Francji nie mogło być mowy. Dla osiągnięcia podobnego układu spędziły więc parę miesięcy w wynajętej przez ojca, odciętej od świata leśniczówce.

Nigdy przedtem i nigdy potem mademoiselle Fabienne nie była taka gadatliwa. Od rana do wieczora pławiła dziecko we francuskiej wodzie, pamiętając żeby powoli, wyraźnie, nie słówkami tylko całymi łańcuchami skojarzeń. Głucha na słowo „chleb”, póki nie usłyszała *pain*, wyśpiewując na spacerach, jak jakaś Żanetka, *marchons ensemble*, tak świetnie wyrównujące krok, a do snu, do odwróconych na razie pleców dziewczynki udającej, że już śpi, „*il était un petit navire*”...

Do leśniczówki donosiła im nabią i warzywa dziewczyna z najbliższej wioski. To było, zwłaszcza w pierwszym okresie zablokowania się i buntu, jakby ktoś z wolnej stopy jeden jedyny nawiedzał celę, izolatkę. Mała Maria czyhała na nią, opijała się mlekiem, objadała twarogiem, byle by te dostawy stały się częste i niezbędne. Któregoś wieczoru wymknęła się czujności mademoiselle Fabienne i pobiegła za Janką w las.

W lesie noc zapada prędzej niż w domu. Ścieżki się zacieśniają. Drzewa żyją inaczej, ich szum straszy. Nie uszła daleko. Co za ulga, odwróciwszy się, zobaczyć światło w oknie i wiedzieć, że ktoś tam czeka. I nawet uchylił drzwi.

Nieudana ucieczka, dobre i mądre powitanie odblokowały sytuację. Spodobały się Marii te wakacje, zbieranie jagód i grzybów, spacer, kołysanki. Cierpliwa życzliwość, pewna siebie czułość zatriumfowały. Jesienią wróciły obie do miasta w nie tylko językowej komitywie. Weszło w zwyczaj, że w domu, od progu panuje francuski. Ojciec i tak był milczkiem, miała to trochę po nim. Dopiero na Boże Narodzenie, łamiąc się z nimi opłatkami — a wilię zrobiła tradycyjną, po uszy obłożony się książkami kucharskimi i zasięgając rady sąsiadek — mademoiselle

Fabienne uznała, że można zawiesić cenzurę i pierwsza zaintonowała „Wśród nocnej ciszy”. Tym łatwiej, że melodia była z jej stron, prowansalska.

Trudności, niewielkie zresztą, zaczęły się w szkole, w wyższych klasach, przy zadawanych tłumaczeniach, głównie w kierunku z polskiego na francuski. Winne były czasy. Czas przeszły. Polszczyzna okazała się krainą przeszłości, dokonanej i niedokonanej, gdy po francusku to, co było niefrasobliwie przez język traktowane, zmartwiało i trzeba było dosztukowywać protezę całego zdania, by wyrazić to, na co po polsku wystarczał mały wariant samogłoskowy. A jeszcze i częstotliwość! Padłam, jeden raz, padałam wielokrotnie, nie mówiąc o tym że upadłam raz na zawsze, więc leżę.

Wbrew wszelkim spodziewaniom i ambicjom mademoiselle Fabienne, Maria miała więc doskonałe stopnie z ustnego, z tak zwanej konwersacji i z wypracowań, za to kompromitująco płała się, gdy wypadało przekładać. Pewno po prostu do tej czynności brakło jej uzdolnień. Nie umiała wskakiwać z jednego języka w drugi, przełaz pomiędzy nimi był w jej głowie za ciasny. Ale i tak do wojny przodowała w klasie. Dopiero na tajnych wykładach zaćmił ją Andrzej. Stuprocentowo dwujęzyczny, jak chwaliła się mama A.

To miał być Andrzej? Przeciskając się ku stolikowi Pani z Wyspy, Maria uświadomiła sobie, skąd wziął się w jej śnie ów *agent capteur*. Łaps, wyłapywacz. Po prostu z gazety. Chodziło o czasy tutejszej okupacji, dopiero teraz odbrażowywane. Autor artykułu dowodził, że ponieważ Pétain czy tam Laval nie mogli i przy największej gorliwości dorobić się normy obiecanych Niemcom kontyngentów, do polowania na ukrywających się Żydów użyli — Żydów. Znalazło się trochę takich, którzy za obietnicę ocalenia wyłapywali i wydawali swoich. Zwano ich właśnie *agents capteurs*, to był ich oficjalny statut, wchodzili w skład funkcjonariuszy państwowych. Wszędzie się tacy znajdują, pod terrorem albo po tresurze. Bo czy wilczury powinny polować na wilki?

Andrzej chciał z niej zrobić takiego wilczura. Nie użył żadnego szokującego słowa, poobwijał wszystko w bawełnę. Potakiwała. To miały być nic nie znaczące, nikomu nie szkodzące informacyjki. Nawet zabawa, coś jak głuchy telefon, słuchać i niby nie słyszeć, nie rozumieć, być w środku, gdy wszyscy myślą, że chronią ich zamknięte drzwi języka i przestają się krępować. No

i przyjemne połączone z pożytecznym. Miałyby świetnie zapewniony byt.

Tego nie robi. Ale dopiero sen, wiedząc jak to się nazywa, postawił kropkę nad i.

— Nie tęsknisz? — spytał Andrzej przy ślimakach, w pierwszej fazie rozpracowywania, przyspasabiania.

Nie, nie tęskniła. Żeby tęsknić, trzeba kochać. I mieć choćby najmniejszą nadzieję. Nie czuła tęsknoty, miłości, potrzeby. Niczego się nie spodziewała. Ale też i nie nienawidziła. Więc jak mogłaby się zgodzić na coś takiego?

Ale on? Zawodowy *agent capteur*? Nienawidził? Też chyba nie. Raczej robił to, zgodził się to robić, ponieważ lubił żyć. Nie było dla niego zbyt wysokiego okupu. Może i nienawidził, dla własnego usprawiedliwienia, tych ludzi tutaj, którzy mu psuli dobre samopoczucie. Albo mu całkiem przemyto mózg. Wszystko możliwe. W pewnym momencie, już w samochodzie, już w drodze na Wyspę, powiało jej od niego zimnem odczłowieczenia. Spod kolejnych masek blondyna, który był Andrzejem, wyjrzała pustka. Dobry Samarytanin, romantyczna sympatia wojenna, niedoszły matematyk, znawca poezji i orientalnych mądrości, nie był nawet zwykłym szantażystą. Był nikim. Wykonawcą.

I pytał się, czy ona tęskni za krajem? Znowu podплыnęła skądś kolejna cytata, jako że wszystko było już kiedyś przez kogoś i przeżyte i powiedziane. Rodzimy się jako członkowie narodu, ale Ojczyznę sobie wybieramy. I ona nas sobie wybiera, jeśli jej dobrze służymy. Wybierając Polskę, wybieramy w sobie naszą wolność. Wybór niełatwy. Dokonuje się nie tylko przez potwierdzenie, ale i poprzez sprzeciw. Źle rozumuje ten, kto sądzi że sprzeciw jest aktem zerwania. Sprzeciw to także akt twórczej wzajemności. Kresem wzajemności jest zdrada. Kto zdradza Polskę, umieszcza się poza obszarem polskiej nadziei...

Nie, ona nie zdradziła! Wtedy, w szkole, dyktując maszynie, była wystraszonym, nieprzygotowanym do tak okrutnego egzaminu dzieckiem. Nie zdradziła, dożywając w cudzej skórze. Tak czy tak nie lubiła żyć. Sama siebie skazała na śmierć cywilną, skoro ominęły ją kule.

W porównaniu z Andrzejem była niewinna. On także mógł załamać się, mógł wszystko wysypać. Mógł nawet, pod jakimś śmiertelnym szantażem, na wszystko się zgodzić za cenę przedostania się do wyłazu z zimnego pieca. Ale nie musiał niczego dotrzymywać. Wyjeżdżał przecież. Mógł nie wracać. Mógł zmienić identyczność, przybrać czyjąkolwiek skórę. Zamiatać ulice, rąbać lasy. Skoro ona może być fryzjerką i nawet to lubi. Aż

tak cały czas nie mogli go mieć w rękę. Chyba że z miejsca zrobił coś takiego, co mu uniemożliwiło odwrót.

Nie pora zastanawiać się nad tym. Teraz był wilczurem i koniec. Na dodatek wygłodzonym i z jakimś nożem na gardle. Potrzebował na gwałt złota. Pewno raczej dla siebie, bo „oni” mają tego dosyć.

Dlaczego Andrzej nie był obecny przy jego zakopywaniu? Czyżby już wtedy ojciec tak całkiem mu nie ufał? Nie, myśli głupstwa, wtedy Andrzej był jeszcze Andrzejem. Swoją drogą szkoda, że nie został przez ojca wtajemniczony. Dawno by sobie to złoto wykopał i nie gonił by tutaj za nią, nie miałby żadnego noża na gardle. Po prostu mama A nie wypuściła synka z domu wieczorową porą podejrzewając randkę z którąś z pannic. O ile nie z obiema.

Parę dni przedtem ojciec uroczyście zaprzysiągł całą trójkę. Wzorców do tego rodzaju ceremonii nie brakło, sam je odziedziczył a pewno także zapamiętał z równie konspiracyjnych lat własnej młodości. Zasunięte firanki, krucyfiks zdjęty ze ściany, Grottger *redivivus*. Zostali członkami Organizacji. Jakiej? Nieważne. Tajnej, bojowej. Zostali pasowani na rycerzy.

Formułę przysięgi może zaimprovizował, a może była ustalona. Po kolei kładli palce na krzyżu i ślubowali. W obliczu Boga Wszchemogącego i Najświętszej Marii Panny, królowej Korony Polskiej, kładę ręce na ten święty krzyż znak męki i zbawienia i przysięgam, że będę walczyć o wyzwolenie Ojczyzny z niewoli, ze wszystkich sił moich, aż do ofiary życia. Wszelkich rozkazów będę bezwzględnie słuchać, zaś tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie miało spotkać. Tak mi dopomóż Bóg!

Nie dopomógł. A przysięgała z takim przejęciem, tak szczerze! Nawet Andrzej, światowiec, bywalec, sceptyk, był wzruszony. Halinie łamał się głos. Z patriotycznym entuzjazmem wsuwali się w dziedziczne role, jeden Kmicic, dwie Emilie Plater, łączniczki Komendanta. Brakowało osiodłanych koni gryzących wędzidła u wrót i trąbki wzywającej do boju, brakowało białych sukien i jakiegoś Chopina czy choćby mazura. Podejrzana cisza wiała od drzwi, z pokoju zarekwirowanego przez Volksdojczów. Na dziurce od klucza zawiesił ojciec swój kapelusz, wszystko odbywało się teatralnym szeptem, przy blasku świec. Nie mogli podglądać, najwyżej podsłuchiwali. Może podsłuchali?

A złoto? Złoto jest ciężkie jak broń. Dużo tego było, skarbiec bankowy. Trzeba było ukryć je przed Niemcami, przyda się Ojczyźnie czy Organizacji. A w razie czego, przy wpadce,

tylko samo co za broń trzeba by za nie zapłacić, żadnej różnicy. Ten sam trud i te same emocje przy zakopywaniu. Jedno i drugie nie było niczym własnością prywatną.

Szumiały drzewa podmiejskiego lasu. Wyszli z ojcem konspiracyjnie, tak by nie dostrzegło ich okno narzuconych współlokatorów, na szczęście zaciemnione. Dźwigali te paczki z mozołem. Ojciec miał trudności z hamowaniem kaszlu. Nie spotkali nikogo na drodze. Szczęście. Wtedy, przy ojcu, prawie się nie bała. Księżyc przebił się zza chmur akurat na tyle, na ile był potrzebny, dół był płytki, ziemia jeszcze nie przemarzała, szybko i łatwo z tym się załatwili. Nie była to aż tak straszna ekspedycja, żeby ją specjalnie zapamiętać. W drodze powrotnej, także bez przygód, ojciec przepytał ją na wszelki wypadek: która sosna? W którym rzędzie? Umiała. Gdyby ją o to zapytano w szkole, podyktowałaby maszynie także i to, bez zająknięcia. Ale dziś? Może ją Andrzej krajać i posypywać solą. Tak mi dopomóż Bóg! Nie sztuka nie wysypać czegoś, czego się nie pamięta.

Zresztą ona tylko paczki pomagała nieść, zaledwie wiedziała co jest w środku. Nie widziała tego złota na oczy. Co miała pamiętać? Z niczym to jej się potem nie kojarzyło, nie miało nic wspólnego z łańcuszkami wypruwanyymi z kołnierzy futer czy z zawartością woreczka.

Gorsze przeprawy i emocje miewała przed aresztowaniem. I także zaledwie w snach czasem powracały.

— *Wie spät ist es?* — wojenna niemczyzna uratowała ją kiedyś gdy sama, bez ojca, dźwigała inny, równie ciężki pakunek. Więc nie był z niej taki tchórz, nie zawsze była niedołągą! Jakże była dumna i szczęśliwa, gdy ojciec pochwalił jej zimną krew, jej przytomność umysłu! Po drugiej stronie ulicy Niemiec zatrzymał przechodniów, kontrolując ich tożsamość, obmacując kieszenie. Papiery miała swoje, tym gorzej, bo ta paczka... Nie mógł jej nie widzieć, zaraz zawoła: *halt!* Bramy pozamykane, godzina policyjna tuż. Wobec tego, w nagłej inspiracji zapewne podyktowanej atawizmem, sama przeszła na drugą stronę ulicy, możliwie śmiało, prosto na niego, jakby ucieszona jego widokiem i z wdziękiem bezradnej nastolatki zapytała: *wie spät ist es?*

— Późno, jak na takie dziecko! Prędko do domu! Ma pani parę minut czasu! — odpowiedział prawie po ojcowsku. Używając słowa: *schnell!*, a nie: *los!*

A najważniejsze, nie zainteresował się paczką ani papierami.

Zdażyła przed wybiciem godziny policyjnej. Ojciec czekał przy drzwiach, słyszała jego pokaszliwanie. Otworzył nim zastukała.

Teraz także było późno, *spät. Tard.* Ale zostało jeszcze parę minut. Zdążyć? Musi zdążyć. Parę minut i parę kroków do stolika Pani z Wyspy.

## XV

Na stoliku, przy pustym kieliszku, leżała książeczka do nabożeństwa. Obok plastikowa, przezroczysta portmonetka i rozsypane drobne. Pani z Wyspy popatrywała na to bezradnie.

— Dobrze, że jesteś — odezwała się pierwsza do Marii. Po polsku! Po imieniu! — Mam trudności z płaceniem. Kelner inny. A Szymonka po francusku ani rusz.

I podsunęła jej kawiarniany kwitek lewą ręką. Prawa zwisała bezwładnie.

Dopiero wtedy zauważyła, że za krzesłem Pani z Wyspy ktoś stoi. Czemu Szymonka? Przecież to jest Janka! Żywa! Janka, o której nie pomyślała chyba ani razu od tamtego decydującego lata w leśniczówce. Postarzała, oczywiście i nie boso, nie w pasiastej zapasce, tylko obuta i ubrana w szary, mysi płaszcz zalatujący trzecim zakonem. Zamiast warkocza, siwy, chudy koczek. Ale wciąż wiejska, opoczyńska, ta sama. Wyobcowana i anachroniczna w paryskiej kawiarni, nie śmiejąca ani dosiąść się do pani, ani wyjść. Zmartwiony, stary anioł stróż, albo niania.

Przecież Janka utopiła się! Więc nie żyje! Powinna by więc pozostać młoda! Przecież były obie z mademoiselle Fabienne na jej pogrzebie. Nowy, narkoleptyczny wtřet?

Całe tamto lato Janka donosiła im jajka i mleko do leśniczówki. Nadbiegała pędem, bosa i zgrzana, śmiejąc się z daleka, bo jej wszystko sprawiało uciechę. Gdy padał deszcz, zarzucała sobie na głowę zapaskę. Mademoiselle Fabienne płaciła zaległe, zamawiała dalsze, wszystko prędko i na boczku, zwłaszcza w pierwszej fazie ich pobytu, żeby do Marii nie doszło za dużo z tymczasowo odstawionej mowy. Może dlatego Janka stała się dla niej kimś tak upragnionym. Wyglądała przez okno w nadziei, że pierwsza ją dostrzeże i usłyszy: pochwalony, a nie wieczne *bonjour*. Ale Janka z daleka anonsowała swoje nadejście śpiewaniem na całe gardło, tak że mademoiselle Fabienne zawsze zdążyła też stanąć w progu. Gdy odchodziła z pustym dzbankiem, z pustym koszykiem, szło za nią, cichnąc, echo przez las. Te piosenki pozostały, właśnie ich echo, choć Maria nie wiedziała już, skąd je zna. Na fotografii, którą Andrzej przywiózł by ją zidenty-



fikować, siedzą we trójkę z Haliną właśnie na zapasce Janki. Zdjęcie nie kolorowe, nie mogło utrwalić ostrej tęczowości wąsko tkanych pasków i twardych kocanek na końcach wiązadeł. Zapaska była i ładna i praktyczna, od deszczu chroniła skuteczniej od wszelkich peleryn, można też było ją rozpostrzeć siadając na trawie, starczała na nich troje. Maria dostała ją w spadku po Jance.

Trzeba było bardzo nie chcieć żyć, żeby topić się w tak małej rzeczulce. Nie *fleuve*, nie *rivière*, oczko wyżej od strumienia. Potrzeba było dobrej ulewy, aby nabrała siły i śmiałości i poruszyła zarastającymi ją szuwarami i zabią rżesą. Co do koła młyńskiego, dawno przeszły mu wszelkie ambicje. Kto by liczył, że mu tutaj mąkę zmielał, darmo czekałby na chleb. Gdy ten młyn stawiano, rzeczce musiało lepiej się powodzić, nastąpiła jakaś odmiana na gorsze, bankructwo u źródle.

Ale deszcze akurat spadły, wystarczyło wody dla Janki. Znalezione ją przy młyńskim kole, nie tak od razu. Trzeba było więc spieszyć się z pogrzebem, wróciły upały.

W domu Janki, chałupce wesołej jak ona, małwy i złocienie wyłożyły na drogę przez szpary w płocie. Na sztachetach schnął znajomy dzbanek od mleka. Kury łąziły po podwórku, te które od wiosny wiernie znosiły im jajka. Krowa porykiwała w oborze. Pachniało ckliwie gnojówką. Mademoiselle Fabienne, dziwnie poruszona, z punktu pobrudziła sobie odświętne pantofle i długo je wycierała o kępkę murawy nim przestąpiła próg. Kazała Marii uważać.

Trumna czekała w odświętnej, białej izbie, po prawej stronie sieni. Prawdziwa, drewniana podłoga, wyszorowana do białości jak stół, uroczyste łoże, stos poduch w krochmalonych poszewkach, święte obrazy na ścianie. Tu leżało się w chorobie, albo po śmierci. Żyło się naprzeciw, w czarnej izbie, z piecem, zapiekiem, stołem i ławami. Na jednej z ław leżała zapaska, sucha. Nawet kocanki, jak to Maria ukradkiem sprawdziła.

Od początku była zafascynowana tą zapaską, raz czy dwa doprosiła się mademoiselle Fabienne, by ją na chwilę przymierzyć. Jance było w to graj, opasywała dziewczynkę fachowo, tak żeby kocanki wypadały z przodu, nauczyła tego zabawnego słowa. Obiecywała, że zimą utka dla niej taką samą i gdy Maria przyjedzie tu na drugi rok, będzie na nią czekała.

Bez księdza, bez krzyża, cichcem, chyłkiem kondukt minął wioskę, całą w jesiennych sadach. Jabłka dudniły po murawie. Cmentarz przylegał do kościółka, zielony i wesoły, po prostu ogród Boży. Pogoda była miodowa. Jaskółki przysposabiały się

do odlotu, zwołując się ostrym piskiem. Jak uwierzyć, że ta jasna, sosnowa skrzynka zawiera coś, na co nawet nie można już popatrzeć?

Janki po prostu nie było pomiędzy nimi. Zapóźniła się w lesie. Gdyby matka, podobna do niej tak, że aż śmiesznie, tyle że zgarbiona i pomarszczona, przestała szlochać i zawodzić, może doszłoby tu echo jej śpiewania rosnąc, zbliżając się i zaraz by tu przybiegła z koszykiem pełnym rydzów. Maria nie mogła uwierzyć w śmierć Janki, objąć tego, dopuścić do głowy, ani w białej ani w czarnej izbie, ani idąc za furmanką w kurzu, w zapachu końskiego potu i świeżych rżysk, ani nad płytkim dołem do którego, płacząc i żałując, zsunięto skrzynkę ostrożnie, jakby zawierała nie wiadomo jaki skarb. Mademoiselle Fabienne usiłowała pocieszać rodziców, co przy jej miastowym ubiorze, cudzoziemskim akcencie, było dla nich taką egzotyką, że po trochu jej się to udawało. A gdy pod koniec wakacji, na odjeźdnym, poszły tam z cukierkami dla młodszych dzieci, Maria dostała w prezencie zapaskę po Jance. Może z myślą o niej zostawiła ją, porządnie złożoną, na brzegu.

— Biedna mała — orzekła mademoiselle Fabienne sentencjonalnie. — Głupia mała! Gdyby każdy chciał topić się z miłości... Gdy świat taki piękny, a wszystko i tak mija...

Świat był piękny, od lasu niosło żywicą. Drewniane ściany leśniczówki nagrzone późnym upałem, miło podpierały plecy. Siedziały na ławeczce, bardzo już sobie bliskie i Maria już sama nie wiedziała, po jakiemu mówią. Najważniejsze: rozumiały się. Mademoiselle Fabienne była mądra. Nie skakała do żadnej wody. Świat był na to za piękny, serca się goją, wszystko i tak mija i, jak się okazało, można nie urodziwszy matkować. Wiedziała, jak pocieszyć, jak uspokoić małą Marię, którą Janka mogłaby wywoływać po nocach do lasu. Dzięki temu z zapaski zrobiła się zwykła pamiątka wakacyjna, zaś Janka szybko wywietrzała z pamięci Marii.

A teraz stoi oto za plecami Pani z Wyspy. Ona?

W każdym razie to był ktoś prosto z tamtych lat, z tamtych stron żywcem przeniesiony, ktoś po tamtejszemu swój, po tutejszemu egzotyczny, fotomontażowo wklejony w tło paryskiej kafejki. A może Janka wcale się wtedy nie utopiła, tylko poszła do klasztoru? To robią dziewczęta zawiedzione w miłości. Gdzieś tam wysuszyła się, przetrwała, lata minęły, wszystko mija, a teraz powierzono jej misję opiekania się chorą Panią z Wyspy?

Tej nie tylko ręka wymówiła służbę. Jedno oko jeszcze pa-

trzymało niebiesko i przytomnie, ale drugie stwardniało w szklaną, mętną gałkę. Od kiedy?

Odliczyła ile trzeba, według kwitka, z niedużym napiwkiem, gdyż kelner rzeczywiście był nowy i niezyczliwy, więc na więcej nie zasługiwał, wsunęła resztę monet do plastikowej portmonetki, włożyła to do torby, obok książeczki do nabożeństwa. Janka nie-Janka odetchnęła z ulgą. Pewno uznała to za cud wymodlony, ową nagłą a niespodziewaną pomoc w trudnej potrzebie. Owinęła głowę Pani z Wyspy szydełkowym szalem, nabożnie i ostrożnie, by nie popsuć fryzury.

Prowadziły ją obie jak księdza z monstrancją, każda pod jedno ramię. Przeprawiły się przez syberyjski nurt świętego Ludwika. Na ulicy Dwu Mostów, poprzecznej, można było odechnąć spokojniej. Pusto. Sunąc wolniutko, Maria robiła plany: nie da się odprawić od bramy. Wejdzie. Zresztą i na schodach im się przyda. Nareszcie wejdzie do pokoju na piętrze, który znała tylko od strony Sekwany, od święcącego po nocach okna. I tam wszystko powie.

Powie? Wiedziała, że za późno, że się łudzi. Ale nie dopuszczała do siebie tej myśli.

Spóźniła się o więcej niż minutę, Pani z Wyspy oddaliła się bardziej niż o parę kroków. Została z niej połowa, a i ta jakże krucha i jak zagrożona! Okrutne i bezcelowe, wciągać ją teraz w aferę Andrzeja, tak skomplikowaną, żądać od niej pomocy, interwencji.

Ktoś tam jednak musi być w czcigodnym gmachu z dwujęzycznym napisem nad bramą. Ciemno, wszystkie światła wygaszone, ale to nic, ktoś tam jest i po prostu już śpi. Skąd nagle wzięła się ta Janka, ta Szymonka? Pielęgniarka? Siostra miłośniczka? Przecież nie pozostawiono ich tam samych, dwu starych kobiet, jedna na łasce drugiej, z których jedna w połowie nie żyje, a druga owszem, potrafi ją położyć, otulić, ale w razie czego telefon do lekarza z pewnością przerasta jej możliwości?

No, nic. Tym bardziej im się przyda. Byle wejść do środka. Tam przy nich schronić się na tę noc. Nie dać się zbyć byle czym. W najgorszym razie przesiedzieć noc na schodach. Rano zjawi się z pewnością jakiś personel, ktoś z kim będzie można porozmawiać.

Mimo wszystko przestała się bać. Oto już stoi pod Bramą. Obecność Szymonki, jej podobieństwo z Janką sprawiło, że Pani z Wyspy do reszty przemieniła się w mademoiselle Fabienne. Postarzała, pół sparaliżowana, ale jednak ktoś, przy kim Marii nic złego przydarzyć się nie może. Jeszcze mały moment. Szymonka

wygrzebuje oto z kieszeni swej monakalno-wsiowej okryjbiedy nieproporcjonalnie mały kluczyk i zaczyna niezgrabnie dobierać się do zamku. Martwe ramię Pani z Wyspy ciąży jak kłoda.

Kiedy to się stało, odkąd ta zmiana? Zaledwie kilka dni temu, gdy wstąpiła do kawiarni z Andrzejem, wydawało jej się, że widzi ją przy zwykłym stoliku i że jest jak była. Czy już wtedy siedziała pod eskortą Szymonki? A może wcale jej nie było i czyjaś inna, stylem szefa zaondulowana głowa zamajaczyła jej w pogrzebowym ścisku?

To prawda, od jakiegoś czasu, niemożliwego już teraz do oszacowania, spotykały się jakoś rzadziej. Nie zwróciła na to uwagi. Wyspa mała, ale na niej można się rozmyślać pół życia, nic to nie znaczy. Od jakiegoś — jakiego? — czasu, nie zastawała jej również na fotelu zarezerwowanym dla klientek szefa. Mogła była wyjechać na urlop, albo zmienić swoje dni i godziny chesania. Szef o niczym nie wspominał, choć choroby i wypadki na Wyspie były treścią jego codziennych komunikatów i komentarzy. Taka była pewna cały czas, że Pani z Wyspy jest, że nie zauważyła, odkąd jej nie ma.

Ostatni raz... Czy ostatni? I kiedy to w końcu było, przed grudniem czy po grudniu? Pani z Wyspy siedziała w towarzystwie młodego Poety. Albo Pisarza, przez duże P. Nie ma mowy o pomyłce w klasyfikacji na dystans. Grał swą rolę z emfazą i zapewne, póki co, była to pierwsza rola w jego repertuarze. Z cokołu, a raczej z Judahowej skały swej ledwie trzydziestoletniej genialności używał przedpotopowej staruszce swojej genialności.

— Pani musi to przeczytać! — doszło do polskiego ucha mademoiselle Marie. — Ale musi mi pani przysiąc, że jutro pani mi to zwróci. Na dłużej, niestety, nie mogę pani tego powierzyć. Jedyna kopia, innej nie posiadam, więc proszę tego strzec jak oka w głowie. Właśnie mi ją przerzucano przez granicę. A wydawcy mnie nagłą.

Młody Adam chyba nie zmuszał starszych pań do przeczytania którejsz części „Dziadów” w ciągu dwudziestu czterech godzin. A może zmuszał, kto ich tam wie. Ale z całą pewnością nie wrzasnąłby tak srogo, gdyby na ów jedyny, bezcenny dla potomności egzemplarz arcydzieła spadło trochę popiołu ze źle celującego do popielniczki papierosa.

— Mam nadzieję, że się w tym wypaliła dziura — pomyślała złośliwie Maria i powlokła się na czwartkowy nokturn.

Stolik Pani z Wyspy obsiadały nie tylko niecierpliwe orły, zdarzali się też zwyczajni ludzie. Ale albo ich było mniej, albo

mniej rzucali się w oczy. Nieraz była pewna: ten to lis. W futrze męczennika. Albo płaz. O co mu chodzi? Na odległość wyczuwała i szacowała rodzaj i gatunek. Podziwiała cierpliwość, wyrozumiałość, gotowość starszej pani. Na jej miejscu bardziej by przebiegała. Ale nie była na jej miejscu i jej sądy z pewnością nabrzmiały uprzedzeniami. No tak, chcąc nie chcąc należała do narodu, który jak lawa, wstąpmy więc do głębi. Bo głębia jest, to pewne, gdzie Janki, gdzie Szymonki, gdzie Haliny i wszyscy ci, których nazwiska tak trudno przechodzą tutejszemu radiu bez wypaczenia. Ale nie jej sądzić z daleka, z zewnątrz, a zresztą teraz, po latach, takich latach, może ani wierzchu nie ma, ani głębi? W wielkim, długim przemieszaniu zimnego pieca każdy może być to orłem, to reszką. Orłem i reszką równocześnie.

Taki Andrzej... Wyjątek? Demonizować go, przesada. Przecież i on miał swoją fazę bohatera. Gdyby wtedy, za jej przyczyną, zabrano go z domu i gdyby zginął jak jej ojciec na szkolnym boisku czy gdzie indziej, należałby mu się jeśli nie pomnik, bo miejsca by tam brakło na wszystkie pomniki, to jakaś zbiorowa tablica, wzmianka w indeksie nazwisk, pod należną literą alfabetu. Jeśli nie teraz to kiedyś, w politycznie lepszej koniunkturze. Naprawdę zasłużył, brał udział w konspiracji i w powstaniu. Napomknął o lesie. Wszystko według ich: tak mi dopomóż Bóg.

A co potem, to już inna sprawa.

— Nie jest u nas tak źle, jak tu wam prasa wmawia. Wszystko propaganda. Popatrz zresztą, co się dzieje gdzie indziej na świecie. Trzeba umieć żyć.

On umiał. I chciał. W którymś momencie przystał na życie, na przeżycie za wszelką cenę. Lepszy ludzie robili i robią gorsze rzeczy za dokładkę chleba, za dolewkę zupy, za odwrócenie lampy wypalającej źrenice, za zdjęcie ze śledczego stołka. A ona? Nawet jej nie zdążyli tknąć... Ale to było doraźne, ze strachu i z bólu. Zgoda, zdradziła. Nie wiedziała, co robi. Ale zdradzać całe życie? Z tego, za to żyć?

Ledwie wspomniał o swoich latach w zimnym piecu, gdzie to było, jak długo trwało. Zrozumiałaby, że po jakiejś najgorszej czegoś takiego wersji nie mógł wyjść stamtąd orłem ani reszką. Ale żeby aż wilczurem?

Czy to aby nie przez mamę A, a w każdym razie nie dla niej? Ona jest z pewnością dumna i szczęśliwa z Andrzejewego „standingu”. Podróże, dobre restauracje, limuzyny. Niczego się chyba nie domyśla, albo nie chce domyśleć się do końca. Syn czymś w rodzaju dyplomaty, robi interesy na światową skalę. Umieścił ją w luksusowym domu złotej starości, gdzie sama śmietanka,

sam snobizm na dozywociu. Często ją tam odwiedza. Inne matki nie mogą tym się chwalić. Dobry, genialny syn, wydobył i ją i siebie nie tylko z zimnego pieca, ale i z kolejkowej, zgrzebnej ojczyzny, gdzie i słońce skąpe i morze bure, a o mimozach za oknem ani marzyć.

Może by tak kiedyś złożyć jej wizytę? Po starej znajomości. To byłby lepszy dowcip! Mama A, niechby dziewięćdziesięciolatka, z pewnością nadal jest sobą. Świetnie się trzyma, powiedział Andrzej z ciepłą nutką w głosie. Dopiero by się Marii wystraszyła! Nieodpowiednia, bardziej niż w czasie okupacji nieodpowiednia, bo z prowincjonalnego kurczenia jeszcze można było ostatecznie coś zrobić, gdy teraz trudni się fryzjerstwem na Wyspie! I oto znowu staje na drodze mariażom łysiejącego jedynaka, który nadal jest do wzięcia, ale nie przez byle kogo.

Nie do wzięcia. Nigdy nie był do wzięcia. W błyskawicznym śpięciu zdała sobie także i z tego sprawę, gdy efeb o lnianych włosach wynurzył się razem z Andrzejem z ciemności, pomógł mu wciągnąć ją do samochodu i zasiadł do kierownicy. Nie jak zwykły szofer.

Ruszyli spokojnie, bezszmerowo. To nie było auto, tylko łódź znoszona samym prądem wody. Żadnej szarpaniny. Nie broniła się, nie krzyczała, po co? A jeśli to znowu narkoleptyczny wtret? Czemu się nie bała? Było jej sennie, dobrze, wygodnie. Co najważniejsze — ciepło. Zamiast warkotu silnika z wnętrzości samochodu zbyt pachnących wodą kolońską sączył się melancholijny Chopin, z tych przykrytych szalem.

Leniwie rekonstruowała. Szymonka trafiła nareszcie maleńkim kluczykiem do zamka, pchnęła wykrojone w monumentalnej bramie drzwiczki i weszła, by zapalić światło. Maria została na ulicy, podtrzymując Panią z Wyspy za jej umarłe ramię. Jakże skurczyła się mademoiselle Fabienne, jaka się zrobiła dziecinnie kruchutka! Miała wrażenie, że trzyma pod skrzydło wychudzonego ptaszka.

— Bardzo ci dziękuję — mówiła do Marii prawie wyraźnie. — Przydałaś się nam. Wpadnij do mnie jutro, porozmawiamy. Wszystko na ty. I wciąż po polsku!

Szymonka uporała się wreszcie z kontaktem, zabłysło światło w czcigodnej sieni, za wysokim progiem zbawczego wylazu. Wróciła po swoją panią, objęła ją jak niania. I żadnej z nich nie zdziwiło, że Maria nagle znikła.

Mogła była szarpnąć się, spróbować skoczyć za tamtymi do jeszcze uchylonej, bardzo powoli i samą siłą swej ciężkości domykającej się bramy. Mogła była zawołać: ratunku! *Hilfe!* *Au*

*secours!* Był na to czas. Duża, okrągła sekunda. Ale ona nigdy w życiu na żaden skok się nie zdobyła. Energia i wola działania, z którą biegła dopiero co do kawiarni mając w głowie plan akcji ratunkowej w rozmaitych wariantach, były chwilowym odruchem. Był i zgasł. Może nigdy w żaden ratunek nie wierzyła.

— Bóg zapłać! — zawołała jeszcze w ciemno Szymonka.

I skwapliwie docisnęła szparę furtki. Szczęknięt zamek.

Co i lepiej. Bo gdyby ci dwaj wdarli się tam za Marią, co za szok dla chorej i dla Szymonki. Bóg zapłacił, nie dopuścił do tego.

Wicher wymiótł ludzi z wieczornego nabrzeża. Ani świadka. Co by kto mógł zresztą zaświadczyć? Na oko wsiadła dobrowolnie, choć będzie miała pewno sińce na przegubach. Wcale nie musieli aż tak mocno jej trzymać. Przejechali pusty most. Włączyli się w nurt ulic i bulwarów, bardziej ludnych, sunąc od tamy do tamy czerwonych świateł. Efeb prowadził świetnie, nie tak jak wczorajszy taksówkarz. Lepiej od Andrzeja. Powinna by śledzić trasę. W filmach czy powieściach kryminalnych porwani zawsze tak robią i to ich czasem ratuje. W ciepłe ogrzewanego samochodu ogarniała ją błoga senność. Przemarża porządnie, prowadząc chorą krok za krokiem w tym wichrze. Jeszcze trochę, a uśnie. Może nawet oprze głowę na ramieniu Andrzeja? W filmach czy powieściach porywacze zaczynają od przyłożenia swojej ofierze tamponu z chloroformem. A tu ona sama z siebie im zasypia... Coś nie grało, była w tym jakaś zasadnicza pomyłka. Czy naprawdę chcieli porywać ją, a nie kogoś innego? Że niby złoto? Informacje? Jakie skąd, po co? Absurd. Zaraz się z tego przebudzi.

Tymczasem zasypiała. Było to bardzo łagodne zsuniecie się w ciepłą, gęstą wodę po lekko nachylonym brzegu. Ciągłe było za płytko, by odbić się stopą od dna i popłynąć. Ciemno. Północna kąpiel. Znaczący o północy. Kostium zbyt ciężki. Ubranie pozostawiła beztrąsko na brzegu. Jak wszyscy. Cała reszta wchodziła, zsuwała się wraz z nią w morze gładkie jak jezioro. Było czarno od tej północy i tylko biała mnogość ciał majaczyła w nagiej wspólności, bardziej dając się wyczuwać niż widzieć. Jeszcze parę kroków dalej, niżej i wszyscy naraz, wszyscy razem popłyną.

To nie muzyka, to zbiorowy szept. Brzęczeli jak komary wszystkimi językami, rozumiejąc się. Ktoś był na przodzie, przed nimi, ktoś dowodził, kierował ich przeprawą, pierwszy się zanurzył i zaraz da znak, kiedy przestać iść, rzucić się w pław. Pewność i zaufanie, błogie zwolnienie od decyzji, od odpowiedzial-

ności. On wie co, jak, dokąd. I dlaczego. Nikt nie utonie, bo ten ktoś o wszystkich razem i o każdym z osobna wie.

Gdzieś jest skała, wyspa, na którą, podając sobie nawzajem ręce, wszyscy wydrapią się by doczekać końca nocy. Wschodu słońca. Nikt tam nigdy nie był, ale wszyscy pamiętają, to coś przyrzeczonego, każdemu należnego od urodzenia.

Brnęła razem z nimi w pierwotnej, gęstej wodzie po kolana, po pas, po ramiona. Coraz głębiej. Nie musiała za nikim się rozglądać, na nikogo wołać. Wszyscy szli, cały transport. Cały apel. Cały zimny piec. Na tamtym brzegu zaczną lubić żyć. To jest Wyspa obiecana. Trzeba się tylko do niej przeprawić na czas.

Czas. Czas był wyznaczony, ograniczony. Jedyne wróg, jedyną niebezpieczeństwo. Ile go jeszcze mają? Pół nocy? Godzinę? Minutę?

Nagle coś załamało się. Ławica białawych ciał zaczęła pluskać, płoszyć się, panikować. Stracili dno. A nie wszyscy umieją pływać. Właściwie nikt pływać nie potrafi, oprócz tego kogoś, kto, niewidzialny, gdzieś na czele, daje im nadaremny przykład. One nie potrafią, ani jedna Maria, ani druga. Zapomniały. Morze już je zalewa i łyka. Teraz! Odepchnąć się stopą ode dna, to proste. Zacząć rozgarniać ramionami wodę, z przychylnego, macierzyńskiego żywiołu przemienioną nagle w śmiertelną topiel. Spokojnie. Oddychać. Gdy się nie bać, woda przestaje być groźna. Niesie. Jak czas. W czasie płynie się, sam nas unosi, można się przezeń przeprawić choć wróg, pod warunkiem, że się nie będzie stawiać oporu, buntować, zachłystywać. Płynąć prosto w kierunku Wyspy. Dobrej wyspy. Nie pomylić się w wyspach, to grunt.

— Spokojnie — mówi mademoiselle Fabienne. Wszyscy temu wtórują a i ona przepowiada sobie tę lekcję za nimi. Ale krzyk już jej bulgocze w ustach.

— Spokojnie! — powiedział ktoś, zatykając jej usta łapą. — Żadne krzyki nie pomogą. Bądź rozsądna. Nic ci nie grozi. Po prostu porozmawiamy.

To był Andrzej. Poczowała coś w rodzaju wdzięczności. Tym razem wyciągnął ją z wody w ostatniej chwili, gdy już się topiła.

## XVI

Wiedzieć o kimś wszystkim, często znaczy nie wiedzieć najważniejszego. Czyli nie wiedzieć nic. Choćby miało się na wszystko



dowody na piśmie, czarno na białym, kopie, fotokopie. Fotografie. Aż pochlebia, że tak się człowiekiem interesują, kiedy, gdzie się meldował, kiedy, za ile nabył mieszkanie. Gdzie pracuje. W kartonowej „koszulce” były też jakieś listy, pewno donosy. Ciekawe, podpisane, czy anonimowe? Kopie kolejnych dowodów tożsamości. Z odciskami palców. Tak, Andrzej ma chody, skoro tak szybko to wydostał.

— Wiemy o tobie wszystko — powiedział, używając pierwszej osoby liczby mnogiej. Ale i Maria, myśląc o nim, od któregoś momentu, myślała: „oni”.

Oni, wiedząc wszystko, nie wiedzieli nic. Nie było ich oka ani ucha na korytarzu szkolnym, ani potem w klasie, za maszyną do pisania. Ani w piecu. Ani na zboczu sudeckiej góry. Nie mieli wstępu do żadnego z jej snów, żadnej wtyczki. A nawet jeśli w tej chwili przeszukują jej studio na Wyspie, ani pomyślą jakie znaczenie ma zżółkły, zetlały woreczek, wszystkiego główna przyczyna. I dowód. Książeczkę do nabożeństwa mogą sobie przeglądać kartka za kartką, śliniąc palce. To, co tam zaszyfrowane, pozakładane obrazkami, jest w tak obcym dla nich języku, że po co szyfry. Nawet gdyby chciała przyznać im się do wszystkiego, nie przyjmą tego do wiadomości. Nie są w stanie.

Dowody mieli, mieli poszlaki, logicznie mogli ją podejrzewać o nie wiadomo co. Przyłapali ją gdzie? Pod bramą Biblioteki! W komitywie z Panią z Wyspy! Niech się ośmieli teraz wypierać „bliskich kontaktów z rodakami”. Czemu zakonspirowanych? Co znaczy jej wieloletnie kamuflowanie się pod cudzą tożsamością? Jasne, jest „na usługach”.

Co do złota, tym gorzej dla niej, że poza bransoletką, ceną choć o słabym zameczku, nie posiada niczego wartościowego, że żyje skromnie, jak przystało na prawdziwą, małą fryzjerkę. Gdzie ukryła taką fortunę? Na co ją obróciła?

Skoro jest się na jednych usługach, łatwo przejść na inne. Tego nikt nawet nie zauważy. Nic jej nie grozi, nic się dla niej nie zmieni. Nawet wzbронione, żeby się zmieniło, żeby nagle wobec całej Wyspy przyznawała się do swej polskości, do tego, że wszystko rozumie. Tak, że nie ma z czego robić tragedii. Punkt pierwszy: złoto. Albo jakaś jego równowartość. Zwróci. Musi zwrócić. To najpilniejsze. Nie będzie jej potrzebne, ponieważ materialnie i tak będzie odtąd zabezpieczona. Nic wielkiego od niej za to nie będą wymagać.

To nie różowa oberża, ale chyba jakieś jej poblize. Sen zamazał i trasę i czas. Zegarek jej stanął. Nie było czasu. Albo

jeszcze noc, albo już dzień. Szczelne story zamurowały okna, była jednak pewna, że po tamtej stronie jest las.

W pokoju, biurowym raczej niż hotelowym, ani łóżka, ani szafki nocnej, ani lampki z abażurem. Zwykłe biurko, nie katedra szkolna. I żadnej na nim maszyny do pisania. Nie chodziło o dyktando, tymczasem. Chodziło o przyjęcie ultimatum. W dwu punktach. Po pierwsze: złoto. Skarb. Albo, albo. Albo zwróci, albo do jej *dossier* w Prefekturze, z którego oni tak łatwo i szybko wydostali budującą dokumentację, dojdą inne elementy. Wiele nie trzeba. Odciski palców. Plus małe sugestie. Jedna fotografia. Więc...

Oni mieli czas. Ich zegarki chodziły. Ale im się spieszyło. Palili papierosy. Jej nie częstowali. Miała napoczętą paczkę w torebce, nie chciało jej się po nią sięgać. Pewno by jej nie pozwolili. Przestało jej się zresztą chcieć palić. I pić, i jeść. Nie chciało jej się czegokolwiek chcieć, z życiem na czele. Tego także wiedzieć nie mogli. Kto był ważniejszy, wyższy rangą, Andrzej czy efeb? Zależność, którą wyczuwała u Andrzeja, była służbowej, czy też uczuciowej natury? Nawet nad tym nie chciało jej się zastanawiać. Popalili, posiedzieli w fotelach, pospacerowali po pokoju źli, że ona milczy. Efeb nie otwierał ust, asystował. Andrzej gadał, jak z nut, jak z książki, jak z kina. Raz łagodnie, raz groźnie. Czasami Maria miała wrażenie, że efeb trochę się nudzi, jakby nie wszystko rozumiał.

A więc — prawił Andrzej — mają ją w ręku. Wszystko czarno na białym, ona nie ma innego wyjścia. — Wyłazu — uściślała w myślach. W razie odmowy, albo, albo. Albo ją zlikwidują, albo zadenuncjują. Skończy się mistyfikacja, Francuzi wezmą ją w lepsze obroty. Żadne protekcje nie pomogą. A i oni w żadnym razie z oka — i z rąk — jej nie wypuszczą. Więc...

— Ja to już gdzieś czytałam — odezwała się leniwie w pewnym momencie. — Przypomnij mi tytuł. Wielki sukces wydawniczy. Takie kryminały są rozchwytywane, to wyszło we wszystkich językach...

Dawny Andrzej miał poczucie humoru. Jeszcze w oberży zdawał się je mieć. Na aż taki wybuch wściekłości uwaga jej nie zasługiwała. Miotał się jak poszczuty wilczur koło jej twardego krzesła i nagle zauważył, że efeb krzywi się z niesmakiem. Natychmiast mu przeszło.

Porozumieli się, bardziej wzrokiem niż mową — jaką mową? — i wyszli.

— Daję ci czas do namysłu — rzucił Andrzej na odchodnym, aż za uprzejmie. Zgrzytnął w zamku klucz. Z tamtej strony.

Nie mogli wiedzieć, wszystko niby wiedząc, co tracą. To był jedyny sposób na nią, jedyny argument: zgrzyt klucza, zgrzyt zasuw. Na wszystko w tym momencie by się zgodziła. Gdyby to wiedzieli, zaraz by tu wrócili.

Klaustrofobiczna panika wytrzeźwiła ją aż do młodości. Papierosa! Zabrali torebkę, nie zauważyła kiedy. Z papierosami, z kluczem do domu. Zabrali też wszystkie papiery z biurka. Szkoda, mogłaby dla odwrócenia uwagi od siebie samej przetrzucić je, przekonać się, co tam naprawdę było. A jeśli cała historia z ich „chodami” jest mistyfikacją? Też możliwe. Bo czemu pozbawiali jej lektury, od której mogłaby im skruszeć?

Nie ma co wstawać z krzesła, biegać, szurać wzdłuż czterech ścian w poszukiwaniu mysiej dziurki. Za szczelnymi, białymi storami musiały być odpowiednio zabezpieczone okna. I co, ma skakać? W las?

Ciszę także zamknęli na dwa spusty. Pokój wydał jej się sześcianiem ustawionym na pustyni. Nikt nie chodził piętro wyżej, ani piętro niżej, nie stuknął, nie zagadał, nie kaszlnął. A piętro było, wprowadzili ją tutaj po szerokich schodach trzymając za ramiona, jakby była chorą Panią z Wyspy. Żaden warkot zajeżdżającego lub odjeżdżającego samochodu, żaden pomruk autostrady czy drogi. Żeby choć pies zaszczekał. Nawet drzewa nie szumiały, choć musiały być. A przecież wiatrem nie rządzą, nie mógł nagle ustać na ich żądanie.

Pani z Wyspy na pewno już śpi, rozebrana, otulona przez dobrą Szymonkę. Śpią doktor z doktorową. Chrapie szef. Nie zdziwi się, że jej nie ma od rana, z żadną „pacjentką” nie jest umówiona. A gdyby coś wypadło i gdyby zadzwonił, też go specjalnie nie zaalarmuje, że u niej nikt nie odpowiada.

Sąsiedzi zbiegający z tupotem po schodach i tak nie troszczą się czy budzą ją, czy nie. W ogóle się nie troszczą, czy ona jest. Tak mało była. Rzeźnik, tak, ten się zdziwi, że befszytk zjadła, a po kotlet jakoś się nie zjawia. No, ale gdyby w rachubę wchodził udziec barani, bardziej by go to obeszło. Marna klientka. Nie przysłała? No to jej nie ma.

A przecież ona jest, bardziej jest niż kiedykolwiek była. Bardziej niż kiedykolwiek cieleśnie określona, zamknięta w szczęciach ścian, które ją uwierały jak ciasny gorset. Lampy świeciły ostro, jedna na biurku, druga u sufitu, tak że każdemu ruchowi towarzyszyła para cieni. Pociła się brzydkim, zimnym potem. Łomotało jej serce, dzwony były w uszach, burczało w brzuchu. Czyli na pewno żyła. Czy tu jest... No, umywalnia? A jeśli jej zechce się wyjść?

Ledwo to pomyślała, rozzuchwaliły się w niej boleści. Upokorzenie fizjologiczne, jakże nie w porę. Gdyby nie nagły mus, niemożliwy do zaspokojenia więc tym bardziej drażniący, mogłaby spróbować zsunąć się starym sposobem w sennaść, w bierność, w bezczucie.

Zaraz... Zaraz... Odwrócić myśli od burzącego brzucha. To tylko nerwy. Na czym stało, jak to było z Wyspą, z potopem? Niektórzy już dopływali, już się wspinali na stromą skałę. Ostry szpic, wystający z bezmiaru. Dla wszystkich miejsca nie wystarczy. W dodatku czy to na pewno dobra Wyspa, dobra skała? Kruszyła się pod rękami usiłującymi jej się ucześcić, kamienie były zmurszałe, nie wytrzymały ciężaru. Czarne jęzory wody zlizywały powodzią, morze wspinało się na palce z głodu i z łakomstwa. Ta skała zaraz zatonię. Coś jej o tym wewnętrznie mówiło, odbierając nadzieję, krztusiła się, bała się, wiedziała, że nie tylko nie dopłynie, ale że nie warto dopływać, nie warto uczyć się pływania. Ci, którzy ją podtrzymywali i otaczali żywym kołem ratunkowym, unosili jej w górę podbródek, nakazywali: spokojnie, wydech, wdech, upierali się, przymuszali ją, choć ciążyła im, oni narażali się dla niej nadaremnie. Płyną, niosą ją, a sami nie wiedzą czy dobrze płyną, czy nie ma jakiejś innej, lepszej Wyspy, takiej na którą warto dać się wynieść przez fale, na której wszyscy razem się pomieszczą i z którą nie zatoną.

Dlatego krzyczała. Ostrzegała ich. Kogo, ich? Swoich, żywych i umarłych. Gdyby Andrzej nie wyciągnął jej znowu z wody, może by się dowiedziała, czy jej posłuchali, czy zmienili kierunek, czy natrafili na inną wyspę. A także kim byli, ci oni, kto podtrzymywał jej bierne ciało nad powierzchnią, a kto przywiązywał kamienie do nóg.

Ta ostatnia senna wstawka była po prostu żywym obrazem. Już to kiedyś widziała. Na papierze.

W leśniczówce wynajętej przez ojca był strych, a na strychu, pośród innych gratów, skrzynia pełna starych książek i pism. Oglądanie Biblii z rycinami Dorégo zostało zaaprobowane przez mademoiselle Fabienne, ponieważ tekst był francuski.

Za wiosną przyszło lato, także trwając wieki. W czerwcowe, lipcowe, sierpniowe popołudnia kurz pachniał i świecił, całe jego kolumny wirowały w szparach pomiędzy gontami. Podścielała sobie wyleniały kilim, kładła się na brzuchu pod którymś z okienek i oglądała obrazki. Miała uczucie, że jeśli je zrozumie, wszystko zrozumie i będzie wszystko wiedziała. Ta księga była jak album rodzinny, to miało naprawdę miejsce wtedy, gdy jej

jeszcze nie było na świecie, to jej dotyczyło dziedzicznie, wyjaśniało przeszłość, wytyczało przyszłość. Co tam, album rodzinny, jaka nuda w porównaniu, to twój dziadek, to twoja babka, ojciec, matka, młodzi, a tutaj ty na kolanach matki, gdy byłaś mała. Wszystko upozowane, nieruchome, przedawnione. Jednorazowe.

Natomiast ryciny z książki przyspilały wydarzenia w ruchu, w dzianiu się, w ich najbardziej dramatycznym nawężeniu. Były reportażowe. Były jak wybór kluczowych planów z dokumentalnego filmu. Nikt nie pozował. Starła się zrozumieć o co chodzi, jak widz, który ogląda fotosy przy kasie aby wiedzieć co go czeka w ciemnej sali. Dobrze dobrane, stanowią klucz.

Goły bobas na niedźwiedziej skórze, grzeczna dziewczynka na kolanach długowłosej matki, ojciec w strzeleckim mundurze, jego wąsik, młodzieńczy mars na czole, oni troje z Haliną i Andrzejem na łące, na zapasce, do której tylko pamięć, zawodna pamięć jej jednej domalowuje istotną dla zapasek tęczowość paszków i kocanek, to wszystko było i nie jest, mogłoby równie dobrze nigdy nie być, a w każdym razie nigdy już nie będzie. Natomiast potopy, kamienne deszcze spadające z jasnego nieba, rzezie i pogonie są, były i będą, w sensie biblijnym, ponad historią, w globalnym czasie przeszłym, teraźniejszym i przyszłym. Udokumentowane prorocstwo. Strych, ciemny, ciepły, chwilowy azyl stanowił obserwatorium, z którego mogła widzieć naraz cztery strony życia dzięki księdze, tablicy orientacyjnej z tych, które pozwalają rozpoznać szczyty gór, łożyska rzek, doliny i przełęcz dookoła, aż po styk nieba i ziemi.

Zасыpywała mademoiselle Fabienne pytaniami. Dlaczego? *Pourquoi?* Czemu tę kobietę wyrzucają przez okno, dlaczego po niej została tylko głowa i dłonie? Przestało psom smakować, czy ktoś je odgonił? Przestał je szcuć? A ten wąż, na dodatek ukrzyżowany? Więc do węża modlić się dobrze, a do cielca źle? Bo cielce złoty, zaś wąż miedziany? A gdyby tak i wąż był ze złota?

Ambaras starej panny czasem był widoczny. Nie była uczona w Piśmie, zresztą po republikańsku sceptyczna, szanowała jednak religię rodziny, do której przyrosła. Szybko wyciągała bajki Lafontaine'a. Albo zrywała się do lasu, upał lżeje! Dzbanek, koszyk, jagody, grzyby, mniej ryzykowna lekcja rzeczy i słów.

W owej epokowej księdze potop figurował na kilku rytych fotosach, w paru wersjach. Wyspy, do których usiłowali dopłynąć powodzią, różniły się między sobą, raz skaliste, to znowu bardziej gościnne, porośnięte drzewami. A może Wyspa była i jest jedna, tylko za każdą ryciną inaczej skadrowana, w innej fazie

potopu? Bo cóż to: Ararat? Po prostu czubek góry, jak każda wyspa na świecie. Póki wystaje z wody, warto doń płynąć, dając szansę ratunku. Wszystko zależy od czasu i od zamiarów wody, jaki poziom na ten potop sobie wyznaczyła. Wiadomo jaki. Tyle, żeby ostatnie drzewo oliwne wystawało choć jedną gałęzią tak, by gołębicą miała gdzie spocząć. Wtedy koniec potopu. Siedmiobarwna arka przymierza odemknie bramy nieba. Wody zaczęły opadać. Poodstaniają się po kolei, powoli fałszywe wyspy, mini-Araraty. Wyjdą na jaw skały, pokryte mięsem tych, którzy najpierw odpadli w selekcji do Arki, a potem pomylili się w wyborze kierunku. Popłynęli na lewo, zamiast na prawo, czy na odwrót. Tym gorzej dla nich. Wraca pogoda.

Pani z Wyspy chyba się nie pomyliła, a i tak tonie. Jej księga się domyka. Jeszcze strona, jeszcze dwie, zamazane. Jeszcze raz wino w narożnej kafejce, jeszcze jeden papierosek pod skrzydłami czujnie bezradnej Szymonki. Jeszcze raz ulica Dwu Mostów, brama, sień, kamienne schody o startych od wchodzenia i schodzenia stopniach.

Według Andrzeja, nikt się na wyspach nie rodzi, na wyspy jest się wyrzucanym przez fale. Pani z Wyspy tak jakby tu się urodziła. Nie miała wątpliwości, nie wahała się w wyborze kierunku, raz się poddała właściwej fali. Tu był jej brzeg i tu jest jej kres.

Natomiast ona, Maria popełniła parę błędów, a każdy zasadniczy. Cóż dopiero ich suma? Zamiast zacząć wdrapywać się prosto po stromość sudeckiej góry, poszła drogą, na lewo i kula, jej przeznaczona, zabiła dziewczynę pragnącą i umiejącą żyć. Następnie uzurpowała sobie to wykrwawione z jej winy życie. I żyje. Chcąc nie chcąc, lubiąc nie lubiąc. Andrzej też został zabity, a żyje. Ale jak on tego się trzyma, jak lubi, jak mu na tym zależy! Odsuwa od gardła nóż. Kto mu ten nóż przykłada? Efeb? „Oni”? Wszystko jedno. Od noża na gardle złotem, nawet gdyby się znalazło, nie można się wykupić. Rękę z nożem odwracają anieli.

Rozpraszała się, pragnęła się rozproszyć. Przewracała w myślach stronie to księgi, to rodzinnego albumu. Na fotografii z łąki, wyłożonej przedwczoraj na różowy obrus, Andrzej obejmuje ramionami i ją i Halinę ze sprawiedliwie dozowaną czułością. Pozuje. To dopiero teraz wyszło na zdjęciu. Czułość jego jest platoniczna, do żadnej z nich nie skierowana. Nie miały czego skrycie zazdrościć jedna drugiej, rywalizować ze sobą strofami.

„Wiem, że pragniesz mej śmierci, choć nie mówisz o tym, lecz

ja w sercu twym czuję tę straszną tęsknotę...” Asonans? Marny — zawyrokował Andrzej, udając że nie domyśla się do kogo to skierowane. Która ten wiersz popełniła, ona czy Halina? Obie się myliły. On ani śmierci żadnej z nich nie pragnął, ani nie wahał się w wyborze, alarmy mamy A były czcze. Ówczesne jego „erotyki”, jak to ku ich zgorzszonemu zachwytowi określał, zapewne już wtedy kierowane były do efeba, choć sam o tym może nie wiedział.

No, nie do tego, tutaj, który tak dobrze prowadzi i nie lubi wrzasków. Tego jeszcze nie było na świecie.

Więc trawka, zatknięta za bransoletkę, muśnięcie wargami gwiazdki na przegubie? Drobiazg, dziecinnada, wprawka. Niewinność z prawdziwego, a nie ze sztucznego raję przedpotopowej młodości.

Był taki Andrzej i nie ma go. Zabity, a żyje. Lubi żyć, musi żyć, to co się nazywa dobrze żyć. Ma dla kogo. Przecież także i dla mamy A, która tak wspaniale trzyma się w domu złotej starości, w luksusie mimozy. Akurat kwitnie. Czy udało jej się ocalić futra i biżuterię? Może tak, skoro przechowała zdjęcie Andrzeja na łące. — To z albumu mamy — powiedział.

Stare zdjęcie, migawka, przedawniony dowód tożsamości. A całkiem ostatnie, jeszcze ciepłe: Pani z Wyspy, w kawiarni, a za nią Janka. Czyli Szymonka. Czemu chora, w połowie swej przytomności, odezwała się do Marii po polsku? Po imieniu? Czyżby wiedziała cały czas? Albo domyślała się i nagle przestała się kępować? Nabrała pewności? Takie miał znaczenie konspiracyjny, porozumiewawczy błysk jej oka, ilekroć mijały się na Wyspie? Życzliwa dyskrecja, której inhibicyjny ośrodek zatonał w mózgu razem z władzą w jednym ręku, światłem w jednym oku? Albo też, gdy ktoś dobiega do końca swej księgi, dyskrecje tracą sens? A może po prostu w pierwszej kolejności zatonała w niej druga mowa, mowa francuska i już tylko polski Ararat wystaje nad poziomem wód?

Lepiej wrócić na strych leśniczówki, do tamtego bardziej niż ktoś mógłby przypuścić decydującego lata i do księgi, też decydującej. Ilustrator musiał mieć potopową obsesję. Oto jeszcze jedna wersja, inna faza zagłady. W kłębiącym się żywiole ludzie jak śnięte ryby, nie toną, unoszą się na falach ławicami. Paru jeszcze walczy, jeszcze ma nadzieję. Matka unosi dziecko w ramionach, mężczyzna podtrzymuje kobietę. Inni spychają ich z powrotem do wody, odrywają wczepione w skałę ręce rywali do przeżycia, bo przecież ta Wyspa za mała, wszystkich nie pomieści.

Lita skała. A na jej szczycie jedno, jedyne drzewo, nawet nie oliwne, którego gałęzie uginają się od zbiegłych ptaków. Kruków, nie gołębic.

Ostatni ratunek, drzewo. Chętnie byłaby drzewem. Dafne w drzewo bobkowe przemieniła się... Szczęściara. Dobrze by się móc przemienić w drzewo. Ideał istnienia. Zaraz, teraz. Który z bogów zawiąduje metamorfozami? Nie ma ojca Sebastiana, który by wywiódł to pasjonująco, skończyły się tajne komplety. Szkoda. Ale by się zdziwili, Andrzej z efebem, zastając tu zamiast niej coś żyjącego inaczej, pokrytego korą, absolutnie nie nadającego się do ich celów... No, w tym pokoju trudno byłoby stać się nagle sosną czy brzozą, ale niechby palmą w doniczce...

Zawsze zazdrościła drzewom, zwłaszcza takim rosnącym nad wodą. Koło leśniczówki był stawek. Żadne książki nie były tam potrzebne, żadne ilustracje. Działo się tam tyle, że przydałyby się teleskopiczne, krociowe oczy owada żeby móc wszystko naraz ogarnąć. Jakieś drzewo — jakie? — rośło tam pochyło, poziomo, naturalne obserwatorium. Kładła się na jego konarze, wrastała weń, prawie porastała korą. Drzewo żyło. Krążyły w nim soki, liście jego poruszały się, gałęzie lubiły maczać palce w wodzie. Każda z nich ceniła swój dostęp do słońca, swoją porcję cienia. Wiedziały jak rosnąć, która w którą stronę. Nie na darmo drzewo to pochyliło się nad taflą stawu. Gdyby rośło prosto, inne dawno by je zdusiły, przeżyć mogło jedynie fortelem, na leżąco.

Staw, częściowo pokryty zieloną rzęsą, tylko dla nieuwważnego oka był spokojnym zwierciadłem. Długonodzy, wodni narciarze, zapamiętałe uprawiali swój sport, czyli łowy. Ważki przysiadają na nenufarach, roiły się kijanki i płotki, czasem coś plusnęło i od tego plusku rozchodziły się koła radarowe. Karp? Szczupak? Lin? Jakaś gruba ryba. Pradziadek, prababka. Ryby lubią długo żyć.

Żyły tu sobie ile chciały, nikt nie zarzucał wędek ani sieci, nie wyciągał ich z wody na duszące powietrze, nie wtrącał się do ich biografii ani do ich hierarchii. Duże połykały małe, no więc cóż, małych zawsze mnogo.

Mademoiselle Fabienne, pozmywawszy, poczytawszy sobie, może i podrzemawszy, dbała bowiem z francuska o swoje trawienie, najpierw szukała Marii na strychu, a potem bez wahania szła nad staw. Przysiadła, nie wtrącała się. Pedagogicznie. Może także lubiła pogapić się w wodę, też chętnie i nieraz w życiu w jakieś drzewo przemieniłaby się? Te chwile milczenia, razem, stanowiły ich najbliższe porozumienie, poza — i ponadjęzykowe.

Swoją drogą, jaka głupia była Janka! Któż topi się z miłości?



A jeżeli już, czemu nie wybrała raczej tego stawu? Rzeczka, rzeczulka nie musiałaby podejmować się przerastającego ją zadania, toczyć ciała po kamieniach, składać je z ulgą pod martwym, młyńskim kołem. Zaś Janka nie musiałaby skakać, co zawsze jest gwałtem. Po prostu by się zsunęła, mile witana, łatwo wchłonięta przez miękko wysłane mułem dno. Parę baniek powietrza, parę koncentrycznych kół wplątanych w tataraki, paru spłoszonych, wodnych narciarzy, jakiś sędziwy karp, lekko zdziwiony. I nic. Topielcy nie muszą wypływać, kamień w kieszeni spódnicy wystarczy na początek, może na zawsze. Do dziś by tam sobie spokojnie leżała, przeistoczona, zintegrowana, strawiona. A matce pozostałaby nadzieja, że zabłądziła w lesie, że poszła sobie w świat, ale kiedyś wróci.

— Wiem, że pragniesz mej śmierci... Po historii z koralikową bransoletką i zatykanymi za nią źdźbłami traw, Maria przesłała, tuż przed aresztowaniem, ostry kryzys zazdrości. O Halinę. Wydawało jej się, po spojrzeniach, po ruchach, po dozach wierszy wpisywanych przez Andrzeja do ich albumów, że dla niego epizod na łące znaczył mniej niż dla niej, że on woli tamtą. Którą ona też przecież lubiła, której go użyczła, uważając siebie za mniej godną jego miłości. Gdyby to się działo w leśniczówce, kto wie czy by nie poszła nad staw i nie zsunęła się do wody po konarze pochyłego drzewa, by rozwiązać węzeł, ułatwić Andrzejowi wybór, ustąpić miejsca Halinie? W myślach dziewczęta topią się z miłości masami. No i co, jaka strata? Andrzej i Halina żyliby, jak żyją, osobno. Za to ojciec może by przeżył, bo nie miałby go kto zdradzić? Wcale by to nie było takie głupie.

Janka nie musiała rozważać za i przeciw, przemyśliwać, odkładać do jutra. W jej naturze było nie zsuwać się, lecz skakać. Nie chodziła, biegała, nie nuciła, darła się po wiejsku na całe gardło, na cały las. W jej młodości był pośpiech, rozpęd, niecierpliwa radość. Więc w miłości pewno tak samo. Rzeczka nawinęła się po drodze, rwąca po deszczu. Po co tracić czas, szukać stojącej wody? Skoczyła i już. Lamentując głośno, jak potem matka na jej pogrzebie. Tyle, że zdjęła zapaskę i odłożyła na brzegu, dla Marii, ponieważ obiecała jej utkać taką samą w zimie. A nie utka.

Tamtego lata Janka była dla Marii kimś, w kogo pragnęłaby się wdać. Nie w ojca, za wysoki autorytet, nie w mademoiselle Fabienne, wszystko wiedzącą i umiejącą, tylko właśnie w tę bosą, prostą dziewczynę. Tak biegać, tak śpiewać, tak się śmiać, tak znać las, gdzie co rośnie i dokąd która ścieżka wiedzie, nigdy się nie wahać czy na lewo trzeba skręcić, czy na prawo. Tkać takie

zapaski. I takie mieć włosy. Gdyby choć raz zdobyła się na odwagę i poprosiła Janki, by jej pozwoliła rozpleść, rozczesać swoje warkocze, zapleść je w nową koronę... Tak, już wtedy miała fryzjerskie powołanie.

Czy możliwe, by z takich jasnych biczów zrobił się siwy, skąpy koczek Szymonki? Jak to niemożliwe, normalne, ma na to sto przykładów. Niektóre z „pacjentek” zdążyły jej w rękach podłysieć, pomimo mikstur i masaży. Włosy, gęste futro lasu ze Sztucznych Rajów, złote warkocze falujących zbóż, szafirowe warkocze falujących oceanów, splatany i rozplątany wiatrem namiot nocnych ciemności...

Jakby to wyglądało w genialnym przekładzie Andrzeja?

Noc, czy dzień? Mogliby, wychodząc, przynajmniej pogasić lampy. Gdzie kontakt? Nie ma kontaktu. W celach kontakty są na korytarzu, światłem zarządzają strażnicy. No, zawsze można zamknąć oczy, przykryć rękami powieki. Zrobić sobie osobistą noc. Zsunąć się z krzesła na dywan. Miękki, jak mech. Wszystko głuszy. I zasnąć. Wielu w sen śmierci popadli, co się na noc spać pokładli... Nie, zła kolejność, to jest z *Kiedy ranne wstają zorze*. Nie chce żadnych rannych zórz. Wszystkie nasze dzienne sprawy też nie pasują. To podśpiewuje pewno teraz Szymonka, ułożywszy się na dywaniku przy łóżku swej pani. Na sen przebiera ziarnka różańca. Lepsze to od liczenia baranów, zdrowsze od proszków. Do której dojedzie tajemnicy, od radosnej poprzez bolesną? Do chwalebnej?

Tajemnica jest jedna, nie radosna, nie bolesna, nie chwalebna, Tajemnicą jest to, że nie ma tajemnicy. Jest sen.

Zwinęła się w kłębek, twarzą do ściany.

## XVII

W jedwabnym szlafroku, szaliku ditto jedwabnym z kunsztowną niedbałością związanym pod szyją, wyglądał jak... Jak podstarzały aktor grający rolę profesora Higginsa z *My fair Lady*. Podbródek zjeżył mu się mieszanym rżyskiem, złotawa mniejszość podkreślała przewagę siwizny. W pewnym wieku praktyczniej byłoby łysieć i na brodzie. Spał? Nie spał? A czy sobie aby umył zęby?

— Która godzina? — spytała machinalnie. Choć bardziej interesujące byłoby dowiedzieć się, który dzień, czy która noc.

Machnął ręką. Identycznym gestem opędał się od niefortun-

nych pytań jego ojciec. Z tym, że tata A nigdy by nikomu nie pokazał się nieogolony.

— Czemu nie powiedziałaś, że jesteś epileptyczką?

I podsunął jej szklanę wody wraz z pudełkiem wyęsknionych pigułek.

A więc słusznie przypuszczała, że nawiedzą jej mieszkanie. No i dobrze. Skompletowali sobie dokumentację.

Na jej zegarku piąta. Ale stoi. I w ogóle jaka piąta? Zegarki powinny by mieć dwudziestoczwierogodzinne cyferblaty, wskazywać pełną dobę, żeby nikt nie miał wątpliwości czy to dzień czy to noc. Musi nareszcie kupić nie tylko lepszy tranzystor ale i lepszy zegarek, taki który latami chodzi bez nakręcania i pokazuje również dni oraz miesiące.

Pijąc łąpczywie, rozlała sobie wodę po brodzie, jak dziecko. Trzęsły jej się ręce. Nie dotknęła lekarstw.

— Jeszcze...

Wyszedł, kłapiąc lordowskimi pantoflami. Pewno zaraz wróci.

Więc zasnęła. Spała. W tym czasie ktoś przykrył ją pledem i wygasił górne światła. Bo lampa paliła się już tylko na biurku. W ostro zarysowanym kręgu, który nie sięgał pod ścianę, widać było na lakierze blatu cieniutką warstwę kurzu a na nim odciski czyichś palców łatwe do starcia.

Poza tym pokój był jak był, sześcienne i zamknięty. Story okienne od wczoraj — wczoraj? — stwardniałe w gipsowych fałdach. Może ich wcale nie ma, może wymalowane, *trompe l'œil*? I cisza, hermetyczna jak one.

Powoli zbierała zmysły. Czuła się jak po którymś z transportów, gdy dłużej czy krócej odespawszy, otwiera się oczy na nową celę, nowy barak, nowe miejsce odosobnienia.

Epileptyczka? Tak dobrze to oni jednak nie są poinformowani. Doktor by się obraził! W takim razie nie od niego czerpał wiadomości. Od kogo? Kto mógł im to powiedzieć? Szef? Rzeźnik? Mleczarka? Aptekarz? Do tej pory sądziła, że nikt się nią specjalnie nie interesuje, a proszę, wobec całej Wyspy biega za epileptyczką. No tak, mogła to z satysfakcją dać im do zrozumienia głupia doktorowa. I co jeszcze? Niech im będzie, epileptyczka. Ale skąd nagle taka u nich zmiana? Dlaczego, po wczorajszym, szantażowo-śledczym srożeniu się, pogroźkach, te wszystkie względy, ciepły pled, wygaszenie światła, teraz woda? Co z Andrzejem? Jego ni stąd ni zowąd zaniedbanie, podtatusiałość... Wyglądał jakby mu przybyło z dziesięć lat. Dlatego, że się nie ogolił?

Zaraz się wyjaśni. Nie była nawet specjalnie ciekawa. Najpierw wrócić do siebie. Nawiązać do... Do czego? Nie do tego, co miało miejsce w tym oto pokoju wczoraj czy godzinę temu. Od tej pory przydarzyło się coś ważnego, coś istotnego, coś rozpychającego ów nie dający się określić, nawet gdyby jej zegarek nie stanął, między-czas. To przede wszystkim musiała wyłowić z bagna pamięci.

No tak, leżała na plecach. Znowu. I znowu była ziemią. Nie w ziemi, nie pod, tylko ziemią, dokładnie jak w pierwszym śnie opowiedzianym przed laty lekarzowi. Który doraźnie, wyraźnie pamiętała i śniąc teraz, miała świadomość, że to mu już kiedyś opowiedziała i jaka była jego na to reakcja. Teraz było to więc czymś w rodzaju powtórki, a raczej powrotu. Pamiętała głos spod niej, poprzez nią wówczas, kiedyś przebijający się w górę i czekała w zneruchomiałym napięciu, bo ten głos znowu miał się odezwać. Ona tym razem zrozumie, jest dobrze przygotowana, przetłumaczy na słowa i nareszcie zdąży, potrafi na to wołanie odpowiedzieć. Słowami.

Nie tylko słowami. Wołanie będzie poleceniem. Zleceniem. Zaraz trzeba jej będzie zerwać się i coś zrobić ważnego. Wykonać.

Tak, to równoległe przeżycie polegało na nieruchomym, napiętym czekaniu, nadśłuchiwanu. Na zapas układała sobie odpowiedzi, ich rozmaite warianty, bo wiedziała, że to ma się stać jeden raz, ostatni raz. Jedyna szansa. Będzie nagle, grom sprzężony z błyskawicą, krótkie spięcie, ani szpary na wahanie, ani sekundy do namysłu. Hasło i odzew, jak w czasach Przystosowania Wojskowego Kobiet, ostre pogotowie.

Tymczasem... Ale czasu nie było. Samo trwanie, oczekiwanie. Tak, dosłownie muł, bo ta ziemia była też i gęstą, stojącą wodą, jakimś jakby rozczynem, w którym ni to tkwiła, ni to unosiła się, płynąc, nie pływając. Po francusku jest na to dobre określenie: *entre deux eaux*. Pomiędzy dwiema wodami, ale i w ziemi, ziemią będąc i wodą, zbierała zmysły, mobilizowała pamięć. Zupełnie jak teraz. To trwało...

No i nic. Trwało. Może jeszcze trwa, w niej czy poza nią. Nikt się nie odzywał, nie wołał. Ale nie bała się opuszczenia, zapomnienia, ufała. Spała? Chyba jednak trochę spała. Bo aż podskoczyła, wyczuwszy nagle czyjaś spoza tych realiów, inaczej fizyczną obecność. Otworzyła oczy. To był Andrzej. Nowy jakiś Andrzej, o zwiędłej szyi, nieogolonej brodzie, ze szklanką wody i pudełeczkiem lekarstw. I też ręce mu się trzęsły.

O, wraca! Ostrożnie przymyka drzwi. Nie chce obudzić efeba? Czy kogoś? Musi się wystrzegać? Trudno mu idzie z

domykaniem drzwi bez trzasku. Tak się boi, że taczkę ustawił najpierw na ziemi. Na tacce, elegancko, nie tylko woda ale i kawa.

— Uważaj, rozlewasz!

Co się z nim dzieje? Niewyspany? Pił?

— A joga? — spytała, nie odrywając pleców od ściany, choć on taczkę zaniósł na biurko.

— Jak to, joga?

— No, twoja poranna gimnastyka. Myślę, że by ci się przydała.

Coś z wczorajszej złości mignęło mu w oczach, ale zaraz zgasło, zrobiły się znów przegrane. Poprawił szalik, obciągnął kusy szlafrok, przesunął ręką po brodzie, skrzywił się. Ale i wyprostował, zmobilizował.

— Ile chcesz cukru? — zapytał, jak gdyby znowu byli w różowej oberży.

— Czy ja pies? — chciała zażartować. Na pewno by to wtedy, tam zrobiła. Ale teraz nie było wtedy, ani tam. Wyciągnęła rękę po filiżankę. Nie chciało jej się rozstawać z ciepłym pledem, a zresztą póki nie musi, nie będzie siadała przy tym biurku, nawet za cenę kawy. Choć żadnej na nim maszyny z papierem wkręconym w wałek.

Nic zmienić się nie mogło, może jakieś detale. Nadal jest w ich rękach. Dali jej czas do namysłu i pewno ten czas minął. A jednak wyczuwała jakieś przesunięcie w ich układzie z Andrzejem. Przez ów międzyczas, gdy tu pod ścianą leżała, na zewnątrz działy się rzeczy które, jak dodawane ciężarki sprawiły, że szale wagi drgnęły, przechyliły się. Na którą stronę? Wiele nie potrzeba, często wystarczy małe piórko.

Kawa była wrzątkiem. Wspaniale, mieć do tego szklanek zimnej wody. Zupełnie jak w kafejce.

— Nie jestem żadną epileptyczką! — oświadczyła stanowczo, jakby to było najważniejsze. — Mylicie się.

Potrząsnęła pudełeczkiem, pigułki zachrzęściły. Brać? Nie brać? Też nie takie ważne teraz, tutaj. Andrzej obserwował ją. Wcale nie chirurgicznie, z innego rodzaju namysłem. Podsunął papierosy, podał ognia! Warto było się przebudzić.

Nie bała się. To było ważne. Warto było przebudzić się i nie wiadomo na jak długo, ale póki co nie bać się, nawet się nie przejmować. Nie tylko Andrzejem, nad którym, choć nadal była w jego, w ich rękę, odczuwała jakąś nieokreśloną przewagę. Wszystko przez ów błogosławiony odpływ strachu.

— Ja myślę, że w ogóle mylicie się. Pomyliliście się. Zrobiliście wielkie głupstwo.

Było jej wygodniej pod ścianą niż jemu na twardym krześle, zaciągała się rozkosznie, łyk kawy, łyk wody, znowu dymek, podczas gdy on posiedział, posiedział, a potem zerwał się i zaczął chodzić wzdłuż i wszerz pokoju od ściany do ściany człapiąc pantoflami. Nogi miał rażąco białe w porównaniu do opalonej twarzy i komicznie chude. Stare. I też miał żylaki. No, są prawie w jednym wieku.

Bardziej od łydek frapowała ją szyja Andrzeja. Szalik niewiele pomagał. Nareszcie wiadomo, że nie tylko dla szyku nosi swetry z golfem. Skóra mu zwisała indyczo, żałośnie. A więc i mężczyźni psują się od szyi. Nie, nie o to chodziło. Chodziło o to, że do tej szyi, do tego gardła bardzo pasował ów przystawiony nóż.

Migawkowa wstawka: podwórko Janki zagracone słomą, na nim kury poważne, pogdakujące, wygrzebujące glisty z ziemi zabłoconymi pazurami. Po coś tam się wybrały z mademoiselle Fabienne, a może przypadkiem wstąpiły pod drodze? Bo przy tym upał, nogi obolałe od spaceru. Tak, wstąpiły napić się mleka prosto od krowy. I nagle w środek swego fraucymeru wbiega kogut jak tancerz-gwiazda baletu, pysznie rozpina skrzydła, trzepie nimi. Pieje, coś szybko próbuje zapaść, powiedzieć. Nic z tego. Bo jego łeb, grzebieniasty, sute, czerwone korale dyndają mu żałośnie już tylko na zuchelku skóry. Tryska krew.

Za nim Janka. Więc jeszcze żyje. Wystraszona, zmartwiona, wymachująca rękami. W zapasce? Chyba bez. W jakimś fartuchu. Czy ona była tak niezgrabnym katem? Pewno nie, bo przy pieńku, w kącie podwórka, ktoś stoi. Z nożem? Z siekierą w rękę? Ojciec? Wszystko jedno. Zaś kury zlatują się wcale nie do koguta, tylko do jednej z nich, która właśnie wygrzebała z ziemi dżdżownicę i łyka ją, spieszy się, dławi, zanim towarzyszki nie wyrwą jej smakowitego kąska z dzioba. Co im tam kogut! Łeb mu wyraźnie ciąży, przeszkadza, drobi krokiem pijaka, płaczą mu się ostrogi i bęc, to już tylko kupka pierza. Parę kropki krwi na bosych nogach małej Marii.

— Niedobrze ci? — mademoiselle Fabienne chwytą ją za przegub dłoni.

I zaraz studnia. Skrzyypi żuraw, chlusta woda z wiadra. Janka się śmieje, wyżyma warkocz, który z pośpiechu zamoczyła w wodzie. Wszystkie trzy się śmieją. — Pokaż drugą nogę, o, już czysta! Świeża krew zmywa się łatwo i bez śladu. *Exit* kogut. Splukana sprawa koguta bez głowy. Może go nawet potem zjadła

ze spokojnym sumieniem w rosole czy w potrawce przyprawionej przez mademoiselle Fabienne?

Dzięki wodzie, dzięki studni. Zielona w głębi lustrzałość. Chłód. Cień olbrzymiego drzewa, kasztana, bo wszędzie popękane, kolczaste łupiny, brązowe, łaciaste owoce. Znaczą jesień, znaczą ostatnie dni Janki. Mademoiselle Fabienne stawia jej Jankę za przykład: patrz, jak ona prosto się trzyma! Miło patrzeć. A ty się garbisz. *Tiens-toi droite!*

Kasztan też trzymał się prosto. Nie miał konkurencji, problemów z dostępem do słońca. Nikt mu nigdy nie przycinał gałęzi. Miał tyle ile chciał wody dla korzeni i całe niebo do dyspozycji.

Pragnęła być Janką, tak, ale nie najgorzej byłoby urodzić się drzewem. Temu kasztanowi dobrze tu, przy studni. W lesie byłoby mu trudniej, to prawda, kto wie czy nie odbywa się tam selekcja gorsza od ludzkiej, wieczna wojna o *Lebensraum*. Co wybrać — jeśli wybór wchodzi w rachubę — czy szybciej rosnąć od innych, trzymać się prosto, mieć większe zdolności, czy też raczej z większym uporem rozkorzeniać się wszcz, w głąb, w podziemie, a na wierzchu zadowalać się kęsem słońca spadłym z cudzego stołu, łykiem powietrza wzgardzonym przez cudze liście, rosnąć cichcem, pochyło, poziomo, kręto, nie według dziedzicznego wzoru tylko jak popadło, konspiracyjnie, improwizując, byle nie pomylić się ani razu czy na lewo skierować pęd, czy na prawo. I wreszcie zagórować, przebić się na wolność. Znaczą przeżyć.

Wobec tamtejszych lasów wysiadają wszystkie Fontainebleau. Pogubiłyby się tu „Zanetki”, choć bogatszy miałyby materiał na serca i wieńce. Drzewa tworzyły mniejsze lub większe wspólnoty, getta, wyspy, albo żyły samopas, samotrzeć w przypadkowej lub czymś uwarunkowanej zależności i kolaboracji. Jedne tolerowały u swych stóp leszczyny, jeżyny, jagodziny, nie raziło ich przemieszanie listowia z igliwiami. Inne skąpiły życia nawet mchom. I pachniało! Żywicą i grzybami, ziemią i zielenią, inaczej rano, a inaczej pod wieczór gdy zaraz rosa. Szumiało też rozmaicie, mniej lub więcej przychylnie, a ptaki świstały, dzwoniły, stukały, chichotały nawet, zależnie od ich przynależności językowej. Jedna Janka umiała je identyfikować po głosie, po upierzeniu, nawet po stylu latania. Mademoiselle Fabienne grzebała potem w słownikach, ornitologia stanowiła białą plamę w jej francuszczyźnie, zaś Janka często nadawała ptakom imiona gwarowe. Były z tym małe, wieczorne problemy.

Wszystko to myślało o przyszłości, kwitło, zapylało się, poda-

wało życie dalej korzystając z usług wiatru, żuków, pszczół. Niektóre ziarna padały na opokę, według Pisma, ale wbrew Pismu i na opoce potrafiły kiełkować. Ileż było takich szalonych brzoź czy sosen, które na przekór oczywistości, w najgorszych warunkach geofizycznych i bez jakichkolwiek szans odmiany na lepsze, w rozłupanej skale, w kropli wody, rosły od wiosny do wiosny, a potem schły na stojąco, z głodu, albo też, gdy przesadziły w walce o życie, krusząc, podważając macierzyńską skałę i punkt ciężkości się przechyliły, padały i schły na leżąco, do końca nie wypuszczając z zaciśniętych korzeni odłamka czczego kamienia.

W mieście też miałyby się problemy, gdyby tak urodzić się drzewem. No, w miastach drzewa rzadko rodzą się same z siebie, one są wysadzone wzdłuż ulic czy nad rzeką. Element dekoracyjny, podlegający normalizacji. Te z teatralnego nabrzeża Marii, na przykład, już parę razy za tutejszego jej życia wycinano i zastępowano innymi, dlatego może bo chore, puste w środku od niedotlenienia, a może bo za bardzo się rozrastały, wchodząc w paradę stołecznym pejzażystom i zaśnając widok na Sekwanę pętywym mieszkańcom Wyspy.

Na wiosnę, czy raczej jesienią, w tej długiej, nieokreślonej porze roku, która w Paryżu komasuje jesień, zimę i wiosnę w jedną porę deszczową, odbywało się przycinanie drzew, głównie platanów. Do imentu. Wydawało się, że już nic z tych kikutów nie będzie, same pnie plamiste, gładkie, bez głów i bez ramion, raczej drewniane rzeźby niż drzewa. Nawet ich się nie zauważało, stały rzędami jak popsute latarnie. I nagle okazywało się, że rzucają cień. Z łopatek pogrubiałych od ponawianych amputacji wytryskiwały im nie wiadomo kiedy pędy. Nie gałęzie, nie ramiona, tylko od razu stupalczaste dłonie zieleniejące z pośpiechem pogotowia ratunkowego. Prędko liście, prędko oddychanie!

Cóż za żywotny stwór, drzewo! Przycięte do pnia, potrafi odbić od korzeni. Przesadzone, kontentuje się cudzą ziemią, przeszczepione, do końca próbuje zrehabilitować się wilkami. Z ludźmi gorzej. Bez rąk, bez nóg, bez oczu, bez języka, jeszcze ujdzie, ale bez głowy to koniec. Bez gardła...

Nieznośny widok, nóż przy zwiędłym podgardlu Andrzeja! Może raczej żyłtka? Też trzeba by to długo dydolić. Brr... Ależ się do niej przyczepiła ta mimochodem rzucona metafora! Szyja doktorowej ze swoim podkładem tłuszczu lepiej by się nadała do tego rodzaju operacji.

— Dużo ci tego złota potrzeba? Znaczy tych pieniędzy?

Machnął ręką, wzruszył ramionami. Zrozumiała. On już teraz



wie, że u Marii ani złota, ani pieniędzy nie uświadczy, żadnym sposobem nikt niczego z niej nie wyciśnie. Aż takiej fortuny nie było w woreczku, nawet za czasów jego pełności. Nic wspólnego z zakopanym na stracenie złotem.

Potrząsnąć nim, niech wróci do siebie niedzielnego, niech sypnie jakąś strofką z jedwabnego rękawa szlafroka, jakąś cytatą! Żle im to było nad rzeką, w słonecznym zaciszu, z nawisem płaczącej wierzby podszywającej się pod mimozę? We wzajemnym brylowaniu lekturami? Prawie jak na łące. Już wtedy, już tam mógłby przecież, podając jej ognia, przychwycić ją za przegub dłoni, stwierdzić znamię w kształcie gwiazdy i powiedzieć: ty żyjesz! To jesteś ty! I do żadnej oberży jej nie wywozić, ani idiotycznie porywać spod bramy. Na miejscu by się dogadali. Zaprosiłaby go do siebie, befsztyk z lodówki wystarczyłby na dwoje. Sam by się przekonał, że z niej żadna agentka, podwójna czy jaka, że nikogo nie zabiła, żadnego złota znikąd nie wykopywała, a żyje cudzym życiem bo tak się złożyło i bo własnym nie lubiłaby w ogóle żyć. Czy ona jedna? Choćby on, czy tak bardzo własne życie kontynuuje? W ich pokoleniu ci, którym udało się przeżyć, w większości stanowią takie czy inne przeszczepy. Odrostki. Wszystkich wojna poprzycinała. Więc...

Może Halina. Czy nie za późno, czy w ogóle możliwe wypytać go trochę więcej o Halinę? Czemu Andrzej tak niechętnie o niej wspomina? Być może, z całej ich trójki, ona jedna najbardziej sobie i im wierna, tyle że postarzała? Czy ma dzieci? Co tam, dzieci, pewno już wnuki? Jak żyją?

Wszystko by mu opowiedziała, bez oporów i bez wymuszania, zabiła dziewczynę, woreczek, Royan. Nawet i swoją chorobę, przy okazji łykania pigułek. Narkolepsja — nie żadna epilepsja! — powinna by zainteresować wielbiciela „Kwiatów Zła” i „Sztucznych Rajów”. Kogoś, kto zapamiętał, że żyje się w zapomnieniu, umiera się we śnie...

A tak wpakował ją — i chyba siebie? — w jakąś bezsensowną pułapkę. Bo co on teraz z nią zrobi?

Cóż za brakoróbstwo! Znała to nowe słowo i z radia i z rozmów zasłyszanych od stolika Pani z Wyspy. Świetnie się nadało. Bo gdyby on z kolei zwierzył jej się z owego przystawionego do gardła noża, kto wie czy by mu jakoś nie mogła pomóc czy poradzić? I lwom przydają się myszy. Ale on poszedł za szablonem, pewno zawodowym, no i pospieszył się, stracił miarę, popalił etapy. Z jakiegoś strachu? Z rozpacz? Żeby się za wszelką cenę wykupić? Wykazać? Coś niedobrze ze słynną genialnością Andrzeja, w którą tak wierzyły z Haliną, którą

mama A tak czujnie hodowała, której tak zazdrośnie strzegła. Czyżby i wtedy i teraz nadawał się tylko do tłumaczenia, do cytowania, czyżby we wszystkim był wtórny?

— No i co my teraz zrobimy? — zapytała w poczuciu wspólnoty. Pokoleniowej? Nie tylko. W ich obecnej sytuacji jest jakaś paradoksalna analogia. Pewna była, że oboje siedzą w zimnym piecu.

Musi być wyjście, wylaz, skoro był włącz. On już wie także i to, że ona nie tylko nie ma żadnego zadołowanego złota na jakieś pilne jego potrzeby, chyba osobiste, ale też że nie nadaje się do żadnej kolaboracji, penetracji, czy jak to się fachowo nazywa. Do niczego w ogóle się nie nadaje, oprócz, czesania pań z Wyspy. Epileptyczka... Może by łyknąć pigułkę, skoro przyność? Choćby dla jego spokoju, pewno boi się, że ona zaraz zacznie wć się i pienieć pod ścianą.

A jeśli oni do pudełeczka podłożyli jakieś inne pigułki? No nie, jednak nie, basta ze złymi lekturami! Gdyby chcieli, niczego by jej nie dawali do dobrowolnego łykania, są świetne zastrzyki. Nawet by nie poczuła igły, spała. A może ją kłuli? Bo skąd ten spokój, prawie euforia, rozkoszne od wszystkiego oddalenie? Powinna by się bać, powinna nienawidzieć Andrzeja. I nie on, tylko ona powinna by miotać się od ściany do ściany w poszukiwaniu wyjścia. Gdzie podziała się jej klaustrofobia?

Nie zwykła tak mocno zakręcać pokrywki pudełeczka. Więc jednak ktoś zaglądał do środka. Ile wziąć? Dwa proszki? Dla nadrobienia zaległości?

Dobrze wychowany, dolał jej wody do szklanki.

— Mama nie żyje... — powiedział żałośnie. Nie chciał, wyraźnie nie chciał, ale musiał jej to powiedzieć. Samo mu się to powiedziało.

Odrzuciła pled.

— Kiedy? Dziś w nocy? Teraz?

— Dopiero co. Telefonowałem do niej o zwykłej godzinie. I nagle... Przerwała połączenie. Zaalarmowałem dyrekcję. Już nie można było nic...

— No to co ty tutaj robisz? Co my tutaj robimy? Musisz tam zaraz jechać. To daleko? Chcesz? Pojedziemy razem!

Jeszcze jeden obrót sceny. Wszystkiego by się spodziewała, tylko nie tego, że oto, po tych różnych życiach, będzie może jechała z Andrzejem na pogrzeb mamy A. Czy aby na jej widok nieboszczka nie przewróci się w trumnie?

Śmiech pomyśleć, ale od czasów Janki nigdy nie była na niczym normalnym pogrzebie. Śmierć otaczała ją, umieranie,

dogorywanie, stygnięcie, ale w samym obrzędzie składania kogoś na to, co się nazywa wiecznym odpoczynkiem nie miała okazji uczestniczyć osobiście. Dziewczynę z lasu opuściła, nie zamknąwszy jej nawet, jak należy, powiek. Matka z Royan leży gdzieś tam we wspólnym dole, może sama jedna i ostatnia ze zbombardowanych. Tablicę ufundowała sobie i ojcu na odległość. A potem co parę dni dzwony świętego Ludwika wydzwaniały żałobę, pod kościół zajeżdżały karawany, na nich wieńce, wstęgi, monogramy, na ulicy tworzyło się zbiegowisko, prawie takie samo jak na śluby czy pierwsze komunie, ciekawscy przemieszani z rodziną, przyjaciółmi czy znajomymi. Nieraz musiała przepychać się przez nich do pracy, a szef nieodmiennie stał przed zakładem, często z grzebieniem czy z żyłką w ręku i zawsze wiedział kto umarł, na co, i kogo pozostawił. Śmieszyły ją te burżuazyjne ceremonie, szyki, kapelusze, futra, panie na lewo, panowie na prawo, czy na odwrót, kondolencje, wyrazy szczerzego współczucia. Robić tyle historii koło tak prostej sprawy! No, ale ceremoniału służą do tego samego, co wieńce: chodzi o to, żeby zakryć trumnę.

Nigdy nie lubiła mamy A, lecz przecież nie owa tęgawa, pretenjonalna blondynka, nie doktorowa zmarła właśnie, tylko stara, nie wiadomo jak postarzała matka Andrzeja. Przerwała połączenie. Pewno pierwszy raz. Dla niego to musi być ciężki moment. Nawet wypada, żeby razem pojechali. Może będzie mu lżej, wspominają w samochodzie czasy, kiedy jego matka była młodsza niż oni są teraz? Kto ją taką poza nim i Marią pamięta?

— Więc?

Za całą odpowiedź usiadł znowu za biurkiem, odsunął lampę na bok i ukrył twarz w dłoniach. Popęłniła gafę. O żadnym jechaniu na pogrzeb nie ma mowy w tej chwili dla niego, ani tym bardziej dla niej. Ani razem, ani osobno. Z efebem czy bez efeba za kierownicą.

Prawda, efeb! Czy on tutaj jest, śpi albo czuwa w którymś z pokoiów, na górze lub na parterze, czy wie o śmierci matki Andrzeja i co to dla niego znaczy? Czy w ogóle wie, co znaczyła i co znaczy matka dla Andrzeja? A on sam, co znaczy, jaką rolę w tej sztuce odgrywa? Czy aby nie zinterpretowała fałszywie, na odległość, po samych gestach, jego milczącego udziału w tej całej sprawie, nie zromansowała sobie ich z Andrzejem relacji? Ale nie, on nie był tylko statystą, gorylem, szoferem. Był kimś, z kim Andrzej się liczył. Musiał się liczyć. Sam fakt, że był, że jest, komplikował sprawę. Gdyby nie on, na pewno już by teraz siedzieli z Andrzejem w czarnej limuzynie i jechali na pełnym gazie gdzieś tam na południe, do domu złotej starości, by

zając się trumną i pogrzebem takim, jakiego by sobie życzyła mama A.

Dużo wieńców. Wstęgi.

Cisza... Andrzej, jeśli nawet dziecinnie pochlipywał, bo trzęsły mu się ramiona, robił to dyskretnie. Ostry krąg lampy pozostawiał w cieniu jego łysinę i padał wprost na dywan biały jak śnieg, nikogo nie rażąc w oczy. Nikt do niczego nie musiał się przyznawać, niczego się podejmować. Z powrotem otuliła się pledem, oparła plecami o ścianę. Nie będzie przecież głaskała Andrzeja po tej łysinie, on od niej żadnej pociechy nie potrzebuje. W ogóle jej nie potrzebuje, ona wchodzi mu w paradę. Gdyby nie ona, gdyby nie mus doprowadzenia jej sprawy do końca — do jakiego końca? — byłby może przy matce. Nie przezywałaby z nim połączenia. Uratowałby ją na jakiś czas. Jeszcze raz by ją uratował.

Tak, to dla niej Andrzej zrobił to wszystko, dla niej zgodził się być wilczurem. Na pewno. Żeby przeżyła. Mniej niż ktokolwiek nadawała się biedaczka do zimnego pieca. I ta historia ze złotem też w jakiś sposób musiała być z nią związana. Może chciał raz jeszcze wraz z nią przedostać się przez jakiś właz, przepłacić rękę trzymającą nóż na jego — a więc i na jej — gardle?

Nie wiedziała i pewno nigdy się nie dowie, to były ekstrapolacje. Romansowe? Sensacyjno-kryminalne? Z pewnością nie, najlepszy dowód, że siedzi oto pod ścianą, zakluczona, i wcale jej się to nie śni. Innym takie rzeczy się zdarzają, czemu więc by i jej nie miało się to przydarzyć na zakończenie i tak niecodziennej biografii?

Nie mijając, czas mijał. Czekala. Coś się stanie, ktoś tutaj wejdzie naciskając klamkę od tamtej strony drzwi. I ostatecznie szala przechyli się na którąś stronę. To nie zależało od niej, nic od niej nigdy nie zależało. Kto wie, czy coś zależało nawet od Andrzeja?

Żeby chociaż mieć radio! Posłuchałaby wiadomości. Może akurat pora komunikatów, jak nie dziennych to nocnych, może coś się dzieje, coś stało się, coś przechyliło? Może wkroczyli? Andrzej mógłby jej przynieść z domu nie tylko pudełko z lekarskami, ale i jej stary tranzystor. A także książeczkę do nabożeństwa. Otwarłaby ją znów na chybił trafił. Pooglądałaby sobie obrazki. Radio i książeczka bardziej by jej się przydały od pigułek, które tak marnie skutkują. Już w różowej oberży. A i tutaj...

Tutaj?

Znów nagły obrót sceny. Krąg Andrzejoy lampy pada na wodę. Na lód. Stoją na moście, na Wyspie, rzeka pod nimi stężała w białą autostradę. Z zewnętrznych ciemności sunie po niej czarna limuzyna. A właściwie pusta, węglowa krypa. Wychyleni, czekają aż się przybliży, bo wtedy muszą do niej wskoczyć z mostu. Nie ma innego wyjścia, muszą to zrobić i zrobią. Sprężają się do skoku, potrafią, ćwiczyli, są przygotowani. Wszyscy. Nie tylko Andrzej i ona, cały tłum czeka na moście, wychyla się przez kamienny murek, śledzi posuwanie się łodzi, która już zaraz, choć to zaraz przeciąga się i niczym nie da się wymierzyć, z niczym porównać, zaraz wetnie się dziobem w przerebel odkrojony światłem latarni.

— Przeżyjemy... Powrócimy...

To mówi ojciec. Oczywiście. Halina też coś deklamuje, jakieś „Pocałunki”. Ktoś śpiewa, czy nie Janka przypadkiem? Ktoś każe wszystkim trzymać się prosto, pewno mademoiselle Fabienne. Albo Pani z Wyspy. Ktoś jęczy, że go zabili. Choć żyje. Ktoś komuś czesze trzeszczące elektrycznie, długie włosy. Ktoś powtarza: to ty. Która ty? Brzęczy tymi głosami jak w ulu, każdy coś sobie przepowiada, a wszystko dla zabicia czasu, który mija, nie mija, stężał jak rzeka, na lód.

Ale minie. Zaraz minie. Wtedy rozlegnie się głos i skoczą z mostu, wszyscy razem, nareszcie, każdy ze swoim wieńcem, swoją wstęgą i swoim monogramem.



A C H E V E D'IMPRIMER  
LE 31 DECEMBRE 1984  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>).

Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1984.

N<sup>o</sup> d'imprimeur 6639.







